

SPOT-
KANIA

NIEZALEŻNE
P I S M O
MŁODYCH
KATOLIKÓW

№
7

L I P I E C 1 9 7 9

H O M I L I A wygłoszona w czasie Mszy św. żałobnej
za ś.p. tragicznie zmarłych wskutek wybuchu w rotundzie
PKO, Warszawa, sobota 17.II.1979

Na cmentarzu wojskowym na Powązkach stoi pomnik ku czci poległych
żołnierzy Armii Krajowej z napisem: "Gloria victis" - "chwała zwycię-
żonym", "chwała pokonanym". Jak wiemy, Armia Krajowa była ostatecz-
nie pokonana nie przez totalitaryzm brunatny, ale przez totalitaryzm
czerwony. Hasłem totalitaryzmu jest "vae victis" - "bieda zwyciężonym",
bo w tym systemie siła jest prawem. Miejsce z lewej strony pomnika
poświęcone jest pamięci oficerów polskich pomordowanych w Katyniu.
Dlatego pomnik powązkowski wraz z napisem jest symbolem zwycięstwa
poprzez klęskę - tych wszystkich, którzy spodziewali się Polski nie-
podległej, choć jej nie widzieli ani w czasie okupacji niemieckiej,
ani sowieckiej, ani w latach wojny, ani po wojnie.

Dzisiejsze czytanie z listu do Hebrajczyków (11,1-7) mówi nam,
że wiara jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, choć ich nie
widzimy. Tylko w porządku wiary możliwe jest zwycięstwo odniesione
w klęsce: pomimo klęski, poprzez klęskę, w klęsce samej, zwycięstwo
niewidzialnego nad widzialnym. Bo słowem Boga światy tak zostały stwo-
rzone, że to co niewidzialne jest pierwsze i mocniejsze od tego co
widać. Bo Abel, chociaż zabity przez Kaina, zwyciężył, złożył Bogu
ofiary i jeszcze mówi. Bo Henoch pokonał śmierć dzięki temu, że podobał
się Bogu. Bo Noe dzięki wierze zbawił swą rodzinę i potęgę świat
w czasie potopu. A teraz nowy Noe - Chrystus zbawia swoją rodzinę -
Kościół i poprzez wody męki i śmierci ratuje tych, którzy wchodzą
z Nim do arki, którzy z Nim się jednoczą.

Dlatego w chwili klęski, w chwili zbliżającej się śmierci i sądu
mówi Chrystus do nas: "podnoście głowy wasze, bo zbliża się wasze
odkupienie". Na znak swojej mocy przemienia się Chrystus przed nami,
ukazuje na krótką chwilę swoją chwałę, co nas nie nasyci, ale posila,
wzmacnia i pozwala nam wytrwać. Wierzyć to nie to samo co widzieć.

Wierzmy, że sens przed Bogiem miała przedwczorajsza ofiara
ludzi tragicznie zmarłych.

Ciągłe zbrodnie popełniane na własnym narodzie przez totalitaryzm
komunistyczny: ta działalność niekiedy ludobójcza, a zawsze zguźna,
te ciągłe kłamstwa - to wszystko rodzi podejrzenie, że wypadek przed-
wczorajszy miał wymiar szatański. Jeżeli tak, to przypomnijmy sobie
słowa Boga z przedwczorajszej lekcji mszalnej: "upomnę się o waszą
krew, upomnę się u człowieka o życie człowieka i u każdego o życie
brata".

Krew Abla głośno woła do Boga i oskarża plemię Kainowe, bo Abel,
pomimo że umarł, otrzymał od Boga świadectwo, iż jest sprawiedliwy,
i jeszcze mówi.

We Mszy św. składamy Bogu Ojcu ofiarę Chrystusa naszego Brata;
Jego Krew głośno woła z ołtarza, Krew bardziej wymowna niż krew Abla.
Z głosem tym łączy się apokaliptyczne wołanie ludzi zamęczonych:
"dokądże, Władco Prawdziwy, nie sądzisz i nie wymierzysz za krew
naszą kary?". Na to wołanie Bóg odpowiada: "nadejście czas, by wresz-
cie zostali zgładzeni ci co niszczą ziemię", a tymczasem: "ludu mój,
opuść tę Nierządnicę, byś nie miał udziału w jej grzechach i nie
musiał być dotknięty żadną z plag, które ją czekają". Aż w końcu:
"osądzi Bóg Wielką Nierządnicę, która bezczęściła ziemię, i tak
pomści krew sług swoich" i wtedy ludzie wierni Bogu "odniosą zwycięs-
two dzięki Krwi Baranka".

W obecnej Mszy św. polecamy zakochaniu Bogu ś.p. zmarłych w retundzie FKO oraz prosimy Boga o łaski i zdrowie dla ramych, o pociechę i pomoc dla rodzin.

Spotkano się z Chrystusem w Komunii, łączymy się także z tymi, którzy zmarli w Chrystusie i wstąpił z nimi czekamy na Zmarłych-wstanie, którego zepowiedzią jest błask cwały Przemienienie - początek oglądania Boga twarzą w twarz.

ks. Stanisław Małkowski

Ks. JÓZEF TISCHNER

W A M N I E W O L N O N I E R O Z U M I E C

Podczas tych kilku rekolekcyjnych dni rozważaliśmy sprawę spotkania z Bogiem. Rozważaliśmy tę sprawę poprzez pryzmat innych spotkań. Powiedzieliśmy: człowiek jest istotą skończoną i nie może spotykać Boga twarzą w twarz. Musi Go spotykać pośrednio. Rozważaliśmy spotkanie z Bogiem poprzez pryzmat spotkania z Historią, mówiliśmy o spotkaniu z Bogiem poprzez pryzmat spotkania z drugim człowiekiem. Mówiliśmy tu także o tym, że po każdym spotkaniu z Bogiem zostaje u nas nowe i głębokie poczucie własnej godności. Śladem drugim, po spotkaniu z Historią było przeświadczenie, że mamy jakieś miejsce w przestrzeni Królestwa Bożego.

Do wczorajszym spotkaniu z Bogiem doszliśmy do odkrycia, że nie jesteśmy w obliczu Boga sami, że obok nas są nasi bracia. Nasze dzisiejsze spotkanie z Bogiem ma być spotkaniem z chlebem życia. Chleb życia.

Zawiera to w sobie tak wielkie bogactwo treści, że człowiek ma kłopot z wyborem. Zawsze trzeba jakieś cenne myśli zostawić na boku, ponieważ bogactwo treści przewyższa możliwość wysłowienia. Dzisiaj chciałbym wyjść od swojego osobistego wspomnienia, aby głębiej i trafniej wyakcentować pewien rodzaj owej treści.

Oto przed niedawnym czasem, konkretnie przed rokiem, miałem rekolekcje do inteligencji, którą losy rzuciły dosyć daleko na prowincję. Ci ludzie byli studentami, byli tym, czym wy dzisiaj jesteście. Skończyli studia i poszli na prowincję wiedzeni tam rozmaitym powodami: mieszkanie, lepsza praca, nadzieje na założenie rodziny. Tak się złożyło, że w rekolekcjach brali udział przedstawiciele wszystkich niemal polskich pokoleń powojennych. Śmiało możemy powiedzieć, że cała historia XXX-lecia naszej Ojczyzny przeszła przez ich dusze, żyły, przez ich umysły i serca. Byli uczestnikami wszystkich wydarzeń, które się w ciągu tego XXX-lecia działy. Jakoś się im w życiu oczywiście udało, jakoś się urządzili. Mają określone stanowiska, pracę - nie biedują; wielu ma swoje domy, swoje samochody, dzieci ich to wy - na studiach.

A jednak mimo tego, że jakoś im się życie ułożyło każdy z nich mógłby odegrać rolę w filmie Wajdy "Człowiek z marmuru" albo w "Barwach ochronnych" Zanussiiego. Wielu z nich poszło w życiu na bolesny kompromis. Wielu z nich pożamało sobie mocno kręgosłupy. Wielu z nich ma tytuły przed nazwiskiem: inżynier, magister, czasem nawet doktor, ale wielu z nich nie ma imion, mają tytuły, ale nie mają nazwisk, mają domy ładnie urządzone, ale w tych domach nie ma dusza. Jest w nich jakiś zgrzyt, jest coś niedobrego. Mają dzieci, ale ich dzieci

nie chcą wracać do ich domów. Potrafią się znaleźć w tym naszym systemie, w tym naszym polsko-słowackim socjalizmie. Potrafią się znaleźć, ale gdzieś zatraciły one ten surmienia.

Żeby paradoks był jeszcze większy, były to pierwsze rekolekcje w tym mieście, pierwsze w ogóle w historii miasta, rekolekcje dla inteligencji. To paradoksalne, Kościół poświęca bardzo dużo czasu studentom, młodzieży, a także duszpasterstwu tzw. masowemu, ale gdy idzie o inteligencję poza Krakowem, na prowincji, jest ona pozostawiona zupełnie na boku, zdana na to normalne nadelenie duszpasterskie, które jest obliczone na przeciętność.

Ale przecież ludzie ci byli i są z gruntu dobrzy.

Lekarze - kiedy szli pierwszy raz do szpitala mieli naprawdę dobrą wolę pomagać ludziom. Nauczyciele - kiedy pierwszy raz stawali za katedrą mieli dobrą wolę wychowywać jak najlepiej, mówić jak najwiedzielszą prawdę. Urzędnicy - ci, którzy rządzą dzisiaj naszą Polską, rządzą tam, na dole (Polska jest przede wszystkim rządzona przez tych, którzy są na dole), mieli dobrą wolę postępować sprawiedliwie.

I w pewnym momencie ta dobra wola została gdzieś wymanipulowana. Nawet nie wiedzieli kiedy i jak, nie wiedzieli skąd dobroć ich woli zwróciła się przeciwko nim samym. I każdy przyniósł na te rekolekcje ciężar w swoim sumieniu. Im więcej mają pieniędzy, im ładniejsze mają domy, tym cięższe mają sumienia. Moi drodzy, człowiek rozmaite rzeczy w życiu widział, ale nigdy nie widziałem jeszcze tak wielkiego cmentarza. Cmentarzysko tej XXX-letniej historii naszej Ojczyzny to byli oni, to była Polska. To są to dwa albo trzy pokolenia powojennej Polski, pokolenia polskiej inteligencji. Wiekiedy odnosi się takie wrażenie jakby w ich duszach nie pozostał kamień na kamieniu. Na rekolekcje zjawili się tak tłumnie, że było to zaskoczeniem tamtejszych duszpasterzy. Nie spodziewaliśmy się ich przyjścia. Były to jak powiadam, pierwsze rekolekcje dla inteligencji w tym środowisku. I wtedy stało się coś, co mnie zdumiało. Ostatecznie, my księża jesteśmy przyzwyczajeni do widoku ludzi, którzy mówią sami do siebie: dziś było tak, jutro będą inaczej robić, poprawić się, zmienić się. Patrzymy na ludzkie sumienia, patrzymy na ludzkie przemiany i widzimy ich bardzo dużo. Ale to, co się stało na tamym cmentarzu, było dla mnie niezwykłym zaskoczeniem. Najprościej mówiąc sprawdziły się słowa Pisma Świętego:

"Wypuścisz ducha swego i odnowione będzie oblicze wielu."

Nie wiadomo skąd, nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo jakimi siłami, z betonu, z marmuru, z kamienia powstaje nowe życie. Jest coś, moi drodzy w tej sile, zresztą odczuwany to wszyscy, w tej sile, jaką posiada dla człowieka słowo Boże. Słowo, które wychodzi z ust Boga. My robimy jedynie oprawę temu słowu. Mówimy bardzo dużo, dajemy rozmaite obrazy, żeby w pewnym momencie, wśród tych obrazów, zacytować coś takiego, co budzi ze snu. Powiedzieć: "jesteście solą ziemi", ale my tego nie wymyślamy, powiedzieć: "Słowa życia ty masz" - my tego też nie wymyślamy. "Błogosławieni ubedzy duchem albowiem ich jest królestwo niebieskie" - i tego też nie wymyślił człowiek.

Albo "nie samym chlebem człowiek żyje, ale i słowem Bożym". I nagle te proste słowa budzą ze snu cmentarze ludzkie. Są to słowa, na których jest zbudowana nasza kultura, cywilizacja, nasza etyka. Słowa niezwykle proste, znamy je na pamięć, ale rzadko dostrzegamy, co znaczą duchowa siła tych słów. Moi drodzy, człowiek jest istotą niezniszczalną. To jest to, co chcę wam dzisiaj powiedzieć.

Zrobiłem taki wielki wstęp po to, aby wam powiedzieć to jedno jedyne zdanie - człowieka zniszczyć nie można. Ani was zniszczyć nie można, ani wy nikogo zniszczyć nie możecie. Można człowieka nagiąć, można go zmusić do myślenia, można go zmusić do tego, żeby długo milczał, żeby często postępował skrew sobie, można go zgnać aż do ziemi, ale wystarczy jedno takie słowo: "wstań i chodź" i otwiera się grób i człowiek wstaje. Człowiek jest istota niezniszczalną. To nie jest żadna metafora. Jest to prawda tak oczywista, moi drodzy, jak oczywista jest to, że słońce wschodzi i zachodzi, a Eucharystia jest, moi drodzy, jest to pokarm ludzkiej niezniszczalności. Eucharystia jest, a skoro Ona jest, więc żaden Judasz, żaden Piłat naprawdę cię nie osądzi i żaden żołnierz nie potrafi cię przybić do krzyża i żaden strażnik nie upilnuje twojego grobu. W końcu, gdyby nawet tak było, to wszystko obruci się przeciwko nim. A wtedy nadejdzie poranek Wielkiej Niedzieli, kiedy otworzą się groby i okaze się w pokornej chwale owa niezniszczalność ludzka.

Moi drodzy, opowieść o ludzkiej niezniszczalności nie jest mitem. To można widzieć. Wcześniej czy później każdy z nas przez to przejdzie. Człowieka zniszczyć nie można, prawdę mówię, to jest to, co chciałbym wam powiedzieć na końcu. Tak - to jest tylko to. Tylko to. Nie bójcie się - nie zniszczą was. Jeżeli człowiek sam siebie nie zniszczy nikt nie ma władzy nad nim. Ale żeby te słowa o niezniszczalności znalazły się w opowieści, bo - jak powiedziałem - wszystko musi mieć opowieść, żeby się lepiej trzymało naszej wyobraźni, wobec tego pozwólcę jeszcze parę minut. Eucharystia jest pokarmem ludzkiej nadziei. A gdzie jest pokarm, tam jest nadzieja. Człowiek dlatego sięga po pokarm, bo chce iść na przód, a naszym postępowaniem do przodu kieruje nasza nadzieja. Ale żeby nasza nadzieja, moi drodzy, była żywa musi być konkretna. W przeciwnym wypadku, jeżeli nadzieja nie będzie konkretna, będzie marzeniem. A nadzieja staje się konkretna wtedy, kiedy staje się polska nadzieja, kiedy wyrasta z bólow i radości tej ziemi, kiedy wyrasta z polskiego chleba, kiedy wyrasta z polskiego słońca, z polskiej woli. Nadzieja staje się wtedy konkretna kiedy czuje rzeczywistość, która ją otacza. I wybaczcie, że zrobię wam mały przytyk. Myślę, że studenci są u nas grupą społeczną taką, która najmniej z tej rzeczywistości czuje. Globalnie rzecz biorąc (nie mówię o jednostkach), studenci są grupą, która jest najmniej poinformowana o rzeczywistości, która ją otacza. Chłop, moi drodzy, czuje tę rzeczywistość na własnych plecach, nie potrzebuje czytać jej tajemnic z gazet ani książek. Robotnik podobnie. My księża czujemy tę rzeczywistość wtedy, kiedy jesteśmy świadkami cementarzy i widzimy jak ludzie z tych cementarzy powstają. Student uczy się tej rzeczywistości, ale uczy się wg określonych programów. Myślę, że kształcą, was dzisiaj do tego, abyście byli wielkimi specjalistami w małych specjalnościach. Mam całkiem konkretne przykłady. Od szeregu lat wykładam filozofię w Seminarium Duchownym. Zawsze na I roku sprawdzam znajomość marksizmu. W ciągu tych kilkunastu lat moich wykładów wśród nowych studentów wiadomości o marksizmie maleją. Są to absolwenci socjalistycznych szkół, którzy o socjaliźmie, o jego podstawach nie mają zielonego pojęcia. Na studiach właściwie wiele się nie zmienia. Trzyma się was dziś jak najdalej od najnowszej historii swego kraju. To pokolenie prowincjonalnej i krakowskiej inteligencji ma tę historię wypisaną na własnych kręgosłupach. Młode pokolenie tej historii po prostu nie zna.

Tabula rasa.

Drobny przykład: Mówi się powszechnie, że dzisiaj pierwszym kandydatem do literackiej Nagrody Nobla jest Czesław Miłosz. Kto zna choć

jedną stroną pisarstwa Miłosza? Kto zna ewolucję jego filozoficznych poglądów? Albo kto zna bardzo charakterystyczną, bardzo polską, bardzo dla nas symptomatyczną ewolucję filozoficznych poglądów Leszka Kożakowskiego? Ja wiem, umiecie z podziwu godną zręcznością rozwiązywać problemy matematyczne, techniczne, chemiczne, ale czy zdajecie sobie sprawę z tego, komu albo czemu te wasze rozwiązania będą służyć? I tu się niepokoję: czy nie rośniecie znowu jako aktorzy do filmu Wajdy czy Zanussiiego, jak Barte Zwycięzca z noweli Henryka Sienkiewicza, tyle że Barte Zwycięzca nie był ani inżynierem ani magistrzem. Jakie miejsce zajmiecie wy, moi drodzy, w dzisiejszym polskim Jeruzalem? Przecież wy macie być solą tej ziemi. Tak. A jeśli sól zwiędnie, czy solona będzie ziemia? Wasza myśl ma być solą tej ziemi, bo świat dzisiejszy jest taki, że się go myślą zdobywa i przy istnieniu utrzymuje. I dlatego wam, moi drodzy, nie wolno nie rozumieć, nie wolno nie rozumieć.

Podstawowy obowiązek waszego sumienia chrześcijańskiego dzisiaj, to rozumieć lepiej niż wszyscy inni, wiedzieć lepiej niż wszyscy inni, być lepszymi specjalistami niż wszyscy inni. A zarazem rozumieć przeszłość, teraźniejszość, widzieć perspektywę przyszłości. Wam już nie wolno, moi drodzy, nie rozumieć. I dlatego św. Paweł mówi:

"Bracia, wzywam was, abyście ze snu powstali, bo noc minęła a dzień się przybliżył."

Za chwilę, drodzy bracia, drodzy przyjaciele, opuścimy to miejsce, okruch Królestwa Bożego będziemy nieść w naszej duszy, wyjdziemy w ten mroczny Kraków, w tę mroczną zawiłą historię Rzeczypospolitej. Wyjdziemy z owym fragmentem Królestwa Bożego w naszym sercu. Będziemy częścią tej Rzeczypospolitej. Przyjmijmy chleb, wielki chleb, piękny, wielki chleb. Ten sam chleb przyjmowali: Chrobry, Jagiełło, Kazimierz, Jagiellonowie, ten sam chleb przyjmowali ci, którzy pod Grunwaldem, pod Beresteczkiem, ci którzy pod Lenino i pod Monte Cassino. Ten sam chleb, polski chleb, ten chleb, który jest częścią Bożej ojcowizny w naszej Ojczyźnie. Bo to jest Boża ojcowizna między nami. Z tym chlebem pójdziemy dzisiaj. I wyniesiemy z tego spotkania prawdę o godności człowieka, prawdę o miejscu człowieka w Królestwie Bożym, prawdę o braterstwie międzyludzkim i prawdę o niezniszczalności człowieka. I czeka nas realizacja nadziei. Pierwszym krokiem na drodze tej realizacji jest zrozumieć. A wam dane zostało zrozumienie tajemnic Królestwa Bożego.

ks. Józef Tischner

Jest to spisany z taśmy magnetofonowej tekst konferencji wygłoszonej na zakończenie rekolekcji wielkopostnych dla studentów w kościele Księży Misjonarzy w Krakowie w 1978 roku.

"Do Ciebie Droga Młodzieży zwracamy naserdeczniejsze słowa: Pamiętajcie, że jesteście tymi, którzy wyrastają z wielowiekowego pnia dziejów narodu. Macie więc prawo i obowiązek poznania i przyjęcia jego kultury narodowej, która jest z ducha chrześcijańska. Bądźcie również świadomi tego, że jesteście obowiązani, aby w dalszym ciągu być sprawcami i twórcami kultury"

/Z Listu Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej - na 21 maja 1978

A staćcie się przyjaciółmi moimi

Kto ma przykazania moje i zachowuje je,
ten mnie miłuje. A kto mnie miłuje,
umiłuje go Ojciec mój, i ja go miłować będę,
i siebie samego mu objawię.

/J. 14,21/

To jest przykazanie moje,
abyście się wzajemnie miłowali,
jak ja was umiłowalem.
Nie masz większej miłości nad tę,
aby życie własne oddać za przyjaciół swoich.
A stanicie się przyjaciółmi moimi
jeżeli czynić będziecie, co wam nakazuję.

/J. 15,12-14/

Boże mój,
Ty widzisz, jak bardzo pragnę stać się Twoim przyjacielem. Wiem,
że nazwiesz mnie nim, jeśli wypełnię wszystkie Twoje przykazania.
Wszystkie, a nie jakieś jedno, czy nawet kilka. Wiem to, bo mi sam
o tym powiedziałeś.
Boże mój,
wiem też, że w realizacji Twoich nakazów nie ma miejsca na najmniej-
szą choćby kalkulację. Wszak sam powiedziałeś, że nie można dwom
panom służyć.
Boże mój,
ale wiem też, jak ogromna jest moja słabość - jak okrutną potrafi
być dla Twoich przykazań. Przystępuje do mnie w coraz to innych
maskach i chce zagłuszyć Ciebie.
Boże mój,
wielka jest moja słabość. Ale po stokroć większe jest we mnie
pragnienie pójścia drogą, która tylko do Ciebie!
Daj Panie, daj mojej drodze siłę ciągłego Tobie - Hosanna!

x x x

Chrystus winien być dla mnie wszystkim:
i pęcherzykiem powietrza, z którego żyje moja dusza,
gdy wokół tylko dym i dym;
i laskę białą, którą ścieżynki białej w gaszczu wrzaskli-

K O S C I O Ł W P O L S C E

Tadeusz Mazowiecki

ZADANIA INTELIGENCJI KATOLICKIEJ W POLSCE wobec wyboru Jana Pawła II

Referat wygłoszony na Walnym Zebraniu KIK w Warszawie 1.IV.1979 r.

Od wyboru kardynała Wojtyły na Papieża upływa 5 i pół miesiąca. Można powiedzieć *d o p i e r o* 5 i pół miesiąca patrząc z podziwem na intensywność tego okresu w działaniu samego Papieża. Tak krótko i aż tyle! I można też powiedzieć: *j u ż* 5 i pół miesiąca - jeżeli uświadomimy sobie, że wydarzenia jakby ciągle nas wyprzedzają. Wyprzedzają naszą refleksję, zdolność uświadomienia sobie głębiej, co z tego wynika dla nas, dla naszej postawy, świadomości i zadań. A biorąc pod uwagę najbliższe nam, ogromnej wagi wydarzenie - przyjazd Jana Pawła II do Polski - w nadchodzącym czasie będą one nas nadal wyprzedzać.

Z pomocą tego "już" i "dopiero" - można też spojrzeć na ewolucję społeczno-psychologicznego przeżycia tego faktu w naszym społeczeństwie.

Najpierw był ogromny wstrząs opinii faktem wyboru Polaka na Papieża. Następnie przeżycie - powszechnie chyba niezwykle- telewizyjnej transmisji Mszy inauguracyjnej.

Później - choć zainteresowanie nie słabło- masowe środki przekazu starały się wyciszyć zainteresowanie Papieżem, sprowadzić ten fakt do rzędu czegoś, czego związek z Polską jest tylko genetyczny; do faktu, który nie oddziałuje jako czynnik potęgujący energie duchowe społeczeństwa. Interpretowane i informowane więc selektywnie. A Papież miał być fenomenem, jeśli już nie z rządu Hermaszewskiego, bo to by się nie udało, to polskim Kurtem Waldheimem. Teraz, z konieczności, zakres informacji zmienić się musi ze względu na wizytę w Polsce. Ale można założyć, że później to nastawienie powróci.

A samo społeczeństwo? Zainteresowanie jest nadal duże. Świadczy o tym ogromny, nie słabnący popyt na słowo drukowane związane z Janem Pawłem II - i jako człowiekiem, i z jego działalnością. Dokonuje się jednak - co jest naturalne i zrozumiałe - proces przyzwyczajania. Jest dopiero 5 i pół miesiąca od faktu, którego sobie przedtem nikt nie wyobrażał, a już zaczyna się wydawać, jakby to trwało od dawna.

I dziś widać, jakże trudno jest tę niezwykłość wydarzenia i przeżycia przetworzyć w trwałą wartość. Im bardziej - i im może zbyt szybko - się do tego faktu przyzwyczajamy, tym łatwiej o zatracenie się tej niezwykłości wydarzenia w ogólnej szarzyźnie życia, w jaka jesteśmy wplątani; jaka pęta nam nogi i krępuje ducha, a która jest jednym z najbardziej dokuczliwych tego życia objawów. Więcej - to poczucie szansy i to, mówiąc w kategoriach chrześcijaństwa, odczucie znaku, jaki został nam dany, może się - wraz z tym, zbyt łatwym faktu tego przyjęciem i przyzwyczajaniem do niego - przetwarzać tylko w oczekiwaniu czegoś od Papieża, a nie w zobowiązaniu do szansy tej podjęcia, do znaku tego odczytania.

Za dwa miesiące nastąpi coś, co będzie jakby ponownym przeżyciem faktu 16 października przez miliony ludzi w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że wizyta w Polsce będzie wielkim poruszeniem energii duchowych społeczeństwa i ogromnym wzmocnieniem tych energii.

Czy społeczeństwo polskie, czy Kościół w Polsce, czy my wszyscy i każdy z osobną, jako członkowie tego społeczeństwa i

Kościół - potrafił przyczynić się do tego, aby to poruszenie i przeżycie stało się wartością trwałą? To wielkie i ogromne, poważne pytanie.

Myślę, że będzie o tym decydować nie tylko przebieg i sposób przeżywania samej wizyty. Będzie on bardzo istotny. Ale równie istotna będzie i to, czy i jak ten ładunek emocjonalny zostanie później przetworzony. A to jest sprawa podjęcia zadań intelektualnych i moralno-społecznych w znaczących życiu duchowe, duchową jakość naszego Kościoła, naszego społeczeństwa, a także naszej kultury.

OSOBA, FAKT, PROGRAM

Zastanawiając się nas naszymi własnymi i całej polskiej inteligencji katolickiej zadaniami, jesteśmy dziś w innej sytuacji, niż wieczorem 16 października. Wtedy dominowało uczucie, że stało się coś wielkiego, wzruszenie, poczucie, że coś się w Kościele, i przed nami jako Polakami, nowego, oszałamiająco nieprzewidzianego otwiera. Kiedy 22 października zobaczyliśmy w telewizji Jana Pawła II na placu św. Piotra i usłyszeliśmy jego homilię, zarysowała się przed nami po raz pierwszy osobowość Karola Wojtyły jako papieża. Jedni z nas znali go przedtem dobrze, inni mniej, jeszcze inni wcale, ale dla wszystkich nas była to osobowość bliska: osobowość człowieka, który ma niezwykłą jasność zasad, a zarazem autentyczną, żywą otwartość ku innym. Teraz, od pierwszej chwili, jako papież ukazał się jako osobowość silna i jakby zwielokrotniona. Ale nie tylko osobowość została zarysowana. Zarysowały się już podstawowe linie programowe Jana Pawła II - od pierwszych orędzi, po encyklikę "Redemptor hominis".

Nie zamierzam tu i nie podjąłbym się tego zadania - dokonywać wszechstronnej egzegezy tych dokumentów, sądzę jednakże, iż nasze wspólne zastanawianie się wymaga takiego odniesienia:

- do osoby;
- do faktu tego wyboru i jego znaczenia dla Kościoła, dla Polski i dla świata;
- do programu.

O osobie już mówiłem. Nie chciałbym uprawiać katwej w tych warunkach apologii, sądzę zresztą, że do mówienia na temat osoby są tu inni bardziej uprawnieni. Do tego co powiedziałem dodam tylko jedno: od Piotra począwszy, to tacy sami, jak my, zwykli ludzie, choć obdarzeni i władzą, i charyzmatem. Ale hieratyczność papieżstwa sprawia, że widziano w Papieżu tylko najwyższy urząd a nie osobowość, osobowość, której - w imię szacunku dla Piotra, dla ciężaru, jaki dźwiga - należy się także jakiś osobisty stosunek, stosunek do osobowości. Wydaje mi się, że Papież ten, Jan Paweł II, należy do ludzi, którzy niosą swój urząd tak, iż to osobowość go wypełnia, a nie odwrotnie. A osobisty, czy osobowościowy stosunek do Niego - to jakby odpowiedź na styl, który swoim stosunkiem do innych wprowadza. Przypomną pewien istotny, a nie zawsze zauważany rys tego stylu: zwraca się mianowicie w swoich orędziach - wyraźnie to podkreślając - do wszystkich i do każdego. Mówiąc nawet do milionów ludzi, nie mówi do masy, lecz do każdego w jego osobowości. Ten głęboko personalistyczny styl coś mówi i - zobowiązuje. A w orędziu do Polaków - nie jest tylko retoryką, lecz autentyczną potrzebą, zwrot odwołujący się do szczególnego prawa do naszych serc i modlitwy.

Fakt tego wyboru i świadomość jego znaczenia była już przedmiotem wielu refleksji e naszych pismach. Ale ponieważ w tym właśnie - w przeżyciu tego faktu i w świadomości jego znaczenia dla Kościoła i dla Polski - zawiera się ogromny, wywołany tym wydarzeniem kapitał społeczny i religijny, którego obrócenie w trwałą wartość

stanowi nasze, aader istotne zadanie - nie sposób raz jeszcze do tego faktu i jego pozycje nie wrócić.

Mówiąc najkrócej, a woli całego Kościoła był ten wybór i świadectwem jego żywotności, i wielkim, kolejnym faktem odnowy. Śmiało przekroczenia barier nicości - i to w sytuacji, gdy w Kościele występują różne, sprzeczne tendencje - było działaniem pod natchnieniem Ducha św., a w kategoriach ludzkich biorąc - aktem odwagi i wyrazem dalekosięczności, i bez względu na motywy poszczególnych elektorów, ich takie lub inne widzenie tendencji rozwojowych Kościoła - stało się, samo przez się, kolejnym, wielkim aktem odnowy.

Stało się także, przyjętym przez świat, poruszeniem duchowym. Poruszeniem duchowym świata, który bardziej niż kiedyś jest świadom nie tylko sprzeczności politycznych, lecz i sięgającego głębiej, aż do samej wiary w niekończący się postęp i rozwój - kryzysu duchowego. Świata, który potrzebuje i oczekuje od chrześcijaństwa nowego impulsu nadziei.

Integralną część tego poruszenia stanowi fakt, że Papież jest Polakiem, że przychodzi z kraju komunistycznego, z "drugiego świata", z Kościoła, który w tym "drugim świecie" wykazał swoją żywotność i niezniszczalność.

Ten właśnie fakt ma dla nas jako dla Polaków i dla innych ludzi tego drugiego świata zasadnicze znaczenie. Wprowadza on - w jak kościelowo nowy sposób - nasze problemy i problemy narodów żyjących w tym drugim świecie w centrum uwagi chrześcijaństwa.

Przyjęliśmy wybór ten jako wielkie wydarzenie narodowe i z poczuciem jakby rekompensaty historycznej. A także jako wydobycie znaczenia Kościoła polskiego i jego trudnego doświadczenia i podkreślenie go w skali Kościoła powszechnego. Przyjęliśmy to tak, niezależnie od tego, iż przecież wiemy, że decydujące znaczenie miał tu wybór osoby, a nie narodowość.

Jakowe jest rozważenie tego w kategoriach, iż "nam się to należało", ale poczucie satysfakcji jest historycznie i psychologicznie uprawnione. To poczucie satysfakcji a zarazem powiew nadziei - tworzy ten szczególny, polski kapitał, wynikający z tego wyboru.

Ten kapitał jest ciągle do przetwarzania w trwałą wartość, bowiem jeśli nawet przez te miesiące emocjonalne odczucia zmalą, będzie on z pewnością wzmocniony po wizycie ozerkowej. Istotny jest wszakże sposób przeżywania tego poczucia satysfakcji, jego kierunek. Czy prowadzi to do wywyższenia się nad innych. Trzeba - mówiono w ponym - czy też do wywyższenia się nad innych. Trzeba - mówiono w poprzedzającej to zebranie dyskusji Zarządu - widzieć oba te trendy, pierwsza jako szansę, drugi jako niebezpieczeństwo. Trzeba odwołać się do pierwszego z nie i pogłębiając go, przeciwdziałać drugiemu.

Trzecie odniesienie - to zarysowane już, czy zakrysowujące się linie programowe pontyfikatu Jana Pawła II. Autentyczną wykładnię programu - tego, co najważniejsze - przedstawia Jan Paweł II w encyklice "Redemptor hominis". Analiza jej wykracza poza ten referat i wymaga osobnego studium. Spróbujmy wszakże, swoimi słowami, odwołać się i do Encykliki, i do innych faktów i dokumentów, scharakteryzować te linie programowe, tak jak je odczytuje.

1. Najważniejsze i najbardziej charakterystyczne jest to, co Jan Paweł II pokazał symbolicznie gdy na zakończenie uroczystości inauguracyjnej dokonał gestu błogosławieństwa krzyżem "in orbem". Nasuwało się nieodparte wrażenie, że - w połączeniu z wygłoszoną homilią - w tym geście jest program. Program dynamiczny, prozycyjny, misyjny. Chrystus ukrzyżowany - postawiony w centrum uwagi świata przeżywanego kryzys duchowy. Podkreślenie powagi

problemu religijnego i powagi problemu człowieka. Zespolenie jednego z drugim.

Teraz zaś encyklika stawiając pytanie, jak Kościół ma kroczyć dalej w perspektywie drugiego tysiąclecia - mówi o jednej odpowiedzi, jednym zwrocie ducha, jednym kierunku wysiłku, woli i serca: ad Christum Redemptorem hominis, ad Christum Redemptorem mundi. Jest to wielki program chrystocentryczny i zarazem z całą siłą zwrócony ku człowiekowi. Program zbudowany na fundamencie antropologii chrześcijańskiej. W encyklice mówi się: "Właśnie owo głębokie zdumienie wobec wartości i godności człowieka nazywa się Ewangelia... nazywa się też chrześcijaństwem... Stanowi o posłannictwie Kościoła w świecie... Szczególnie w świecie współczesnym..."

2. Ten zasadniczy program skierowuje Jan Paweł II przede wszystkim ku samemu Kościołowi. Chodzi tu o samoświadomość Kościoła o sposób pełnienia jego roli, o skupienie Kościoła, wszystkich sił chrześcijaństwa - wokół człowieka. I o otwarcie człowieka na tę perspektywę, którą daje i z której przemawia chrześcijaństwo. Jest to ukazanie nadrzędności tego zadania nad wszystkim innym, ma to jak mi się zdaje potrójnie ważne znaczenie i wymowę.

W obliczu tak różnych warunków i sytuacji dzisiejszego Kościoła - jest właśnie skupieniem i ukierunkowaniem, odnowieniem i nadaniem nowego dynamizmu apostołskiej, misyjnej funkcji Kościoła wobec współczesnego człowieka - wszędzie.

Wobec różnych tendencji i sprzeczności we współczesnym Kościele jest wezwaniem i wymaganiem zwrotu ku temu, co nadrzędne. Wymaganiem, które ma swoje źródło nie w opowiedzeniu się za jedną tendencją i nie w samej tylko potrzebie dyscypliny - nie w odnowieniu samoświadomości, poczucia tego, co określa sens chrześcijaństwa, misji i - tego, co jest, mimo wszystko, drugorzędne. Jest wezwaniem, aby różność rozumienia nie zastąpiła tego, co nadrzędne. Wezwanie do zwrotu ku temu, co nadrzędne, nie jest tu retoryką, ani klejeniem sprzecznych i wykluczających się tendencji. Jest przejściem powyżej tych sprzeczności, albo, mówiąc inaczej, odwołaniem się do tego, co tkwi w samej głębi, do sensu chrześcijaństwa, do sensu Kościoła.

Oczywiście, nie chcę tu mówić, że to usuwa wszystkie trudności, wszystkie sprzeczności. Trudność tkwi zawsze w szczegółach. W szczegółach jest też domena diabła, który może, jeśli nie wszystko to wiele powywracać. Ale, myślę, że bardzo dużo we współczesnym Kościele zależy od tego, czy i jak to wezwanie do nadrzędności, do zwrotu ku temu, co nadrzędne - zostanie wysłuchane i zrozumiane w całej głębi.

Ten program ukazujący chrystocentryczną i antropologiczną nadrzędność spraw i misji chrześcijaństwa - jest już ekumenicznym zaproszeniem i zapowiedzią sposobu rozwijania ekumenizmu chrześcijańskiego. W Encyklice Papież wspomina o trudnościach i jakby uczuciu zawodu, z jakim ludzie niekiedy patrzą na sprawy ekumenizmu. A równocześnie mówi: "...w tym jednym możemy i winniśmy już teraz osiągnąć i ujawnić światu naszą jedność: w głoszeniu tajemnicy Chrystusa, w ujawnianiu Boskiego a równocześnie ludzkiego wymiaru Odkupienia, w zmaganiu się /.../ o tę godność, jaką każdy człowiek osiągnął i stale osiąga w Chrystusie, która jest godnością łaski Bożego przybrania a równocześnie godności wewnętrznej prawdy człowieczeństwa".

3. Sposób wcielania obecności Kościoła i chrześcijaństwa w dzisiejszym świecie.

Narzuca się najpierw pytanie, jaka jest relacja między tym dynamizmem, misyjnością, która tak przebiega z programowych wysiłków Jana Pawła II, a rozumieniem formy obecności Kościoła w świecie. Czy jest to może jakiś podskórny nawrót do teokratyzmu?

Z pewnością chodzi tu o przenikanie życia, całego życia przez chrześcijaństwo, o nadanie dynamizmu pełnieniu tego zadania. Ale równocześnie sposób stawiania tego programu - jest w całej swojej głębi i w swojej istocie na antypodach teokratyzmu.

Nie jest rolą Kościoła opierać swego działania na państwie. Ale jest wymaganiem Kościoła aby państwo nie krępowało jego misyjnej działalności wobec człowieka, całego człowieka, w jego kulturze, w jego całym życiu. Ten misyjny, a zarazem nie teokratyczny model obecności chrześcijaństwa i Kościoła nie jest w sprzeczności ze świeckim charakterem państwa demokratycznego. Jest natomiast w sprzeczności z takim pojmowaniem świeckości, która polega na wypychaniu Kościoła z kultury, na spychaniu go do zakrycia. Model sojuszu tronu i ołtarza w ogóle nie mieści się w tym rozumieniu obecności Kościoła w świecie. Nie prosimy o przywileje, ale o prawa należne nam z tytułu praw ludzkich - ten motyw przewija się od pierwszych przemówień Papieża /przemówienie do dyplomatów/. A sprzeczność chrześcijaństwa z ateizmem politycznym wynika nie z faktu niewiary, lecz z naruszania praw człowieka. Jest sprzecznością z totalizmem a nie z odmiennym poglądem na sprawę istnienia Boga.

Chrześcijaństwo a prawa człowieka - to zatem dla tego rozumienia obecności i zadań Kościoła w świecie, sprawa centralna. Znamienny jest tytuł rozdziału poświęconego temu zagadnieniu w Encyklice "prawa człowieka, litera czy duch"? Antropologia chrześcijańska, którą Jan Paweł II prezentuje, jest chrześcijańską wizją rozumienia praw człowieka. Sposób wyciągania konsekwencji z tej wizji ma charakter globalny: dotyczy wszystkich sytuacji i wszystkich aspektów praw człowieka: głodu, nierówności narodów, ich niezależności i praw politycznych ludzi. I to jest funkcją papieża. My możemy się tylko cieszyć, że człowiek, który przychodzi stąd, widzi tak globalnie te sprawy. A równocześnie w sposobie stawiania spraw - odbija się właśnie w tym punkcie doświadczenie człowieka pochodzącego z "drugiego świata". We wszystkich wypowiedziach odbija się ono w niustannym stosowaniu nierozdzielności pojęć takich, jak pokój wewnętrzny i prawa człowieka na wewnątrz; pokój i sprawiedliwość. Myślę, że tkwi w tym coś bardzo istotnego, co przrzuca się już i rzutować się będzie na modyfikacje tzw. polityki wschodniej Kościoła. Pierwszeństwo dyplomacji czy świadectwa? Czy nierozdzielność dyplomacji od świadectwa. Kościół za rządów Jana Pawła II nie wyrzeka się dyplomacji ale od pierwszego momentu działa w świadomości, że tylko wzmocnienie energii duchowej narodów, poruszenie ich życia, a nie polityka gabinetowa - prowadzi do wzrostu i wolności człowieka, i możliwości działania Kościoła.

Scharakteryzowanie tych elementów programowych wydało mi się niezbędne dla refleksji nad naszymi zadaniami, nad sposobem ich rozumienia i nadania mu dynamiki. Chodzi bowiem nie tylko o to, co jest chyba oczywiste - że zastanawiając się nad tymi zadaniami nie sposób rozpatrywać je w oderwaniu od tego, jakie rysy programowe ma nowy pontyfikat. Chodzi także o to, że również my musimy odczytać wezwanie tego programu w sposób zgodny nie tylko z jego literą, ale z jego duchem. A więc nie "selektywnie", biorąc z niego to, co jest nam wygodniejsze - ale w sposób całościowy.

ZADANIA I ICH ROZUMIENIE

Pierwszym i najważniejszym zadaniem jest oczywiście przeżywanie tych wydarzeń, których jesteśmy świadkami - w głębi własnej wiary. I jak podkreślono to we wspomnianej tu dyskusji Zarządu - pogłębienie przeżycia tego, czym ta wiara jest. Mówię najpierw

o własnej wierze, bowiem trzeba zaczynać od siebie. Zadaniem tym jest także i wyciągnięcie konsekwencji z tego przeżycia, lapidarnie ujęto to w tamtej dyskusji w zdaniu: chodzi o to, aby ludzie stali się lepsi. I to również rzutuje się na nas jako poszczególnych ludzi, na nasze rodziny, na wszystkie nasze środowiska, na ich atmosferę życia i postępowania.

Rozważmy tu jednak nasze zadania wspólne - klubów i pism - jako ludzi, którzy chcą współtworzyć intelektualny, wychowawczy i społeczny wymiar katolicyzmu polskiego, i których społeczną funkcję w tym się wyraża. Mówiłem o przetwarzaniu tego przeżycia "wydarzeniowego" w trwałą wartość, w energię życia duchowego naszego społeczeństwa. Można by powiedzieć, że generalnym zadaniem, obejmującym nasze intelektualne oraz wychowawcze i społeczne działania - jest wytworzenie predyspozycji do tego, by to przeżycie stawało się wartością trwałą. Pogłębianie i ukierunkowywanie go.

Zadanie to trzeba odnieść wszakże nie do wyabstrahowanego człowieka, lecz do sytuacji naszego społeczeństwa. A więc i do charakteru polskiego katolicyzmu, do sposobu przeżywania wartości religijnych i spraw wewnętrznych Kościoła i do spraw życia publicznego, tożsamości narodowej, zagrożeń społeczeństwa i człowieka. Wyprowadzam z tego odniesienia trzy takie - różnego rzędu - zadania, które wymagają nadania im intelektualnego i wychowawczo-społecznego wyrazu w naszej pracy.

1. Synteza odnowy i tradycji w katolicyzmie polskim

Wyjaśniam, o co mi chodzi. Ścisłe biorąc chodzi nie tyle o opracowanie jakiejś syntezy, co o "postawę syntezy". Co przez to rozumiem i dlaczego to jest ważne?

Wszystkie nasze środowiska głęboko przeżyły Sobór i to, co można nazwać soborowym otwarciem Kościoła. Skala zmiany Kościoła epoki Jana XXIII i później była ogromna w stosunku do epoki poprzedniej, dla naszych młodszych kolegów wprost niewyobrażalna. Później przyszedł okres ostrych sprzeczności różnych tendencji ujawniających się w Kościele powszechnym, co do tempa, zasięgu i charakteru dalszej reformy. W Polsce te sprzeczności nie miały nigdy takiego wyrazu. Wynikało to z sytuacji zewnętrznej Kościoła. Nikt z ludzi zaangażowanych w reformę, a zwłaszcza nikt z naszych środowisk nie lekceważył znaczenia tego, że religijność tradycyjna ma charakter masowy i że stanowi o sile polskiego Kościoła. Stało się wszakże tak, że nasz dynamizm posoborowy został przez świadomość tych sprzeczności i trudności zewnętrznych pohanowany, a synteza wartości tego, co płynie z tradycji i nasowej religijności polskiej i tego, co jest wartością wnoszoną przez czynnik odnowy nie została przez nas podjęta. Co więcej - wśród nas samych ta sytuacja wytwarzała dwoistość, wytwarzała pewną "intelektualną niemożność", okopanie się na zajętych pozycjach, brak dialogu.

Wydaje mi się, że podjęcie tych programowych linii nowego polityfikatu - jest niemożliwe bez wysiłku zdchycia się na to, co nazywam "postawą syntezy". Wiem, że sprawa jest trudna. Są sprzeczności stanowisk, napięcia, których wyminąć się nie da, pozostając w prawdzie wobec samego siebie. Trzeba to rozumieć i w naszej przeszłości i w podejmowaniu aktualnych zadań. Postawa syntezy nie jest apelem do nikogo o wyzbycie się siebie, jest pójdciem naprzód, próbą znalezienia sposobu ich przezwyciężenia w innym, bardziej nadrzędnym wymiarze. A konkretnie biorąc: jest próbą naszej odpowiedzi na to, co w programie Jana Pawła II jest wezwaniem do podporządkowania tego, co drugoplanowe, temu, co nadrzędne w chrześcijaństwie w Kościele. Takiej naszej odpowiedzi, która by mogła zaowocować twórczo dla polskiego katolicyzmu i Kościoła.

2. Synteza wartości narodowych i wartości uniwersalnych w myśleniu polskim

Sprawa jest - można powiedzieć - stara i ciągle odżywiająca, w wyniku sytuacji, w jakie naród nasz był i jest wtrącany. Jest to sprawa rozdzielania się tych dwóch perspektyw myślenia: narodowej i uniwersalnej oraz tragicznych nieraz opcji między nimi. Ale, jak nigdy dotąd właśnie teraz, poprzez to uniwersalne wyniesienie polskości, jakim jest wybór Polaka Papieżem, otworzyła się szansa przezwyciężenia tego rozdźwięku, który tak często wypychał nas w kompleksy, odizolował od kultury światowej, wytwarzał i utrwał w jednym narodzie głęboko obce sobie mentalności.

Tymczasem, życie duchowe narodu, jego kultura zależy od udziału w wymianie wartości z innymi, od tego, jakie wartości ma do zaoferowania kulturze uniwersalnej i jakie wartości może i potrafi czerpać - przetwarzając je dla siebie.

Otrzymałoby teraz szansę zainteresowania i lepszego rozumienia przez innych. Szansę, niełatwą, na razie powierzchowną, ale szansę do wykorzystania. Jest to szansa dla nas i - nic tylko dla nas. Siłą bowiem polskiego Kościoła i katolicyzmu - jesteśmy jakby porte parole ludzi "drugiego świata", ich sytuacji, ich problemów. Możemy ukazać kulturze uniwersalnej istnienie "drugiej twarzy Europy", Europy drugiego świata; ukazać i naszą historię, i nasze aktualne życie, dramatyczne w nim zmagania o godność człowieka, o zachowanie tożsamości narodu i podmiotowości społeczeństwa. Możemy to pokazać nie w kategoriach kompleksu, ale w takich kategoriach, w których te nasze sprawy odsłoniłyby się innym jako problemy ogólne ludzkiego losu.

Sądzę, że wykorzystanie tej szansy zależy od przezwyciężenia w myśleniu polskim tego rozdźwięku; zależy od syntezy wartości uniwersalnych i narodowych w polskiej mentalności i kulturze.

3. Sprawa naszego udziału intelektualnego, wychowawczego i społecznego w rewidyfikowaniu ludzkiej godności i praw człowieka w Polsce

Ten trzeci zespół zadań jest chyba najbardziej bliski powszechnym odczuciom społecznym. Można by o tym mówić wiele. To jest sprawa cenzury, dostępu do środków masowego przekazu, statusu obywatelskiego i zawodowego ludzi wierzących, statusu obywatelskiego i zawodowego ludzi ośmielających się myśleć i działać niezależnie. I to jest - z drugiej strony - sprawa długofalowego wychowania, zarówno wychowania w naszych rodzinach, jak i wychowania w sensie kształtowania odważnej, demokratycznej kultury politycznej.

Nie będą tych wszystkich tematów rozwijał, powiem tylko o jednej, jak mi się wydaje, centralnej sprawie. Chodzi o to, co zrobić by przeciwdziałać autodewastacji, czy autodeprawacji społecznej, która się dokonuje i co zrobić aby - w swoim poczuciu praw ludzkich i obywatelskich i w swoim poczuciu godności - nastąpił jakiś powszechny postęp w świadomości i postawach? Jeżeli mówimy, w związku z wydarzeniami tego pontyfikatu, że najważniejszą sprawą jest przetworzenie tego przeżycia w trwałą wartość - to tu rysuje się centralna kwestia.

Być może konieczne jest wylansowanie dwóch najprostszych hasła: jednego, które by się zwracało przeciw pijaństwu i drugiego, które by się zwracało przeciw grzechnięciu w zakłamaniu życia publicznego.

Gdyby pomarzyć i przypomnieć sobie, że przecież w okresie Millenium - w sprawie znacznie bardziej dla świadomości polskiej kontrowersyjnej - miliony ludzi powtarzały "przebaczymy", i że to nie było puste, ale stanowiło jakiś istotny zwrot w postawach;

gdyby więc pomarzyć i wyobrazić sobie, że teraz te dwa hasła: nie upijaj się i nie kłam, czy nie ufaj zakłamanemu - ludzie będą powtarzać; albo gdyby w inny sposób, poprzez masowe duszpasterstwo zostały one doprowadzone do powszechnej świadomości jako ostry problem - byłby to zwrot jeszcze istotniejszy.

Może, to co mówię, jest nierealne, może trzeba szukać innych, dostępnych nam środków oddziaływania. Ale dla rozumienia naszych zadań - nas, którzy żyjemy w środowiskach zamkniętych, elitarnych - istotne jest jedno: aby nie opuszczało nas dręczące poczucie, że nie wystarczy przyglądanie się postawom, protestom i inicjatywom wąskich grup ludzi - kontrrewolucyjnych dla niektórych, dla innych niekontrowersyjnych - ale, że konieczny jest bardziej może nieznamy, lecz za to powszechny postęp poczucia godności i poczucia praw człowieka. I że Kościół i my, jako inteligencja katolicka mamy tu coś do zrobienia.

Całą bowiem tą sprawą naszych zadań, tego przetwarzania w naszą wartość naszego przeżycia faktu polskiego Papieża, chciałbym zakończyć taką opowieścią:

Wśród pięciu materiałów skonfiskowanych przez cenzurę z ankiety "Więzi" opublikowanej w dwunastym numerze, była wypowiedź obecnej tu naszej koleżanki, pani Leonii Jabłonkówny. Wypowiedź ta osnuta była wokół wiersza Słowackiego. Chodziło jednak nie o ten słynny i powtarzany wiersz o słowiańskim papieżu. Autorka, pełna niepokojem o to, co dalej uczynimy z tym wielkim przeżyciem, jakiego doznaliśmy, mówiła, że właśnie ten wiersz jest przyjmowany bezrefleksyjnie, uspokajająco i sięgnęła po inny, dramatyczny wiersz Słowackiego:

Szli krzycząc Polska, Polska!...

Wtem Bog z Mojżeszowego pokazał się krzaka
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: "Jaka?"

Cenzura uznała, że takiego pytania nie ma. I być nie może. Nie sposób było wytłumaczyć, że w pytaniu tym nie chodzi o to czy socjalistyczna, czy może kapitalistyczna; że tu chodzi o naszą jakość duchową, o duchowy wymiar Polski. I wypowiedź ta - nie ukazała się. Ale zostawmy na boku cenzurę. Przynajmniej w tej chwili. Istotne jest to pytanie: JAKA? Istotne jest to, czy wytłumaczymy nie cenzurze, ale sobie i innym - wagę tego pytania.

----- 0 -----

"Wszyscy wspólnie mamy odnowić świadomość odpowiedzialności za naszą narodową i religijną kulturę. Wszyscy mamy czuwać - każdy według swoich możliwości - aby próby ograniczenia wpływu naszej kultury na wychowanie nie znalazły wśród nas miejsca".

/ Z Listu Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej - na 21 maja 1978 r./

Ks. Stanisław Makowski

SPIRAWA PRZERZYWANIA CIĄŻY W POLSCE

Czterej posłowie z neo-"Wzrostu" zwrócili się 22-go XI 1978 do ministra zdrowia i opieki społecznej N. Sliwskiego z interpelacją w sprawie problemu przerywania ciąży. Pytali oni co ministerstwo zamierza uczynić dla ograniczenia zjawiska przerywania ciąży oraz czy podjęte będą próby uchylecia istniejącego w tej dziedzinie stanu prawnego. Posłowie postulują uchylenie obecnie obowiązujących przepisów dotyczących przerywania ciąży oraz podważenia tych przepisów nadrzędnym zasadom aktywnej polityki rodzinnej i ludnościowej. Posłowie nie mówią wyraźnie, że chodzi im o całkowite uchylenie ustawy zezwalającej na przerywanie ciąży w Polsce, chociaż może to wynikać z przytoczonego uzasadnienia.

W uzasadnieniu swojej interpelacji posłowie stwierdzają, że 1. przerywanie ciąży jest "aktem godzącym w życie nienarodzonego", działaniem "sprzecznym z prawem osoby ludzkiej do życia"; 2. obecne warunki życia rodzin znacznie bardziej sprzyjają urodzeniu i wychowaniu dzieci niż te, które istniały w 1956 r., gdy uchwalano ustawę; 3. stan prawny może wspomagać lub utrudniać wysiłek wychowawczy Kościoła i państwa w kierunku ograniczenia szkodliwego zjawiska przerywania ciąży; 4. obecny stan prawny budzi niepokój, zagrożeniekażdego człowieka, a zwłaszcza kobiet, jest niekonsekwentny - wewnątrz sprzeczny, bo chroni się prawa dziecka nienarodzonego do dóbr materialnych, a dopuszcza się naruszenie jego prawa do życia; 5. przepisy prawne wykonawcze nie ustalają żadnych obiektywnych kryteriów - wystarcza jednostronne ustne oświadczenie zainteresowanej kobiety; 6. pomimo lepszych warunków życia nie spada ilość sztucznych poronień uzasadnionych "trudnymi warunkami życiowymi"; 7. W Polsce nie ma prawnych ograniczeń dopuszczalności przerywania ciąży w określonych sytuacjach a nawet zdarzają się wypadki nacisku - doradzania przez lekarzy i personel poradni kobiece, aby poddała się zabiegowi przerywania ciąży; 8. zdarzają się niebezpieczne wypadki propagandy na rzecz przerywania ciąży w środkach masowego przekazu i wydawnictwach służby zdrowia; 9. zdarza się niebezpieczna sytuacja, w której lekarz w toku nabywania specjalizacji ginekologicznej lub w toku swojej praktyki zobowiązany bywa do przerywania ciąży; 10. również względy demograficzne przemawiają za zmianą przepisów określających dopuszczalność przerywania ciąży, bo mamy w perspektywie starzenie się ludności oraz zagrożenie ekonomiczne i polityczne wskutek braku rąk do pracy na wsi i w usługach.

Odpowiedź ministra jest popisem demagogii i w istocie oznacza odmowę udzielenia odpowiedzi na pytania szczegółowe oraz odpowiedź odmowną na pytania zasadnicze. Do większości rzeczowych argumentów zawartych w interpelacji minister nie zechciał ustosunkować się na tym poziomie ogólności, na jakim argumenty były przedstawione, bądź nie ustosunkował się w ogóle. W odpowiedzi na uprzedności posłów, którzy powołują się na spotkanie Gierka z naukowcami i działaczami n/t rodziny oraz wypowiedź ministra Zgrowia w "Trybunie Ludu", minister przyznaje kaskawie posłom dobre intencje oraz obywatelską troskę, zwraca jednak uwagę, że problem ten był już "wielokrotnie i wszechstronnie dyskutowany przez najwyższe autorytety wśród polityków, filozofów-etyków, publicystów, pisarzy, prawników i lekarzy". Po takim wstępie i zapewnieniu, że minister również podziela troskę posłów, następuje szereg stwierdzeń, niekiedy gołosłownych, niekiedy samochwalczych, często kłamliwych, czasem jednak artych dyskusji. Swojego rodzaju wybiegiem jest połączenie

w odpowiedni problem poruszonego w interpelacji ze sprawą opieki nad matką i dzieckiem. Odpowiedź kończy się zapewnieniem, że "to co już zrobiliśmy i wszystko co zamierzamy w perspektywie zrobić dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że /.../ rodzina zajmuje w Polsce należne jej, poczesne miejsce".

Minister zdrowia w odpowiedzi na interpelację stwierdza, że 1/ prawne zakazy i represje sądowe stanowią nieskuteczny sposób przeciwdziałania przerywaniu ciąży; represje takie przynoszą jedynie "powiększenie strat: a/ demograficznych, b/moralnych, c/biologicznych" - w wyniku nielegalnych zabiegów przeprowadzanych w złych warunkach; 3/ podobnie do naszych, zasady co do przerywania ciąży obowiązują w większości krajów świata; 4/ liczba poronień w r. 1955 wynosiła pomimo zakazu przeszło 100 tys; 5/ w ostatnich latach nie ma zgonów kobiet w związku ze sztucznymi poronieniami, natomiast przed r. 56 było takich zgonów około 60 rocznie; 6/ "my lekarze najlepiej wiemy" jakie są negatywne skutki przerywania ciąży, "w całej swej działalności podkreślamy niebezpieczeństwa"...; "wykorzystujemy wszelkie możliwości oddziaływania"...; 7/ w latach 62-77 liczba zarejestrowanych zabiegów przerywania ciąży /na 1000 kobiet w wieku rozrodczym/ ze wskazań społecznych zmniejszyła się, a stanowi "niewątpliwy skutek polityki naszego państwa"; 8/ kształcąc lekarzy "zawsze akcentujemy ich moralną i prawną odpowiedzialność za rozwój narodu"; 9/ doświadczenia państw, gdzie wprowadzono w miarę precyzyjne definicje tzw. trudnych warunków uprawniających do przerywania ciąży nie zachęcają nas, bo tamtejsi ustawodawcy nie osiągnęli wyraźnego zmniejszenia liczby przerywań ciąży i wzrostu liczby urodzeń, a z drugiej strony zanotowano wzrost liczby zgonów kobiet w związku z poronieniem.

W konkluzji minister informuje, że "nie ma uzasadnienia do zmiany ustawy z 1956 r.", oraz znowu zapewnia o swej dobrej woli: "chcemy maksymalnie ograniczyć dążność do przerywania ciąży, leży nam na sercu serdeczna troska o rozwój narodu, o jego siłę, żywotność", "tworzymy rodzinie coraz lepsze warunki rozwoju", czego dowodem jest m.in. "arbitrny program żywnościowy i budownictwa mieszkaniowego". Przy czym odsuwa minister od siebie odpowiedzialność za stan faktyczny w dziedzinie przerywania ciąży, bo pisze, że "nie nie zastąpi rodziny, na której spoczywa główny ciężar odpowiedzialności za losy młodych ludzi". Drugą część odpowiedzi ministra /przeszło połowa/ dotyczy poprawy opieki zdrowotnej nad kobietami i dziećmi oraz rozwoju poradnictwa rodzinnego.

Podzielenie /przez mnie/ obu wypowiedzi na punkty ułatwia zestawienie: do p. 1 i 2 interpelacji minister nie ustosunkował się w ogóle, do p. 3-10 ustosunkował się jakoś, odpowiednio - do p. 3-5 /interpelacji/ w p. 1 i 2 /odpowiedzi/, do p. 6 - w p. 7, do p. 7 - w p. 3 i 9, do p. 8 i 9 - w p. 6 i 8, do p. 10 - w konkluzji o "leżącej na sercu serdecznej trosce o rozwój narodu". Spraw poruszonych przez ministra w p. 4 i 5 posłowie nie wzięli pod uwagę,

Chociaż interpelacja poselska jest nieśmiała i połowiczna, a ponadto nie rozróżnia racji zasadniczych i drugorzędnych to jednak zasługuje na poważne potraktowanie jej. Minister zwraca się do posłów jak do dzieci oraz wyraźnie traktuje posłów jak głupców, czy daje oczywisty dowód swojej głupoty. Przechodząc do strony merytorycznej jego wypowiedzi, należy stwierdzić: ad 1/ jeżeli, jak pisze minister, przed 1956 r. było przeszło 100 tys. przerywanych ciąży rocznie, a po wprowadzeniu ustawy, jak pisze "Trybuna Ludu" dokonuje się rocznie około 300 tys. przerywań ciąży, to wzrost ilościowy jest znaczny. Spotkałem się z różnymi szacunkami ilościowymi: od 100 do 300 tys. przed r. 56 i od 300 tys. do miliona rocznie po r. 56 i obecnie. Można przypuszczać, że ilość przerywań ciąży wzrosła

za po wprowadzeniu ustawy trywialnie, chociaż ilość tę trudno ustalić. Ad 2/Minister ma tu na myśli jedynie straty spowodowane większym niebezpieczeństwem związanym z "nieodpowiednim przeprowadzaniem zabiegów"; nie wiem o co mu chodzi, czy pisze o powiększeniu strat moralnych w wyniku prawego skazu przerywania ciąży.

Ad 3/ Ciątwie, że system komunistyczny w Polsce tak skłonny jest do naśladowania demokracji zachodnich akurat pod tym względem, gdy chodzi o przyznanie kobiecie pełnej wolności dysponowania życiem nienarodzonego dziecka i o przyznanie lekarzowi pełnej wolności spełniania czynów nielekarskich, nieetycznych, w najgłębszym sensie zbrodniczych. Wolność w systemie demokratycznym wiąże się z ryzykiem nadużycia i wypaczenia jej sensu. Importowanie zachodnich nadużyć bez zachodniej demokracji jest swoistą perwersją totalitaryzmu. Ad 4/ Rzeczywista liczba poronień sztucznych w r. 1955 była prawdopodobnie znacznie większa, ale i obecnie rzeczywista liczba, jest parokrotnie większa od podawanej, a podaje się /w oparciu o statystyki lub szacunek/ oficjalną liczbę 200-300 tys. sztucznych poronień rocznie, co jest jaskrawą nieprawdą. Ad 5/ Według informacji, które mam od ginekologów, minister tutaj po prostu kłamie: ciągle zdarzają się wypadki śmierci kobiet, które poddały się "legalnemu" przerywaniu ciąży; śmiertelność ta wskutek lepszych warunków znacznie się zmniejsza, ale nie niknie. A przy tym śmierć kobiety nie jest jedynie szkodą, która spowodować może przerwanie ciąży - bez względu na warunki, w jakich zostało dokonane. Ad 6/ Nasuwa się pytanie: jeżeli wicie, to czemu kłamiecie? Druga część zdania jest oczywiście tym kłamstwem, choćby w świetle tego co piszą posłowie /p. 7 i 8 interpelacji/, a na co minister nie jest wstawiony odpowiedzieć.

Ad 7/ Zarejestrowane sztuczne poronienia stanowią tylko część /mniejszość/ rzeczywistej ich ilości. Zmniejszenie się liczby statystycznej może wiązać się ze zwiększeniem się liczby tzw. ciemnej. Wniosek ministra jest wątpliwy i bałamutny. Ad 8/ Nie jest to żadna odpowiedź na p. 8 i 9 interpelacji, a przy tym także gołosłowne stwierdzenie jest po prostu nieprawdziwe. Ad 9/ Czy można wierzyć komuś, kto tak gładko kłamie? Tę informację trzeba by sprawdzić. Celem jednak nie jest ograniczenie stosowania ustawy, lecz zupełne jej zniesienie. Nieograniczone stosowanie ustawy w Polsce jest wyrazem pewnej polityki prowadzonej u nas od przeszło dwudziestu lat, polityki sprzecznej z frazesami ministra, polityki nieczułej na fakty. A przy tym ewentualny fakt nieskuteczności prawnych ograniczeń nie oznaczałoby nieskuteczności całkowitego zniesienia ustawy.

Wypowiedź ministra Sliwińskiego nie dostarcza żadnych rzeczowych argumentów upoważniających do konkluzji, że "nie ma uzasadnienia do zmiany ustawy z r. 1956". Nasuwa się tylko wniosek, że inną drogą trzeba do tego dążyć niż przez interpelacje poselskie. Dowiadujemy się oto, że resort kierowany przez min. Sliwińskiego nie zamierza uczynić, ponad to co czyni, dla ograniczenia praktyki przerywania ciąży w Polsce. Skoro jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle? moglibyśmy zapytać, ale już nie min. Sliwińskiego, bo trudno dawać komuś to, czego on nie chce przyjąć, a prawda jest darem, który jak wiadomo może być odrzucony. Ktoś kto odrzuca prawdę musi jednak liczyć się z siłą społecznego nacisku, dlatego chociaż rozmawiać z władzą totalitarną nie warto, ale nacisk na tę władzę jest możliwy.

Ks. Stanisław Małkowski

Jerzy Adam Marszałkiewicz

MOJ POGŁĄD NA TRAGICZNY LOS LUDZI BEZDOMNYCH W POLSCE

W latach 1952 - 1971 byłem furtianem w Seminarium Duchowym we Wrocławiu. Jako kleryk-furtian musiałem obsługiwać najrozmaitszych interesantów, a wśród nich także biednych i żebraków. Przekonałem się wówczas jak wielka jest u nas armia ludzi bezdomnych i biednych szukających choćby skromnego wsparcia w instytucjach kościelnych, ponieważ na pomoc Opieki Społecznej często nie mogą liczyć. Codziennie do furty Seminarium Duchowego przychodzili ludzie, świeżo zwolnieni ze szpitali lub więzień, często nie posiadający mieszkań, do którego mogliby wrócić. Przychodzili też różni inni biedni ludzie: starcy i staruszki, inwalidzi, psychicznie chorzy oraz alkoholicy. Ci ostatni stanowili bardzo pokaźną grupę. Także i w ostatnich latach nadal przychodzą do furty seminaryjnej biedni i biedni.

Ludzie ci szukają pomocy w Kościele, kierując się głęboko zakorzenionym przekonaniem, że Kościół pomaga biednym i w tym celu ma swój "Caritas". Dlatego też pukają nie tylko do drzwi plebanii parafialnych, do kurii diecezjalnych, ale również do furt klasztornych i seminaryjnych.

Zasadniczo jest w tym słuszność, ponieważ działalność charytatywna jest jednym z nieodzownych zadań Kościoła i to od czasów apostołskich. Oto słowa encykliki Mater et magistra "I choć zadaniem Kościoła św. jest przede wszystkim prowadzenie dusz do świętości i zapewnienie im uczestnictwa w dobrach niebieskich, to jednak troszczy się on także o potrzeby codziennego życia ludzi; nie tylko ich utrzymanie i warunki bytu, lecz również o dobrobyt i powodzenie w różnych dziedzinach, zgodnie z wyrażeniami historycznego rozwoju... Nic więc dziwnego, że Kościół katolicki, czerpiąc naukę od Chrystusa i wypełniając jego nakazy już przez dwa tysiące lat, czyli od chwili ustanowienia pierwszych diakonów aż do naszych dni, niósł zawsze wysoko żagiew miłości, zarówno w swych wskazaniach jak i w bardzo licznych przykładach".

Jednak w mentalności biedaków szukających pomocy wszelkiego rodzaju w Kościele tkwi poważna pomyłka, ponieważ kościelna instytucja dobroczynna "Caritas" została w PRL zlikwidowana i przejęta przez państwo na mocy decyzji Rządu z dnia 23 stycznia 1950 roku. Odtąd zrzeszenie pod nazwą "Caritas" nie ma nic wspólnego z Kościołem. Została tylko nazwa, a całe kierownictwo przejęła Opieka Społeczna. Tak więc akcja pomocy społecznej została zmonopolizowana w rękę totalitarnego państwa i Kościół utracił w PRL prawo organizowania akcji charytatywnej we własnych zakładach, przytułkach, azylach schroniskach, domach dla nieuleczalnie chorych i kuchniach ludowych. Dlatego też Kościół wobec ogromnej części potrzeb biednych ludzi jest bezradny i nie może im zaradzić. Kościół może tylko dorywczo pomagać poprzez zbiórkę odzieży lub pieniędzy w ramach Tygodnia Miłosierdzia oraz zachęcać wiernych do pełnienia uczynków miłosierdzia. Nie może natomiast udzielić schronienia bezdomnemu, nie może nikomu zapewnić miejsca w domu starców, w domu dla nieuleczalnie chorych lub w przytułku.

Rozmiary zjawiska bezdomności i włóczęgostwa w PRL

Tak bolesne i kompromitujące zjawiska społeczne jak przestępczość, pijaństwo, prostytucja i włóczęgostwo są praktycznie bierząc zakryte przed oczami społeczeństwa. Cenzura zarówno w ZSRR jak też w PRL nie zezwala na ujawnianie prawdy o tych zjawiskach, zwł

szoza w wydawnictwach popularnych i środkach masowego przekazu. W wydawnictwach naukowych można znaleźć trochę więcej informacji, ale i tak nie da to pełnego obrazu rzeczywistości. Najwięcej można dowiedzieć się z materiałów przeznaczonych "do wewnętrznego użytku", z wypowiedzi specjalistów w ściśle określonym i zaufanym gronie oraz z życia i doświadczenia społecznego.

Zjawisko bezdomności i włóczęgostwa jest jednak chyba najbardziej pomijane milczeniem. Składa się na to kilka przyczyn. Jedną z nich jest głębokie poczucie wstydu, które zakazuje wielu nieszczęśliwcom ujawniać swoją bezdomność. Następną przyczyną jest to, że tylko niewielka część bezdomnych całymi latami podzi swój tułaczy żywot. Natomiast większość bezdomnych jak bumerang wraca ciągle do więzień i aresztów. Gdyby ktoś chciał napisać rozprawę socjologiczną o bezdomnych i włóczęgach w PRL, musiałby skontaktować się z komisariatami MO i urzędami Opieki Społecznej, Kolegiami do Spraw Wykroczeń oraz Sądami. Przekonałby się wówczas, jak wielu jest u nas bezdomnych, których oficjalnie nazywa się ludźmi "bez stałego miejsca zamieszkania".

Kto to są ci ludzie bezdomni i włóczęgowie?

Trzeba ich ująć co najmniej w cztery grupy:

1. Ludzie pokrzywdzeni przez innych albo dotknięci jakąś tragedią życiową. Spotyka się tu rodziców wygnanych z domu przez własną rodzinę, dziecienniaków staruszków wypchniętych przez przewrotnych lokatorów, z własnego mieszkania, którzy do tego stopnia potrzebali zatruć im życie, że woleli pójść na tułaczkę, a nie cacieli lub nie mogli czy nie potrafili podać swojej sprawy do sądu.

2. Ludzie upośledzeni albo chorzy psychicznie. Spotyka się tu ludzi nirprzystosowanych do życia w społeczeństwie, odstających od ogólnych typów zachowań ludzkich, cierpiących na socjopatię, niezdolnych do unormowanego życia społecznego /przynajmniej okresowo/.

3. Alkoholicy. Jest to najliczniejsza bez wątpienia grupa ludzi bezdomnych i prowadzących włóczęgowski tryb życia. Bezdomność i włóczęgostwo alkoholików jest to konieczny etap choroby alkoholowej, zazwyczaj już jeden z ostatnich etapów ich życia. Alkoholik powoduje tyle zakłóceń w rodzinie, że zazwyczaj zostaje z niej wyrzucony, następnie zostaje zwolniony z pracy i z hotelu robotniczego. Wtedy pozostaje mu tylko ulica i szukanie dorywczego noclegu u przygodnych znajomych albo w melinie. Warto tu zacytować urywek z książki franciszkanina ojca Piotra Lisowskiego pt. "Nałóg pijaństwa": "Dalszą wadą, pozostającą w silnych związkach z nałogiem pijaństwa, jest nałóg żebrania i włóczęgostwa. Trzeba nadmienić, że przyczynowo-sprawczy stosunek obydwu nałogów do siebie ma charakter odwracalności. Niekiedy pierwotne jest włóczęgostwo, z którego wtórnie wyrasta nałóg pijaństwa, przyjmujący się łatwo na gruncie moralnego rozkładu, lenistwa, nieprzystosowania psychicznego i społecznego, tułania się po karczmach i zajazdach, pasożytnictwa, dającego łatwe zyski. Kiedy indziej znowu pierwotny jest nałóg pijaństwa, który w miarę jak łamie siłę woli, rozkłada moralnie, pozbawia zdrowia i ~~zdolności~~ zdolności do pracy, wiedzie do ubóstwa, obluźnia więzy małżeńskie i rodzinne, odbiera zaufanie społeczeństwa - popycha na drogę żebrania i włóczęgostwa. Nic zatem dziwnego, że najliczniejsza grupa włóczęgów i żebraków wykazuje wiek 40-50 lat, na ten bowiem okres, jak wiemy, przypada pełny rozkład społeczno-moralny alkoholika nałogowego".

4. Przestępcy, którzy dla zatarcia po sobie śladów prowadzą tryb życia bez stałego miejsca zamieszkania i są ludźmi bez adresu. Czasem te cztery grupy bezdomnych i włóczęgów przenikają się i uzupełniają między sobą. Można jeszcze nadmienić, że wśród bezdomnych spotyka się wielu analfabetów, ludzi zdefektowanych fizycz-

nie i psychicznie, inwalidów, starców, ludzi samotnych i schorowanych.

Jaka może być przybliżona liczba bezdomnych i włóczęgów w PRL. Wobec całkowitego milczenia wszelkich urzędowych źródeł, można jedynie pokusić się o dane szacunkowe. Moim zdaniem jest ich co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, a nie jest wykluczone, że może być ich około stu tysięcy. Więzienia są zapełnione dużą liczbą bezdomnych i włóczęgów, odsiadujących zazwyczaj trzymiesięczne wyroki kary więzienia do spraw wykroczeń. Również szpitale, zwłaszcza w okresie zimy, gdy katwiej jest zapas na poważniejszą chorobę, posiadają wśród swoich pacjentów niebagatelny procent bezdomnych. Najczęściej spotyka się ich w szpitalach przeciwgruźliczych i odwykowych. Wszystkie dworce kolejowe w większych miastach też skupiają sporą ilość bezdomnych, a skupiają w o wiele większym stopniu gdyby nie to, że funkcjonariusze MO w sposób bezwzględny wyrzucają ich stamtąd, wywołują samochodami poza miasto itp. Wielu bezdomnych szuka schronienia po piwnicach, strychach, klatkach schodowych, a w lecim w parkach i zagajnikach. Myślę, że cyfry przeze mnie podane nie są przesadzone, zważywszy fakt, że najwięcej bezdomnych rekrutuje się spośród alkoholików. Wiadomo, że według oficjalnych danych jest u nas około pięćset tysięcy kwalifikowanych alkoholików chronicznych, a w tym około sto tysięcy nieuleczalnych alkoholików zdegradowanych. W świetle tych cyfr podana wyżej szacunkowa liczba bezdomnych i włóczęgów - 100 000 - w skład których wchodzi nie tylko alkoholicy, nie wydaje się zawyżona.

Ustawodawstwo PRL nie karze włóczęgostwa jako takiego, podobnie jak nie karze pijanstwa, prostytucji, homoseksualizmu. W praktyce jest jednak nieco inaczej. Mianowicie karze się wyżej wymienione czyny, jeżeli one kolidują z innymi paragrafami. Tak więc alkoholizm i włóczęgostwo najczęściej karze się, kwalifikując te czyny jako kolidujące z § 51 Kodeksu Wykroczeń, mówiącym o zakłócaniu porządku publicznego.

Ostatnią od kilku lat coraz bezwzględniej usuwa się z życia społecznego włóczęgów, bez stałego miejsca zamieszkania, nie posiadających dokumentów osobistych, nigdzie nie pracujących, a w dodatku podpisanych. Wydaje się, że milicja i kolegia otrzymują w tym względzie jakieś tajne dyrektywy, pozwalające im często postępować wbrew prawom publicznym.

Los większości bezdomnych toczy się zazwyczaj "w kółko Macieju", między szpitalem, więzieniem a przedwczesną śmiercią. Właśnie ta przedwczesna, tragiczna śmierć ludzi bezdomnych, grzebanych na koszt Opieki Społecznej na cmentarzach komunalnych, przerywa mocno ich szeregi. Szczególnie Wrocław - jak wiadomo "z ustnego podania" - był i jest miejscem śmierci setek bezdomnych, którzy w ruinach i gruzach zniszczonego po wojnie miasta znajdowali schronienie i mieszkanie. Warto by sięgnąć do akt Opieki Społecznej, w których notowane są pogrzeby bezdomnych, zmarłych po piwnicach, na ulicach, czy śmietnikach miejskich. Dowiedzielibyśmy się wtedy, jak wielkie jest zjawisko ludzi bezdomnych, mimo, że ukrywane jest pod faryzejsku przed opinią publiczną.

Rzeczywiste i postulowane formy pomocy społecznej dla bezdomnych

Rzeczywiste formy pomocy społecznej dla bezdomnych i włóczęgów są bardzo nikłe. Aby bezdomny mógł uzyskać jakąś pomoc z Opieki Społecznej, musi posunąć się do szeregu wybiegów np. podać zmyślny adres zamieszkania, ponieważ zasadniczo Opieka Społeczna nie może udzielać świadczeń obywatelowi, który nigdzie nie jest zameldowany. Jeśli nie ma dowodu osobistego, również nie ma się po co zwracać do Opieki Społecznej.

W zwykłym biegu rzeczy bezdomnemu nie przysługują prawie żadne uprawnienia społeczne. Bezdomny nie ma prawa do pracy, ale co ma robić, gdy jest chory i nie może się zabrać do pracy, nie posiadając odpowiednich warunków, aby choroba zachoruje, ma właściwie tylko jedną wyjście: czekać aż choroba rozwinie się do tego stopnia, że po prostu będzie mógł się porzucić na ulog i czekać, aż ktoś zdamy po Fogotowie Patankowo, które widnie go z ulicy i jeżeli chce robota okaże się groźna, umieści go w szpitalu. Wyjątek stanowi gruźlica i choroby weneryczne, ponieważ pacjentom tych chorób łatwo jest uzyskać leczenie a nawet skierowanie do szpitala. Gdy pacjent bezdomny, nie posiadający żadnych funduszy opuszcza szpital, zazwyczaj Opieka Społeczna reguluje jego pobyt w szpitalu. Oczywiście nie wolno zapominać, że bezdomnemu przysługuje po śmierci nędzny pochówek na koszt Opieki Społecznej. Bezdomni i w końcu dzy widzą, że w Opiece Społecznej wiele nie uzyskają, zwracają się więc do wszystkich instytucji kościelnych: parafii, kurii diecezjalnych, klasztorów i seminariów duchownych. Oprócz tego uprawiają żebractwo uliczne, żebrzą pod kościołami z racji odpustów lub innych uroczystości religijnych, zjeżdżają się nasowo na Jasną Górę, w okresach pielgrzymek i odpustów.

Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że zapewnicie jakiegoś tymczasowego noclegu czy skromnego mieszkania bezdomnemu, opuszczającemu zakład karny, usunęłoby w wielu wypadkach ową fatalną konieczność wracania ich jak bumerang do więzień. Oczywiście nie we wszystkich wypadkach, ponieważ wielu bezdomnych jest do tego stopnia upośledzonych psychicznie lub wykończonych moralnie i życiowo, że nie są już zdolni sami zmienić swojego losu. Jednak nocleg w najbliższej krytycznym momencie "po wyjściu" uratowałoby bardzo wielu bezdomnych i pozwoliłoby na stopniwe wciągnięcie ich do pracy i życia społecznego. Przeciwnie na załatwienie formalności związanych z podjęciem pracy trzeba co najmniej kilku dni albo więcej. Zapewnienie tymczasowego noclegu bezdomnemu, zanim uzyska miejsce w hotelu robotniczym, pozwoli mu na uniknięcie konieczności szukania schronienia w melinie w pijackim towarzystwie. Niestety nie ma u nas żadnych tanich schronisk noclegowych. Ludzie posiadający mieszkania, choć mogliby czasem kogoś przyjąć, boją się przyjmować i meldować osób nieznaną.

Postulowana forma pomocy społecznej dla bezdomnych byłaby na pewno pewna ilość nowo utworzonych zakładów opiekuńczo-pracowniczych na wzór zakładów Brata Alberta. Doświadczenia zgromadzeń Brata Alberta są nadal aktualne. W każdym pokoleniu i w każdym ustroju znajdują się ludzie zdefektowani fizycznie i psychicznie, którzy nie potrafią się zaadaptować do życia unormowanego w społeczeństwie, ludzie zdruzgotani przez tzw. wypadki losowe. Zacytujmy tu słowa samego Brata Alberta: "Potrzeba, owszem konieczność, szczególnie po większych miastach, schronisk każdemu ubogiemu otwartych, jest dziś najpowszechniej stwierdzona. Pomijając wypadki kalendarza, słabości i nędzy przypadkowej, domagającej się bezpośredniego zapomożenia i opieki - to i najogólniej mówiąc za pewne przyjąć trzeba, że człowiek, który dla jakichkolwiek powodów jest bezodzieży, bez dachu i kawałka chleba może już tylko kraść albo żebrnąć dla utrzymania życia - w tym bowiem nędznym stanie najczęściej do pracy nie jest zdolny, ani mu też łatwo pracy znaleźć przychodzi. Jeśli więc nie ma w mieście dla poratowania takich odpowiedniego zakładu, zostaje tylko do zastosowania względem nich działanie policji, sądów, więzień lub szpitali: takie zaś zastosowania są na tyle fałszywe, na ile w skutkach ujemne. Tenże sam człowiek jeżeli jest już poratowany, trzeba mu bezpośrednio otworzyć niejaką furtkę do wyjścia z nędzy, inaczej bowiem prawie i nie warto go było ratować, stać się zaś to może tylko przez pracę, którą

wtedy podsunąć i ukatwić mu trzeba - o ile najlepiej przez pracę zarobkową, bo nadzieja samodzielnego baranka jest tu uczciwym a do pracy i pilności dostatecznym motywem. Inicjatywa zaś i wolność osobista, rzeczy każdego człowieka najdroższe, które wiodą w działaniu dobroczynnym koniecznie używać trzeba - mogą pozostać w takim razie nienaruszone, owszem i pomimo nędznego położenia osoby niegroźna mogą zostać niekiedy.

Podobnie Stanisław Batawia postuluje utworzenie zakładów opiekuńczych dla zdegradowanych alkoholików, którzy odbyli leczenie w szpitalach świątynnych. Dochodzi mianowicie do następujących wniosków: "Kategoria alkoholików z objawami znacznej degradacji społecznej, zwykle ludzi samotnych, niejednokrotnie faktycznie bezdomnych nie mających żadnego oparcia w rodzinie, niezdolnych właściwie do systematycznej pracy w zwykłych zakładach pracy, wymaga koniecznie pomocy w postaci umieszczenia ich po przebytych leczeniach w domach przejściowej opieki /hostels/, w których mogliby przebywać przez dłuższy czas. ... W stosunku do starszych alkoholików, przebywających często już tylko w środowisku osób z marginesu społecznego i będących w znacznym odsetku przypadkami, niezbędne są także schroniska o profilu leczniczo-opiekuńczo-rehabilitacyjnym".

Ciekawy projekt pomocy dla bezdomnych, opuszczających zakłady karne, przedstawił mi w rozmowie pracownik naukowy wydziału prawa jednego z uniwersytetów w PRL. Z racji swego zawodu poznał wielu biednych więźniów, którzy po wyjściu nie mają dokąd wrócić i nie mają z czego żyć. Wobec tego wpadł na pomysł, że opieka post-penitencyjarna powinna zorganizować w okolicy miasta jeden PGR, który by zatrudniał i przyjmował byłych więźniów, chcących dobrowolnie tam pracować, dopóki nie znajdą sobie lepszej pracy i lepszych warunków. Ową docent przedstawił swój projekt różnym ludziom postawionym na wysokich stanowiskach. Oświadczone mu jednak, że jest utopista, że nikt nie zechce się podjąć zorganizowania takiego PGR, a nawet gdyby się udało go zorganizować, to nie będzie przynosił dochodów i będą różne kłopoty. Projektodawca wyjaśniał, że moralno-społeczna wartość takiej inicjatywy przeważa wszelkie trudności i kłopoty. Jego skusne argumenty nie zostały jednak przyjęte, ponieważ uważał ludzi na stanowiskach mają co innego w głowie, a nie przejmują się losem biednych ludzi.

Podobną konieczność utworzenia jakiegoś zakładu opiekuńczego dostrzegają kierownictwo Zakładu Karnego w Oleśnicy Śląskiej dla więźniów z odchyleniami psychicznymi. Kierownictwo zwróciło się z tym projektem do władz w Warszawie. Niestety odpowiedź brzmiała, że choć projekt jest słuszny, jednak w obecnych planach gospodarczych nie będzie można przydzielić odpowiednich materiałów budowlanych na ten cel.

Podsumowując powyższe rozważania, należy postawić wniosek, że konieczne jest utworzenie w wielkich miastach szeregu schronisk noclegowych dla bezdomnych, nastawionych na dostarczenie tymczasowego noclegu dla osób wychodzących z więzień i szpitali.

Konieczne jest również przywrócenie - wykreślonej przez władze PRL - instytucji "przytułek". Przytułek stanowi dom a zarazem zakład pracy chronionej dla wielu bezdomnych i biednych ludzi, którzy nie są zdolni do prowadzenia jakiegoś samodzielnego życia.

Potrzebne jest również utworzenie wyspecjalizowanych przytułków dla starców z odchyleniami psychicznymi i starców-alkoholików. Zakłady takie musiałyby być poddane surowszej kontroli.

- 4/ Chmielowski Adam: Pisma A. Chmielowskiego /Brata Alberta/, Kraków 1965, s. 169 - zawarte w periodyku "Nasza Przyszłość", t. 21.
- 5/ Batawia S., Szelhaus S., Bojko E.: Sprawy przestępstw i wykroczeń systematycznie nadużywający alkoholu, Wrocław 1974. W: Archiwum Kryminologii, t. 6, s. 122-123.

Z pewnością, gdyby władze PRL dały wolność w tym względzie, powyższe inicjatywy byłyby podejmowane nie tylko ze strony władz kościelnych, ale również ze strony laickiej.

Dzisiaj, gdy Papię Jan Paweł II wzywają chrześcijanie, aby stawiali w obronie praw ludzkości, należy również przypomnieć tragiczny los ludzi bezdomnych w PRL. Edward Lipiński w swoim liście do Edwarda Cierka, pisany w listopadzie 1976 r. słusznie stwierdził, że stratyfikacja społeczna w Polsce pogłębia się i że rozszerzają się obszary nędzy. Prawa ludzi bezdomnych w PRL są brutalnie ignorowane i właściwie nie się o nie robi, aby zapewnić im zabezpieczenie tych praw, a przynajmniej dać im szansę wydzwignięcia się i wybrnięcia z ich tragicznej sytuacji. Dlatego trudno się dziwić i trudno nie podzielać najgłębszego oburzenia ludzi bezdomnych na nieludzkie i bezlitosne postawianie do człowieka, panujące w sferach rządzących obecnie w PRL.

Jerzy Adam Marszałkiewicz

„Wszyscy rozumiemy gonioszłość kultury w życiu narodu. Kulturę narodową skuszenie się nazywa „duszą narodu”. Walka o kulturę narodową była zawsze rozumiana jako jeden z pierwszych obowiązków, wynikających z miłości Ojczyzny.”

/z listu Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej na 21 maja 1978 r/

ETYKA LUDZI NAUKI

W roku akademickim 1975 - 1976 grupa pracowników naukowych i dydaktycznych wyższych uczelni, reprezentujących kilka dyscyplin humanistycznych /filozofia, humanistyka/ utworzyła zespół mający na celu przedyskutowanie sytuacji etycznej człowieka działającego w środowisku nauczycieli akademickich i naukowców - badaczy. Pracę tę podjęto w nawiązaniu do poczyniń w zakresie etyki zawodowo-środowiskowej inspirowanych przez Synod Archidiecezji Kłaskowskiej. Przedstawiony tu materiał jest wynikiem przeprowadzonej w tym zespole szczegółowej dyskusji - refleksji nad sensem, specyfiką oraz wymiarem etycznym działania chrześcijanina "hic et nunc" w tym właśnie środowisku zawodowym.

Środowisko ludzi nauki z racji swego położenia w hierarchii społecznej i znacznego wciąż jeszcze autorytetu jest dla ogółu obywateli szczególnie widocznie, bacznie przez nich obserwowane, skutki więc wypowiedzi, zachowań oraz działań jego przedstawicieli jako badaczy, autorów, nauczycieli i wychowawców, spotykają się wciąż jeszcze z niemałym rezonansem w społeczeństwie, stąd ludzie nauki mają nadal sporo możliwości oddziaływania.

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że walory moralne przedstawicieli tego środowiska powinny być szczególnie wysokie, by przede wszystkim przez nich były dostrzegane ogólnoludzkie wymogi prawdy i sprawiedliwości, bo od tego przecież zależy pozytywne, nijakie

lub wręcz szkodliwe oddziaływanie naukowca na bezpośrednich wychowanków jak i na bliższe czy dalsze jego otoczenie. Człowiek nauki badacz i nauczyciel - winien się więc zbliżyć do jakiegoś wzorca osobowego - idealnego, którego słowa, postępowanie i czyny nie wkraczają przynajmniej poza elementarne, ogólnie przyjmowane nawet bez motywacji religijnej, normy etyczne. Naukowiec-chrześcijanin powinien tym ogólnoludzkim wartościom prawdy i sprawiedliwości służyć lepiej i bardziej konsekwentnie, realizować je aż do końca, nawet w stopniu heroicznym. Wartości te dotyczą postawy człowieka wobec wartości absolutnej, jaką jest prawda /prawdomówność, szczerowość, odwaga cywilna, solidność, stały rozwój władzy i podnoszenie kwalifikacji/, jak i stosunków międzyludzkich, relacji z otoczeniem, ze społecznością /uczciwość, sprawiedliwość, lojalność, restrykcyjność, szacunek dla cudzego zdania, przekonań i wolności drugiego człowieka, skromność, samokrytycyzm, umiejętność opanowania własnych namiętności/.

Ponieważ przestrzeganie tych elementarnych wartości nie jest w danym środowisku regułą, przeciwnie, są one stale i w sensie teoretycznym i w praktycznym kwestionowane i odrzucane, stanowi to wyzwanie wobec naukowca, wychowawcy w ogóle, a chrześcijanina w szczególności i wymaga od niego najpierw ich świadomego akceptowania, a następnie postawy czynnej wobec objawów ich podważania i naruszania.

Żyjąc dziś, podobnie jak każdy obywatel naszego kraju, w rodzinie, grupie zawodowej czy społecznej nie tylko światopoglądowo zróżnicowanej, pluralistycznej, ale i skłóconej, pełnej napięć i ustawicznej konfrontacji wartości i postaw, za którymi stoją określone sprzeczności polityczno-społeczne, światopoglądowe, ideologiczne, pracownik nauki w jeszcze większym stopniu niż reprezentanci innych grup społecznych, zawodów niehumanistycznych i mniej bezpośrednio od ideologii uzależnionych, znajduje się na codzień w sytuacjach konfliktowych. Zmusza go to nie tylko do oszczędności, do odpowiedzialności za słowo i czyn oraz ich możliwe reperkusje, do stałego konfrontowania obserwowanych sytuacji i czynów z uznawanym przez siebie systemem wartości, ale także do reagowania w sposób właściwy na sytuacje nieoczekiwane, nietypowe, nie przystające do przyjętych w systemie norm moralnych klasyfikacji. Stwarza to wprawdzie korzystną sytuację, wymagającą samodzielnych osobistych decyzji i twórczych wyborów, ale związane jest równocześnie z nieuniknionym ryzykiem błędzenia, pomyłek oraz przegranych.

W sytuacji, w jakiej działa dziś naukowiec chrześcijanin, duże znaczenie ma postawa i działanie nieanonimowe, a więc pozwalające innym na identyfikowanie światopoglądowych i religijnych punktów odniesienia naszego postępowania etycznego, nieukrywanie - jeśli to nie jest spowodowane jakimiś specjalnymi względami - swej przynależności do chrześcijaństwa, zwłaszcza ze względów oporunistycznych, koniunkturalnych. Nie godzi się więc zupełnie z chrześcijańskim poglądem na świat oraz inspirowaną przez ten etyką, nie tylko - i to właśnie w tym środowisku szczególnie - organizacyjno-formalny związek ze środowiskami oraz instytucjami programującymi praktycznie z chrześcijaństwem sprzecznymi, ale również - zakładając aprobatę i solidaryzowanie się - uczestniczenie w wypowiedziach i działaniach tych środowisk i organizacji. Przeciwnie, konieczne jest wyrażanie się, zachowanie czy działanie jednocześnie świadczące o naszej więzi z chrześcijaństwem, nie formalnie jedynie, nie trykalnie, lecz autentycznie, jednoznacznie.

I. Sytuacja ludzi nauki w świetle prawdy

Etyczną sytuacją ludzi nauki określa odwieczne dążenie człowieka do poznania prawdy o sobie i o świecie otaczającym. Człowie-

kiem nauki jest ten, na kim w sposób szczególny spoczywa odpowiedzialność za los prawdy o aktualnym momencie dziejów ludzkości. I chociaż każdy człowiek jest zobowiązany w sumieniu do poszukiwania prawdy i wierności dla prawdy, to u ludzi nauki zobowiązanie owo jest głębsze niż gdzie indziej. W społecznym podziale pracy i związanym z tym podziale odpowiedzialności im właśnie przypadła troska o rozwój ludzkiego poznania świata i człowieka. Stąd prawdziwość wraz z tym, co stanowi jej niezbędny warunek, stały się podstawowymi wartościami etyki pracy ludzi nauki. Tak jak od lekarza oczekuje się umiejętności zaradzania chorobom a od sędziego umiejętności sprawiedliwego wydawania sądu, tak od człowieka nauki oczekuje się bezwzględnej troski o prawdziwe poznanie tego fragmentu rzeczywistości, ku któremu skierowana jest uprawiana przez niego dyscyplina naukowa, oraz bezwzględnej rzetelności w komunikowaniu wyników poznania wspólnocie ludzkiej. W etyce pracy innych zawodów troska o prawdę nie zajmuje już tego miejsca. Trzeba podkreślić, że troska ta nie wypływa ze zwykłej konwencji, lecz posiada głęboki etyczny charakter, wynikając wprost z podstawowego prawa ludzkiej prawa do prawdy. Stąd też ludzie nauki są słusznie przekonani, że służba człowiekowi w jego dążeniu do prawdy stanowi istotą ich życiowego powołania.

Przypomnijmy niektóre rysy charakterystyczne zobowiązań stawianych przez etykę ludziom nauki. Na ogół są one dobrze znane i uznane, mimo to jednak czasami idą w zapomnienie, stąd ciągła potrzeba ich przypominania.

a/ Prawdomówność - szczerowość - prawda. Wspólnota ludzka oczekuje od ludzi nauki przybliżenia do prawdy. Człowiek nauki podjął zaszczytną służbę urzeczywistniania ludzkiej nadziei na życie w prawdzie. Jak nikt inny stoi on na straży czystości i prawomocności owej nadziei w każdym miejscu i każdym czasie. Jego prawdomówność i wszystko co stanowi niezbędny warunek prawdomówności, jest integralną częścią jego miłości bliźniego, jego służby bliźniemu. Stąd wszelkie mniej lub bardziej świadome i dobrowolne odejście od prawdy są w jego przypadku czymś więcej niż zwykłym zaprzeczeniem samemu sobie: są winą moralną, winą nadużytego zaufania, stanowią rzeczywistą zdradę człowieka w jego człowieczeństwie.

Mowa ludzka staje się mową prawdziwą wtedy, gdy wyraża to, o czym człowiek rzeczywiście poznał oraz to, jakie są rzeczywiście jego przekonania. Stąd wynikają dwa podstawowe dążenia człowieka nauki: dążenie do prawdziwego i coraz bardziej wnikliwego poznania zadane mu do poznania rzeczywistości oraz dążenie do utrzymania własnych przekonań w tych granicach, na jakie pozwala mu jego poznanie. Pierwsze dążenie nazywamy dążeniem do prawdy, drugie - dążeniem do wewnętrznej szczerowości.

Prawda poznania polega na zgodności poznania z rzeczywistością, której poznanie to dotyczy. Im większa jest ta zgodność, tym bardziej obiektywne jest poznanie. Zgodność absolutna sprawia, że i poznanie ma charakter absolutny. Niestety z powodu ograniczonej ludzkiego umysłu i ogromu otaczającej nas tajemnicy zgodność ta ma wciąż charakter cząstkowy. Człowiek znajduje się na drodze do prawdy, nie jest więc w posiadaniu pełnej prawdy. Ważne jest aby z tej drogi nie schodził.

Szczerowość człowieka polega na tym, że żywione przez niego przekonania pozostają w zgodzie z jego poznaniem rzeczywistości. Bez szczerowości nie ma prawdomówności. Człowiek, który co innego mówi a w co innego wierzy, jest człowiekiem zakłamany. Etycznym obowiązkiem człowieka nauki są ludzie, którzy byli gotowi przypłacić a nie kiedy rzeczywiście przypłacili życiem swoje poznanie świata.

Prawdomówność, prawda poznania i wewnętrzna szczerowość określa-

lają razem podstawową sytuację etyczną człowieka nauki. Trudno powiedzieć, co tu jest pierwsze a co wtórne. W laboratorium prawda poznania i jej wymogi wysuwają się na plan pierwszy. W chwili komunikowania wyników poznawczych innym prawdą jest szczerowość i szczerość staje się wartościami podstawowymi. Podkreślając kwestię, co jest pierwsze a co wtórne, jedno z etycznego punktu widzenia wymaga szczególnego podkreślenia: człowiek nauki służąc swym zyciem w prawdzie nie tylko do udoskonaleniu własnego człowieczeństwa swych braci, ich nadziei na prawdę i ich głęboko ludzkiemu pragnieniu do prawdy.

b/ Prawda naukowa. Głównym przedmiotem troski ludzi nauki jako ludzi nauki jest prawda naukowa. Różni się ona od prawdy przez naukową tym, że się ją zdobywa metodycznie, krytycznie opracowuje, że się z nią czyni część składową ogólniejszego systemu tezy. Uzyskuje się ją i poszerza w oparciu o rozmaite rodzaje doświadczenia. W poszukiwaniach prawdy naukowej nie odwołujemy się zatem do wiary, jak w przypadku badania prawd religijnych.

Uprawianie nauki jako podstawowego sposobu poszukiwania prawdy wynika z głęboko zakorzenionego przeświadczenia, że rzeczywistość, z którą styka się człowiek, posiada charakter rozumny, to znaczy jest zasadniczo możliwa do poznawczego ujęcia. Człowiek jest w stanie poznać ją rozumowo i wypowiedzieć o niej prawdziwe sądy. Później podnieci nie wynęsała sobie swoich prawd w sposób dowolny, ale jest poddany światłom bijącym od rzeczywistości. Zarazem jednak człowiek nie widzi pełnej prawdy, wciąż jest na drodze do niej.

Pewnym brakiem prawdy naukowej jest jej charakter specjalisty czny. Zasadniczo nie jest to prawda o całej rzeczywistości, lecz jedynie o tym wycinku, do badania którego dana nauka jest szczególnie przystosowana. Rozwój nauki w kierunku coraz to większej specjalizacji doprowadza do wykształcenia specjalistów, którzy za daleko idącymi zaangażowaniami w jedną dziedzinę muszą płacić odejściem od innych dziedzin. Specjalizacja stała się dziś koniecznością, nieuniknioną odbija się ujemnie na mentalności i postawie badawczej ludzi nauki.

c/ Człowiek nauki i jego służba. Przypomniane wyżej charakterystyczne rysy etycznej sytuacji człowieka nauki wymagają od niego szczególnej postawy i szczególnych właściwości osobowych. Zwróćmy uwagę na niektóre z nich.

Obiektywne poznanie rzeczywistości domaga się od człowieka nauki rzetelności. Na rzetelność człowieka nauki składają się takie właściwości osobowe, jak ścisłość myślenia, dokładność w sposobach przeprowadzania badań, jasność w komunikowaniu myśli, umiejętność właściwego rozumienia i interpretowania myśli drugiego, obiektywność w spojrzeniu na każdy problem naukowy. Rzetelnym naukowcem jest ten, kto niezłego nie zaniedbuje, by samego przybliżyć się do prawdy i innym prawdę odsłonić. Poczucie odpowiedzialności za prawdę wobec poszukującego prawdy bliźniego kieruje nie tylko ciągłym udoskonalaniem niezbędnych technik badawczych, ale również dążeniem do udoskonalenia własnej postawy moralnej, wewnętrznej szczerości oraz uczciwości, bez których niemożliwe byłoby stosowanie technik badawczych i dzielenie się z innymi zdobytą prawdą.

Z kolei szczerowość wewnętrzna wymaga zarazem pokory i odwagi. Pokora świadczy o ogromie otaczającej człowieka tajemnicy, dzięki pokorze jest się zawsze otwartym na uwagi innych, kolegów i uczniów. Odwagę świadczy się o absolutnym zobowiązaniu człowieka przed prawdą. Prawda poznana i uznana domaga się wierności.

d/ Sytuacja prawdy w świecie współczesnym. Wielkim zagrożeniem współczesnego człowieka stało się to, że zamiast dążyć do prawdy i prawdziwie służyć, dąży on do tego, by uczynić z prawdy narzędzie do osiągnięcia innych, niższych celów. Takim celem jest często pomnożenie jego władzy nad światem a nawet władzy nad drugim człowiekiem. Grozi nam utylitarysta w traktowaniu prawdy, grozi nam sytuacja, że nauka zamiast służyć człowiekowi obróci się przeciwko niemu. Traktując prawdę na sposób utylitarystyczny człowiek oślepi

siebie na prawdę, która nie przynosi mu bezpośrednich korzyści, które mogą przeszkodzić jego karierze społecznej, która nie służy pomnożeniu jego potęgi i jego władzy. W świecie współczesnym żyją i rozpowiastują się szczególne ideologie, które jako swój cel zakładają rezygnację człowieka z prawdy obiektywnej i absolutnej, które dążą do podporządkowania ludzkiej nadziei prawdy innym, niższym wartościom. Rodzajowa choroba czasu dzisiejszego w dziedzinie stosunku do prawdy jest różnorakie "kaniulowanie" prawdy.

Należy przywrócić prawdziwej wartości znaczenie i miejsce w życiu. Chwiałek ten spotyka przede wszystkim na bankach ludzi nauki, to oni jak nikt inny we współczesnym świecie - ani politycy, ani artyści, ani duchowni - stojąc na straży czystości ludzkiej nadziei na prawdę, są zobowiązani do pełnego pokory i zapału każdego respektowania w badaniach, w nauczaniu a także w życiu osobistym elementarnych wysołów prawdy obiektywnej. Społeczność ludzka ma moralne prawo oczekiwać dziś od nich heroicznej wierności dla prawdy.

e/ Perspektywy. Z poważnych twierdzeń, znów jak się zdaje obywatelskich, wynikają czarne postulaty praktyczne, szczególnie ważne w naszej sytuacji społecznej. Dotyczą one w pierwszym rzędzie chrześcijanina, niemniej także poza tym krągami nie tracą swej siły.

1. Chrześcijanin jest głęboko świadomy ograniczonych możliwości rozumu ludzkiego, jak również nieskończonej tajemnicy otaczającej człowieka, pomimo to jednak nie poddaje on w wątpliwość możliwości osiągnięcia przez człowieka prawdy obiektywnej, niesmiertelnej i powszechnie ważnej. Wątplenie takie przekraczałoby wszelki sens uprawiania nauki i podcięło u samego źródła ludzką nadzieję na wyzwolenie człowieka spod zła i przesądów. Bzdurąmu dążeniu do prawdy stoi na przeszkodzie duch radykalnego relatywizmu, dla którego każda prawda jest do tego stopnia związana z konkretną sytuacją uznającą ją człowieka, że przestaje być wartościową obiektywną, niezmienną i powszechnie ważną. Przeszkodą jest dla niego również duch sceptycyzmu, według którego ograniczoność rozumu ludzkiego jest tak wielka, że jest on z góry pozbawiony wszelkiej zdolności rozróżnienia prawdy od błędów. Odrzucenie relatywizmu i sceptycyzmu nie oznacza jednak rezygnacji z krytycyzmu naukowego. Postawa krytyczna należy do istoty postawy naukowej. Dzięki takiej postawie człowiek nauki może dochodzić do prawd obiektywnych i powszechnie znanych. Zapobiegnie ona również uznaniu przez niego jedynie tych prawd, które najlepiej odpowiadają jego pragnieniom i życzeniom.

Duch sceptycyzmu i relatywizmu jest szczególnie groźny na gruncie etyki. Można go przoczyć, żyć jedynie przez konsekwentne ukazywanie absolutnego charakteru prawdy. Stąd taki sposób traktowania prawdy ma znaczenie nie tylko dla samej nauki, lecz również dla całej etyki.

2. Żadne poszukiwania prawdy i żadne zbliżenie do prawdy nie jest możliwe bez nawiązania dialogu z tymi, którzy poszukiwania takie prowadzili przed nami i którzy prowadzą je z nami, w tym samym czasie, choć może w innym miejscu. Dialog sprzyja różnicowaniu się punktów widzenia, wymaga krytycyzmu, umożliwia ścisłość myślenia, jest nieodzowny do osiągnięcia obiektywizmu i zbudowania jednoznacznej j. zyka, który jest warunkiem porozumienia między ludźmi.

Dlatego pielęgnowanie postawy szerokiego dialogu jest podstawowym obowiązkiem etycznym ludzi nauki. Opatrując się na wymaganiach tego obowiązku, człowiek nauki będzie musiał przeciwstawić się wszelkim postawom izolacji, które odcinają badacza od jego przeszłości oraz od podobnej pracy prowadzonej w innych ośrodkach badawczych, krajowych czy zagranicznych. Warunkiem rozwoju nauki jest pogłębienie ducha wspólnoty ogólnoludzkiej, wszystko co rozbiła

ducha wspólnoty co uniemożliwia porozumienie między ludźmi, co powoduje dyskryminację jednych ośrodków nauki, uprzywilejowanie innych, sprzeciwia się również ludzkiej nadziei zbliżenia do prawdy i do drugiego człowieka w duchu prawdy. Człowiek nauki dążąc do tego, by być pełnym człowiekiem prawdy nie może tolerować w sobie żadnej formy odosobnienia.

3. Do rozwoju nauki oprócz ducha wspólnoty i postawy obiektywizmu, wymagana jest również wrażliwość na tajemnicę otaczająca zewsząd byt ludzki. "Zmysł tajemnicy" zabezpiecza człowieka przed popadnięciem w jednostronność własnej specjalizacji, przed zbyt pochopnym uznawaniem prawdy osiągniętej na gruncie własnej specjalizacji za prawdę ważną dla wszystkich dziedzin rzeczywistości, przed uznawaniem hipotez za pewniki a przypuszczeń za tezy dowiedzione. Zabezpiecza on również poszukującego prawdy człowieka przed przedwczesnym uznaniem, że prawda została już osiągnięta i leży jak na dłoni "do dyspozycji" człowieka. Świadomość tajemnicy winna gwarantować człowieka na przyjęcie najwyższych Tajemnic, tych, które leżą już jedna pod ścisłą domeną nauki.

4. Wierzący chrześcijanin, będąc zarazem człowiekiem nauki, winien trąszyć się szczególnie o to, by uprawiana przez niego dziedzina nauki - jeśli to tylko możliwe - pozostawała otwarta na świat wartości ewangelicznych. Stopień tego otwarcia może być i jest różny przy poszczególnych naukach. Nie chodzi o to, by owo otwarcie sztucznie poszerzać. Nie chodzi o jakąś apologetykę chrześcijaństwa przez naukę. Chodzi raczej o pomoc w znalezieniu ostatecznego sensu wszelkiej działalności naukowej, chodzi o to, by trudną nadzieję człowieka nauki na znalezienie prawdy rozumieć w świetle Najwyższej nadziei chrześcijaństwa, która nada takiej nadziei kierunek, sens, ostateczną wartość. Nie można traktować chrześcijaństwa jako konkurenta nauki i na odwrót. Należy dążyć do coraz głębszego i bardziej wszechstronnego odsłonięcia głębszej wspólnoty między nadzieją człowieka na osiągnięcie prawdy a nadzieją na osiągnięcie ostatecznego zbawienia.

f/ Prawda a ideologia. Świat współczesny jest pełen głębokich napięć między nauką a różnego typu ideologiami społecznymi, których cele są często wzniosłe i godne uznania, ale środki do nich prowadzące nie zawsze są tak samo wzniosłe i godne. Ideologie społeczne polecają się dziś ludziom jako narzędzia przekształcenia świata, wyzwycia i niesprawiedliwości w świat wolności, równości i braterstwa. Wiele ideologii społecznych dąży do tego, by wciągnąć naukę w służbę swych celów. W ten sposób postulują one mniej lub bardziej jawnie, by właściwe dla nauki dążenia do prawdy poddać i podporządkować innym dążeniom, dążeniom szeroko rozumianej polityki społecznej. Doprowadza to często do konfliktu nauki i ideologii. Nauka nie kwestionuje wprost ideałów poszczególnych ideologii, które są najczęściej ideałami całej ludzkości. Dąży jednak do tego, by zalecane przez ideologię środki do celu oraz proponowane przez nią opis aktualnej rzeczywistości poddać pod osąd krytycznego badania naukowego. To nie nauka wraz ze swym dążeniem do prawdy winna pozostać w służbie ideologii, ale ideologia powinna służyć nauce i działać w ramach ludzkiego doświadczenia prawdy.

Ideologia podporządkowuje sobie naukę w rozmaity sposób: poprzez głoszenie odpowiednio do tego przystosowanych teorii, poprzez narzucanie przydatnych dla ideologii badań naukowych a pomijanie innych, poprzez umożliwianie publikacji jedynie tych wyników badań, które są dla niej korzystne, poprzez dyskryminację jednych kierunków naukowych a preferencję innych, poprzez odpowiadającą jej własnym interesom ocenianie poszczególnych ludzi nauki.

Przeciwko tego rodzaju roszczeniom ideologii trzeba dzisiaj szczególnie mocno protestować. Zagrożają one bowiem podstawowym prawom człowieka do prawdy jako wartości otwierającej go na świat.

Stąd należy dążyć do tego, by każdą ideologię uczynić przedmiotem niezależnych i obiektywnych badań naukowych pod kątem jej wartości merytorycznej i pod kątem roli moralnej, jaką odgrywa w społeczeństwie. Ale właśnie dlatego nauka winna szczególnie bezwzględnie eliminować ze swego świata wszystko, co narzuca jej w sposób jawny lub mniej jawny panująca ideologia. W szczególności:

1. Przeciwnik jakiegokolwiek teorii naukowej nie może być traktowany na gruncie życia naukowego tak, jakby był on wrogiem ideologicznym, ani też jej zwolennik nie może być uznawany za rzeczniką tej samej, co uczonej, ideologii. Czym innym jest wróg ideologiczny a czym innym jest przeciwnik naukowy. Inne są reguły walki z wrogiem ideologicznym, a zupełnie inne reguły dialogu z przeciwnikiem naszej teorii naukowej. Gdzie te dwie płaszczyzny życia są ze sobą zmieszane, tam znika atmosfera rzetelnych badań naukowych.

2. Nie należy również utożsamiać pozycji człowieka nauki, który zajmuje się zarazem nauczaniem, z pozycją ideologicznego przywódcy, a pozycją słuchacza i ucznia z pozycją ideologicznego zwolennika. W ideologii liczy się posłuszeństwo do przywódcy. W nauce nie ma mowy o posłuszeństwie, tutaj obowiązuje krytycyzm, swoboda myślenia i wyrażania swych opinii, partnerstwo dążeń. Spory między uczniem a profesorem nie mogą być uznawane za spory typu ideologicznego. W przeciwnym wypadku znika elementarne poczucie wspólnoty ludzkiej, bez której nie ma mowy o obiektywności i rzetelności badawczej.

3. Podczas gdy głównym celem dążenia ideologii, gdy idzie o człowieka jest skłonienie go do określonego działania, zadaniem nauki jest konsekwentna obrona prymatu poznania przed działaniem. Tylko właściwe, to znaczy wszechstronne i głębokie, rozpoznanie sytuacji, w której ma nastąpić działanie, może usprawiedliwić podjęcie odnośnego działania. Obrona takiej postawy jest dziś szczególnie doniosła. Prymat działania przed poznaniem doprowadza nie tylko do naruszenia równowagi między człowiekiem a przyrodą, lecz również często do przedwczesnych i nieprzemyślanych reform społeczno-gospodarczych, których wynikiem są niepokoje społeczne, a niejednokrotnie braki elementarnych środków potrzebnych człowiekowi do podtrzymania życia.

Spór o prawa nauki w świecie ideologii jest jednym z najdonioślejszych sporów naszych czasów. Dotyczy on niemal każdej dziedziny nauki. Jego mądre i konsekwentne prowadzenie wymaga od ludzi nauki wielkich walorów umysłowych, a także zdecydowanej postawy moralnej. Bez takiej postawy uprawianie nauki może okazać się dzisiaj nie tylko tragedią osobistą poszczególnego człowieka nauki, lecz również jedną z największych zbrodni wobec obecnej i przyszłej ludzkości.

III. Człowiek nauki w swoim środowisku

Drugi obok zagadnienia prawdy, ważny problem, przed jakim stoi dziś człowiek nauki, to stosunki międzyludzkie, w jakie jest uwikłany, a więc ogół zjawisk, jakie się wiążą z jego relacjami z innymi reprezentantami tego samego środowiska. Stosunki te przyjmują obecnie nierzadko charakter sytuacji konfliktowych, grupujących się wokół trzech odmiennych typów zależności międzyludzkich. Próba ich systematyzacji oraz naświetlenia zawiera niniejsze opracowanie przedstawiające sprawy typowe, układy o charakterze powszechnym, sytuacje charakterystyczne mające odniesienie do wszystkich członków danej społeczności zawodowej.

a/ Wobec zwierzchników

To co budzi tu najczęściej niepokoje sumienia to fakt, iż stosunek : pracownik nauki - zwierzchność układa się niestety obecnie

często na zasadzie nie tylko uzależnienia i podporządkowania, ale także dyskryminacji.

Człowiek nauki ranażony bywa na niesprawiedliwość z racji światopoglądowych i wyznaniowych; uważa go za obywatela niepełnowartościowego, dyskryminuje przy opiniowaniu, awansowaniu, wyróżnianiu nagrodami i odznaczeniami. Rodzi to wroźniane psychologiznie nastroje niezadowolonia, poczucia krzywdy, a równocześnie chęć przeciwdziałania połączoną z obawą przed dalszym spychaniem w dół, eliminowaniem z czynnego życia zawodowego, przed utratą możliwości rozwoju naukowego i życiowej kariery. Jest to sytuacja wysoce nienormalna i niemoralna, źródło wielu trudności osobistych, załamania i kryzysów, łączy się z tym przecież możliwość stosowania nacisku ekonomicznego, oddziaływanie po linii czynników materialnych i urzędowych, a nawet represji administracyjnych i politycznych.

W stosunku ze zwierzchnikami musimy umieć odróżniać ludzi oraz reprezentowane przez nich idee - ideologie, instytucje. Do ludzi, zwłaszcza kiedy reprezentują autentyczną wiedzę, prawdziwe kompetencje, wysoki poziom moralny, winniśmy się odnosić sprawiedliwie, z szacunkiem i zaufaniem. Ale równocześnie właściwe postępowanie doradzić nam tu powinna cnota roztropności; obowiązuje nas przecież działanie zgodne z sumieniem oraz podstawowymi wymogami prawdy i sprawiedliwości. Musimy postulować i równocześnie dążyć do tego w miarę możliwości, aby w tym zakresie obowiązywała zasada jawności decyzji, nieanonimowości postępowania, solidarność i zwykła ludzka życzliwość.

Broniąc swego zdania, obstając przy wyznawanych zasadach, zmuszonym się jest do pewnych form przeciwdziałania i samoobrony, co jest szczególnie potrzebne wtedy, kiedy następuje zagrożenie prawdy i sprawiedliwości w stosunku do innych, zwłaszcza słabszych, niżej stojących. Zależnie od okoliczności, potrzeby i konkretnej sytuacji należy tu podejmować odpowiednie sposoby postępowania i korzystać z dostępnych środków, i to zarówno "ubogich" jak i "bogaty a więc takich, jak wymowne milczenie, bierny opór, odpowiednie głosowanie przy podejmowaniu zbiorowych decyzji czy opiniowaniu, wystąpienie w charakterze deklaracji słownych czy pisemnych, uczestniczenie w aktach zbiorowych, i to zwłaszcza wtedy, gdy może i powinien być zaangażowany nasz własny autorytet społeczny, naukowy, moralny.

b) Wobec uczniów

Dla człowieka z tego środowiska istotne znaczenie ma to, na ile zdaje sobie sprawę z faktu, że jako naukowiec-badacz jest równocześnie nauczycielem, wychowawcą. Ta świadomość winna przede wszystkim pomóc jemu samemu we właściwym kształtowaniu własnej postawy wobec pracy naukowej, jako wartości i zasadniczego celu życiowego, pojmowanego jako autentyczne pomnażanie i szerzenie prawdy, nie zaś widzianego jedynie w kontekście koniunktury, kariery, mocy. To właśnie pozwala ustawić na właściwej płaszczyźnie relację: nauczyciel - uczeń; wytwarza się tu specjalny typ więzi, dzięki której powstaje jakby łańcuch działań pozwalających na przekazywanie wartości moralnych i prawd naukowych, ich utrwalanie, na zapewnienie im nieprzerwanej ciągłości.

A tymczasem w tym typie relacji międzyludzkich stosunki przybierają postać sytuacji konfliktowych, a konflikty te przebiegają ostro i wywierają znaczne i poważne skutki. Tak np. w ocenach naukowców-nauczycieli ze strony studentów wysuwa się często zarzut niekompetencji, zarzuca się im niesprawiedliwe traktowanie, surowość i nieprzystępność w kontaktach, lekceważenie partnera w procesie wychowawczym, interesowność, karierowiczostwo. Sytuację tę komplikuje jeszcze to, że skądś, poważne niekiedy zastrzeżenia młodzieży wobec struktur czy instytucji społecznych i zawodowych kierowane są - tylko w jakimś małym stopniu - przeciwko ludziom repre-

zentującym je tylko w sensie formalnym, słuźbowym. Stać ważne znaczenie na dziś dla człowieka nauki-chrześcijańca umiejętność właściwego zdystansowania się wobec tych struktur, oddzielenie własnego stanowiska i postępowania od instytucji. Nie narzucając się na zarzut braku zaangażowania w wykonywaną pracę, wystrzegając się formalnego tylko stosunku własnych obowiązków, konstancyjnego nastawienia, lęku o własną karierę, widać on jeszcze umieć ujawniać własne oblicze, wypowiedzieć we właściwym czasie i miejscu swoje zdanie, zająć odpowiednie, dyktowane mu przez sumienie, a właściwe w danej sytuacji stanowisko.

Może on więc z powodzeniem przeciwdziałać negatywnym objawom w tym zakresie, a także działać w sensie pozytywnym, konstruktywnie i twórczo, na dostępnym mu wciąż jeszcze marginesie powiązań nieformalnych, pozainstytucjonalnych z wychowankami, a więc poprzez kontakty osobiste, towarzyskie, a także poprzez umiejętne wprowadzenie słuchaczy w krąg prawdy, doczuwanie półprawd i kłamstwa, prostowanie fałszywie przedstawianych faktów, oddzielanie prawdy od hipotez i teorii, oddzielanie zdania i stanowiska własnego od cudzego, od poglądów czy sądów referowanych bądź nawet narzucanych, przeciwstawienie nacisku na śródźliwość, samodzielność w dochodzeniu do prawdy, budzenie szacunku dla kompetencji i faktograficzności, przez stopniowe wprowadzenie do prawdziwej nauki, przypomnienie tradycji jej niezależności i wolności, autonomii uniwersytetów oraz ich kulturowej i społecznej roli. Istotne wychowawcze znaczenie ma to, że naukowiec-nauczyciel daje się poznać studentom i młodszym pracownikom nauki w sensie światopoglądowym, że nie boi się odsłonić przed nimi własnego oblicza i to niekoniecznie przez specjalne deklaracje słowne, ale przede wszystkim przez własną postawę i postępowanie. Więcej, jako chrześcijanin może on świadczyć swój wiarę i swemu powołaniu także treścią własnych prac lub tematyką - tam gdzie jest to możliwe i potrzebne - prowadzonych zajęć dydaktycznych i problematyką proponowanych prac naukowych.

c/ Wobec współpracowników i podwładnych

Zasada sprawiedliwości wymaga, aby we właściwym czasie stwarzać odpowiednie warunki rozwoju naukowego i wzrostu młodych pracowników nauki, ich postępowania na drodze do samodzielności, dojrzałości, stabilizacji zawodowej, i to, niezależnie od tego, że są to w jakimś stopniu - co naturalne - potencjalni rywale swego zwierzchnika i nauczyciela, a w każdym razie jego ewentualni następcy. Ta sama sprawiedliwa osoba żąda, by przy wszelkich decyzjach służbowych uwzględniać warunki osobiste i rodzinne pracownika, jego sytuację życiową, zdrowotną, losową; dotyczy to zwłaszcza pracowników-kobiet, szczególnie obciążonych rodziną, matek wychowujących małe dzieci.

W relacji: zwierzchnik-podwładny zdarzają się wypadki naruszenia własności intelektualnej oraz praw autorskich, co ma zwłaszcza miejsce przy ogłaszaniu wyników tzw. wspólnych czy zespołowych prac /fikcyjne współautorstwo, firmowanie własnym nazwiskiem, ciągłe nękanie korzyściami materialnymi, względy ambicjonalno-prestiżowe czy najzwyczajszą ludzką próżność/. Żądanie prawdziwego człowieka nauki to ukłanianie wzrostu młodej kadry, jej powiększanie, szersze jej pokazywanie w życiu naukowym i organizacyjnym. Ważne znaczenie w kręgu tych spraw ma możliwość prowadzenia merytorycznej dyskusji, ścieranie się poglądów, wymiany myśli doświadczeń, zdrowe współzawodnictwo.

Walery osobiste, działania etyczne pozwalają na łagodzenie konfliktów ze współpracownikami, zwłaszcza, że te najczęściej nie mają charakteru sprzeczności ideologicznych, kontrowersji światopoglądowych

/te rozgrywają się na innych płaszczyznach, a odpowiednio decyduje podejmowane są poufnie i arbitralnie/, lecz wynikają najczęściej z różnic temperamentów, cech osobowych, także ze sprzeczności zawodowych interesów i względów materialnych, wreszcie z powodów prestiżowych i ambicjonalnych. Załowski wierzący, chrześcijanin powinien przez otwartość i szczerotę wypowiedzi i postępowania, dialog, afirmację wartości pozytywistycznych u drugiej strony sporu czy konfliktu oraz jej tzw. dobrej woli, przez postawę czynną i miarę "dobrego słowa", które prawnosi zawierają właściwy owoc po czasie dopiero, przez inicjowanie i rozwijanie twórczych przyjaźni. Posiada on jako człowiek religijny więcej możliwości "mówienia" do partnera-antagonisty, ma do dyspozycji inne, bardzo trafne, antenyjne słownictwo, odwołujące się do głębokie wartości i prawdziwie ludzkie treści.

Refleksje przedstawione wyżej nie są nieczynnym zamkniętym, raz na zawsze zakończonym. Nie należy ich również traktować jako jakiegoś kodeksu postępowania, który raczej służyć jako pomoc dla właściwych przemyśleń i poszukiwań właściwego sposobu obecności chrześcijan wśród trudnych spraw współczesnej nauki i kultury. Potrzeba takiej obecności nie ulega wątpliwości: chrześcijanin, podejmując realizację swego powołania, włącza się w nurt aktualnego życia, czy tego chce czy nie chce. Chodzi o to, by włączyć się świadomie, z jasnym wiedzianym zakresem swej odpowiedzialności. Widzenie pola odpowiedzialności jest szczególnie ważne wtedy, gdy dochodzi do konfliktów między wymogami życia a wymogami jego sumienia. W sytuacji konfliktu może się zdarzyć, że postawa chrześcijanina przybierze charakter postawy walczącej: chrześcijanin musi walczyć bądź w obronie już zrealizowanych ideałów, bądź musi walczyć o ich realizację.

Ważne jest wtedy, by forma jego walki miała również chrześcijański charakter. Jeśli trzeba stawiać tamę złu, należy to robić w ten sposób, by z naszego działania nie powstało jeszcze więcej zła, niż było. Konkretno formy chrześcijańskiej walki o odnowę oblicza ziemi się rozmaite, trudno je tu wyliczać. Wydaje się jednak, że ludźmi nauki obowiązuje głęboko jedna jej forma - p e r - s w a z j a . Perswadowanie jest aktem rozumu. Perswadowanie kieruje się do rozumu drugiego człowieka. Perswazja nie umniejsza niczyjej wolności, ani nie ubliża niczyjej godności. Perswazja jest podstawowym środkiem, który winien być stosowany w naszej pracy nad polepszeniem sytuacji w środowisku nauki dziś.

Perswazja jest częścią świadectwa, które obejmuje całe życie. Dlatego trzeba troszczyć się o całe życie, by żyjąc w zgodności z logiką także świadectwo także swym milczeniem, swym umiłowaniem bliźnich, swym tryżem.

Inicjacja nauki są dziś prawdziwą solą naszej ziemi. "Jeśli sól zmierzeje, czym solona będzie?"

----- 6 -----

"To właśnie my, katolicy, jesteśmy a wiara powodów odpowiedzialni za to, by w naszej ojczyźnie wszystko przemieniało głosami wolności i chwały dzi ci Bożych.

To do nas należy obudzić świadomość i odwagę, by w polskie ziemi urządzać się po polsku, w duchu wieloletniego dorobku szeroko rozumianej kultury religijnej i narodowej".

/Z listu Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej - na 21 maja 1976

CZY RUSYCYSTYKA MOŻE SŁUżyć EWANGELIZACJI ?

W ostatnich latach było kilka okazji sprzyjających stawianiu tego rodzaju pytań - oczywiście nie akurat w odniesieniu do wywie-nionej w tytule dziedziny i ludzi ją reprezentujących /zestawienie powyższe, trzeba przypomnieć, jest nieco na pierwszy rzut oka sarkas-tyczne!/. Zwłaszcza takie rozważania uczestniczyli prac różnorodnych grup działają-jących w ramach przygotowania podstawowych dokumentów Synodu Archi-diecezji Krakowskiej, zwłaszcza ci, którzy dyskutowali problemy etyki zero-owo-środowiskowej oraz kultury i nauki. Musieli się nad nią zastanawiać ci ródzsi inteligenci, studenci i absolwenci szkół wyższych, a zwłaszcza uczestnicy akcji duszpasterstwa akademickiego, którzy z perspektywy formacji studiów oraz pracy zawodowej myś-łeli i mówili o korporacjisie światopoglądowym i o jego pronicach /por. "Prak", rok 1977, nr 260, s. 1123-1132/ czy o tym jak chrześ-cijanie może dziś i tu być obecni, świadczyc, apostołować. O takim niedawno zaś i to, w angielskiej sytuacji, Josef Tischner, autor pracy Horyzonty apostołstwa świeckich /SPÓTKANIA nr 4/, zarówno daw-wał wiikliwy, całościowy opis ogólnych warunków społecznych i świa-topoglądowych, w jakich ma działać u nas dziś powołany do ewan-gelizacji człowiek wierzący, jak i precyzował praktyczne zasady "obecności" poprzez działania zarówno na rzecz prawdy jak i w pła-szczyźnie chrześcijańskiej nadziei.

Czy pytanie tytułowe jest w ogóle uzasadnione i jaka może być nań właściwa odpowiedź? W sensie ogólnym uprawomocnia je fakt, iż jest rusycystyka jedną z dziedzin nauk humanistycznych, jedną z wa-żniejszych gałęzi naszego rozbudowanego szkolnictwa wszelkich szcze-bli, zwłaszcza zaś wyższych uczelni, że przejawia się w bogatych i zróżnicowanych organizacyjno-strukturalnie formach poczynił kultu-ralnych /czasopisma, publikacje, wydawnictwa, imprezy o charakte-rze popularyzatorskim itp./. A przecież w każdym z tych zakresów uprawiają ją obywatele kraju, którzy podobnie jak we wszelkich in-nych dziedzinach naszego życia, są w znacznej większości ludźmi wie-rzącymi, katolikami; procent rusycystów zaangażowanych światopoglą-dowo po "drugiej stronie", ze świadomych przekonań czy częściej po naciskach rygorów statutowo-organizacyjnych, chwiejności, niezdyscy-plinowania lub oportunistycznym światopoglądowym czy życiowym praktycz-ny jest przecież nie większy niż wśród przedstawicieli innych za-wodów czy środowisk i to nie tylko w tzw. pionie kultury.

Ale równocześnie z drugiej strony tak się w wyniku ogólnej sytuacji politycznej oraz kulturowej naszego kraju złożyło, że właśnie rusycystykę, w większym jeszcze stopniu niż inne dziedzi-ny, jak się to u nas określa, "front ideologicznego" uważa się za dyscyplinę do określonych działań wychowawczych, oświatowych, popu-laryzacyjnych a nawet agitacyjno-propagandowych, spejajnie w sen-sie ideowym - i to po właściwej stronie - ewangelizacyjną, upolitycz-nioną, wyraz upartyjnioną. O takim pojmowaniu jej w dan chwili ofi-cjalne założenia programowe i wypowiedzi o charakterze dyrektyw i zaleceń /por. np. materiały tzw. dyskusji o stanie i zadaniach rusycystyki polskiej toczącej się na łamach miesięcznika "Ewe Dro-gi", rok 1973, zwłaszcza nr 1; rok 1974, nr 11, a także artykuły w ówczesnym "Przeglądzie Humanistycznym", rok 1974, nr 11, s. 23 i 79/, jakich praktycznych działań wymaga się od rusycystów w dziedzinie oś-ści szkolnej, oświatowej, organ. i aktywnej; tak też nierazko - nie-stety - i potoczna opinia spot. czyniła i ocenia całością powo-łanego do tego, by uczyć język, czytać i pisać o literaturze, szerzyć wiedzę o kulturze naszych wschodnich sąsiadów i upowładniać u nas ich sztukę. Oficjalnie bowiem przecież czyni-ki polityczne, organ. życia społeczno-państwowego, instytucje i or-

ganizacje lansują rozumienie całej tej sfilary działań rusycystycznych jako doraźnej, obliczonej na określony, zaprogramowane już z góry efekty, pracy ideowo wychowawczej, jako akcji propagandowej, ze wszystkimi widocznymi jej ograniczeniami i skrzywieniami, w rezultacie traktuje się je niekiedy jako jeszcze jedną przybudówkę do działań politycznych mających na celu tzw. umocnienie przyjaźni, pogłębienie wzajemnych kontaktów i miłości, maksymalne upodobnienie wszystkich sfer życia do modelowych rozwiązań sąsiada. A to już przecież oceniano bywało przez tę opinię jako zagrożenie dla tożsamości kulturowej narodu, dla jego duchowej autonomii, cywilizacyjnej niezależności, prowadzi do obuw wobec tego, co się określa jako rusyfikację, czy szkodliwą "asymilację", inną sprawą, że tak prymitywnie, doraźnie propagandowo pojmowane działania osiągnęły wręcz przeciwny skutek społeczny, koncentrują nie tylko same środki, sposoby oraz ich rzeczników, ale i te środki, których upowszechnieniu i zaszczerpieniu na naszym gruncie miałyby służyć.

A przecież tak być nie powinno, być tak nie musi, i na szczęście tak w rzeczywistości nie jest. Polobnie przyszedł jak uprawianie wiedzy o dawny na to historii, języku czy literaturze Niemców, jak nauczanie języka francuskiego czy popularyzowanie wiadomości o kulturze anglosaskiej nie jest równoważne z tendencją do wykorzenienia narodowego, ni sfilary "germanizacji", "romaniczacji" czy "angloamerykanizacji", tak samo konieczne dla normalnego życia zwłaszcza naszego narodu poznawanie kultury rosyjskiej, odbywanie przez współczesne pokolenia Polaków ich własnej "drogi do Rosji". Jak już to zmuszone było robić na swój sposób wiele pokoleń nas poprzedzających, musi być i poza tymi dodatkowymi, narzuconymi rusycystyce "serwitutami", więcej, niejako wbrew im, mimo nich realizowane.

Emigracja polska, zwłaszcza dzisiaj, niezależnie od tego, czy jest naukowcem, nauczycielem języka, literatury, kultury czy dziejów politycznych wschodniego sąsiada, wykładowcą uniwersyteckim, nauczycielem wychowawcą, krytykiem, tłumaczem, publicystą czy działaczem oświatowym powinien mieć świadomość kilku istotnych rzeczy i dawać tej świadomości wyraz. A jest to obowiązkiem rusycysty każdego, niezależnie zresztą od światopoglądu czy wyrażanej ideologii, rusycysty zaś chrześcijanina w sposób szczególny. Wierność prawdzie, obowiązek jej głoszenia, postawa naukowa, rzetelność zawodowa i obowiązki nauczycielskie służą do nie tylko na to, by reprezentował jako fachowiec odpowiedni poziom, by uzyskać maksimum kwalifikacji i nadal je rozwijał, by miał właściwy "ethos".

Uprawiając swój zawód nie może zapominać, że kraj, który poznaje, zamieszkuje nie jakiś dziwny otniczny twór określany dziś jako "narod radziecki" lub tylko Rosjanie, że jego obecnymi obywatelami są obok Rosjan także dwa inne jeszcze pobratymcze narody wschodniosłowiańskie, Ukraińcy i Białorusini, że zamieszkałe przez nie terytoria związane były w przeszłości z państwem polskim / a i dziś na nich mieszka jeszcze sporo - podobno ponad milion - ilość Polaków /, że istniały historycznie, a i nadal istnieją mocne więzi między tymi trzema sąsiadującymi narodami, a kultura ukraińska i białoruska, której zresztą ślady oddziaływania są tak mocne np. w języku i literaturze naszej, zawdzięcza Polakom tak wiele. Że w granicach tego państwa leży obecnie Łódź i Erzemieniec, Brześć i Wilno, że mieszkają tam katolicy-Litwini i ewangelicy Łotysze i Estończycy, narody o starszej niż nasza czy rosyjska tradycji chrześcijańskiej, a więc Gruzińcy i Ormianie, a także liczni wyznawcy Mahometa i czciciele Koranu. Że jeszcze dziś w naszym kraju spotkać można nie tylko przyjeżdżających jako obywatele radzieccy Ukraińców i Białorusinów, ale że żyją oni stale wśród nas, że mają tu swoje gazyety i stowarzyszenia kulturalne, że w naszym kraju istnieją jeszcze do dziś, chociażby w stolicy czy Krakowie, wspólnoty parafial-

ne obrządku wschodniego, i to zarówno greko-katolickie jak i prawosławne, że działała też i hierarchia i czynne są świątynie. A poza tym nie było w terenie tak dalekiej zróżnicowanych etnicznie i wyznawczo, jak w Rosji i Cerkiewnoszczyna, Przemyskie Lubelskie, Podolskie i Białocerkiewszyna, ale także np. w takim natężeniu polskości, jak Kraków czy Łódź, spotkać nietrudno trwałe pozostałości sztuki i kultury wschodnio-słowiańskiej organicznie wtopione w polski kontynent cywilizacyjny.

Nie może też nas wystąpić polski nie uwzględniać tego, że poznając język i literaturę Rosjan i udzielając o nich wiedzy innym ma do czynienia z kulturą kraju, który wrócić będzie przeżywał także swoje millenium, tysiąclatne przyjęcia chrześcijaństwa. Że ten kraj realizujący jakiś program społeczno-polityczny z gruntu areligijny, ateistyczny, zamieszkuje nie tylko więcej niż jakiegokolwiek inne państwo europejskie mieszkańców, ale też racjonalniejszy w ogóle naród słowiański, w swej większości - przynajmniej nominalnie, z metryki, tradycji, więzi narodowo-kulturowych - chrześcijański, którego narcedowa, posiadająca własną hierarchię, kler i liczne wciąż jeszcze mimo wszystko, tętniące pulsami życia religijnego świątynie, Cerkiew rosyjska jest obecnie najważniejszym i najbardziej wpływowym wśród pozostałych, autokefalicznych kościołów prawosławnych na świecie. Więcej, że ten kraj przeżywa obecnie, mimo tak barozo specyficznej sytuacji, jakie stwarzają zarówno warunki ustrojowe jak i ogólne współczesne procesy laicyzacyjne, zadziwiający dający wiele do myślenia etap odradzania się religijności, i to z całą gamą postaw od naprawdziwszego mistycyzmu, typowego dla wschodu "wyznawstwa", prostej ludowej wiary, aż po najrozmaitsze formy chrześcijaństwa pozakościelnego, sekciarskiego, "naturalnego", panteistycznego itp.

Nie można więc budując historię Rosji i upowszechniając wiedzę o niej, podobnie zresztą jak w pracach o literaturze i szerzej, kulturze, pomijać tego wszystkiego, co zawdzięcza ta kultura chrześcijaństwu, opuszczać bądź przemilczać, gorzej, zafakszowywać świadomie to wszystko, co świadczy o znaczeniu w niej chrześcijańskiej inspiracji. A w pracy i badawczej i nauczycielskiej, zwłaszcza na poziomie uniwersyteckim, ileż jest okazji po temu, by owe przemilczanie uzupełniać, nieprawdy prostować, fałszywe obalać. I to zarówno w odniesieniu do przeszłości, tej dawniejszej i nowszej jak i nawet do współczesności.

Nie potrzeba też żadnych specjalnych wysiłków, nie mówiąc już o jakichkolwiek zabiegach apologetycznych, by odnaleźć czy wyeksponować chrześcijańskie wartości kultury staroruskiej okresu kijowskiego, stanowiącej dobro wspólne wszystkich wschodnich Słowian, z niej bowiem później wyrosły odrębne narodowe kultury Rosjan, Ukraińców, Białorusinów. Piśmiennictwo wieku XI - XVII, malarstwo i architektura staroruska, historia Cerkwi i kształtowania się typów duchowości, dzieje polityczne i przemiany kulturalne - dostarczają tu pod tym względem materiału niezwykle przekonywającego. Podobnie rzecz się ma z twórczością ustną ludu rosyjskiego, z jego folklorem którego kilka działów - w wyniku znamiennej dyskryminacji zjawisk noszących piętno religijne - we współczesnej nauce rosyjskiej nie wywołuje żadnego zainteresowania.

Jeszcze w większym stopniu takie pole do działań mających na celu ukazanie prawdziwego obrazu życia duchowego Rosjan w czasach nowożytnych, a raczej sferogowania, uzupełnienia tego obrazu niepełnego, jaki się zarysował we współczesnych pracach, nawet najbardziej solidnych i obiektywnych, ale i tak pisanych czy wydawanych z określonym nastawieniem, otwiera się wtedy, kiedy mówimy i piszemy o czasach Oświecenia i Romantyzmu, o literaturze XVIII i pierwszej połowie XIX stulecia, o wielkich pisarzach realistach

drugiej połowy tego wieku. Ogólnoeuropejskie prądy literackie, wspólne wszystkim narodom tendencje umysłowe i estetyczne kształtowały się i rozwijały w Rosji nieco inaczej, z uwzględnieniem miejscowej specyfiki, w zatańczeniu się z własną narodową i szerzej - wschodnią, prawosławną tradycją. Stąd tak częste tu były nie mające analogii w innych krajach wypadki i sytuacje skrajne, i to zarówno w życiu twórców jak i w ich dziełach, jak ateizm czy postawa antyreligijna i twórczość typu wyznania czy spowiedzi, rewolucyjność i programowa estetyczna autonomia, postępowe zaangażowanie społecznikowskie i zachowawczość czy zgoła reakcyjność, grzech, wina, brud moralny - i prawdziwe apostołowanie czy heroizm świętości. Tylko w tej literaturze występuje na taką skalę kategoria pisarza - proroka autora-wyznawcy, tylko tu były tytu pisarzy-działaczy, pisarzy-ofiar, przesładowców, pisarzy przeżywających kryzysy i przekony światopoglądowe, autorów-wysłanicieli i nauczycieli narodu.

Literatura rosyjska tego stulecia jest w najwyższym stopniu przesycona treściami światopoglądowymi, w twórczości zaś jej przedstawicieli największym problematyką etyki i religii są składnikami najistotniejszym. Wystarczy tu przywołać tylko nazwiska najbliższe, a równocześnie najbardziej "chrześcijańskie" - Mikołaja Gogola, Fiodora Dostojewskiego, Iwana Torkoła. A przecież obok niej, literatury samej, rozwinęła się - w ścisłym z tamta powiązaniach - rosyjska myśl filozoficzna, w której doświadczeniach nurt chrześcijański był obecny w owocował w sposób szczególny. Kształtowała się ona i rozwijała w opozycji lub w nawiązaniach do myśli europejskiej oraz do rodzimej tradycji prawosławnej i narodowej, towarzyszyła wszystkim etapom i okresom, jakie przechodził w swym rozwoju ten kraj, wykształcała najczystsze odcienie i style myślenia o człowieku, historii, społeczeństwie i świecie, niekiedy niezwykle interesujące, do dziś płodne i obecne w życiu duchowym narodu.

Była tu i rosyjska odmiana socjalizmu, i filozofia narodowej odrębności, narodowego wybraństwa i mesjanizmu, anarchizm - i koncepcja ludowej wspólnoty, krytyka wszystkiego co rosyjskie - i postawy nacjonalistyczne, ateizm - i chrześcijańska utopia królestwa Boga na ziemi. Były też - będąc wynikiem męczących poszukiwań i kryzysów światopoglądowych - wcale nie tak rzadkie konwersje na katolicyzm i ekumeniczne próby pojednania obu zwaśnionych kościołów - łacińskiego i grecko-rosyjskiego; wystarczy w tym kontekście wymienić nazwiska takie, jak Piotr Czadajew, jezuita ojciec Józef Ksawery czyli Iwan Gagarin, oraz członek zakonu redemptorystów, Włodzimierz Pieczerin, wreszcie Włodzimierz Sołowjow.

To właśnie nie gdzie indziej, jak właśnie w Rosji działali wybitni wysłanicy słowianofilscy, którzy jak, Aleksy Chomiakow, przy czynili się do rozwoju nauki o Kościele i odrodzenia duchowego inteligencji, to przecież tu ukształtowały się niezmiernie ciekawe, prekursorskie koncepcje "sakralizacji" kultury i teologicznego "de-wartościowania" świata materialnego stworzone przez Aleksandra Buchariewa, tu na początku XX wieku nastąpił, dzięki takim ludziom jak Mikołaj Bierdiajow, Sergiusz Bułgakow, Eugéniusz Trubieckoj czy Paweł Florencki, renesans myśli filozoficznej i religijności określany jako "prawosławne odrodzenie". Tu wreszcie, jeszcze w stuleciu XVIII /Paisjusz Weliczkowski, Tichon Zadański/, a potem XIX /św. Serafim Sarowski/ żyli i działali ci przedstawiciele kręgów kościelnych, którzy mimo trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się i Cerkiew sama, i duchowieństwo, zwłaszcza niższe, w cicheści monasterów i samotni życia pustelniczego dochodzili do tak wysokiego stopnia chrześcijańskiej doskonałości, iż mogli nie tylko przyczynić się do odrodzenia klasycznych tradycji wschodniego monastycyzmu i tzw. "staro-cześć", ale wpłynąć decydująco na formację duchową swych współczesników, zwłaszcza rosyjskiej inteligencji świeckiej.

Szczególnie wdzięcznym polem obserwacji pod interesującym nam tu względem mogą być współczesne dzieje tego kraju, te procesy w kulturze, w jego życiu umysłowym, jakie tam się, od połowy lat 50-ych dokonują; pewne nurty sztuki, a zwłaszcza literatury, są jego najlepszym sprawdzianem, ewaluacją rozwoju zainteresowań dla własnych, narodowych i chrześcijańskich korzeni kultur w postaci tradycji staroruskiej i cerkiewnej oraz prawosławnej duchowości i oryginalnej świeckiej myśli narodowej, widoczny jest również w poszukiwaniach i oddziaływaniach czytelnicy jak i pasjach badaczy oraz tematyce dzieł literackich. Ważne miejsce oryginalne próby przeniesienia na nowo stosunku dziedzictwa kulturowego do potrzeb dzisiejszej sytuacji narodu i człowieka, nowego ujęcia kwestii historyczofizycznych i antropologicznych. Odradza się tu znów zjawisko pisarza-nauczyciela narodu, pisarza proroka, a literatura przeżywa okres wielkiego zafascynowania problemami światopoglądowymi, etycznymi, religijnymi. Uwidacznia się to - z różną zresztą siłą i w stopniu uzależnionym od możliwości - zarówno w wybitnych dziełach wydawanych "oficjalnie", ukazujących się w postaci normalnych książek i na łamach czasopism /tu szczególnie interesująca twórczość powieściowa i nowelistyczno-eseistyczna pisarzy "nowej fali" w tematyce wiejskiej, chłopskiej, autorów takich, jak Walenty Rasputin, Wasyl Bielew, Włodzimierz Sołuchin/, jak i rozpowszechnianych nieoficjalnie, bez państwowego "imprimatur", na zasadzie inicjatyw tzw. "samizdatu". Zjawisko to dotyczy w jeszcze może większym stopniu dzieł powstających poza krajem, za granicą, w ostatnim bowiem okresie na emigracji znaleźli się liczni skłócenii z obecną rzeczywistością, nie mogący w kraju działać i represjonowani tam pisarze, do niedawna jeszcze kosciół biorący aktywny udział w życiu intelektualnym i artystycznym kraju, dziś z niego sztucznie usunięci. Z nazwisk tu znacznie łatwiej wspomnieć można Wiktora Nekrasowa, Aleksandra Siniawskiego, Włodzimierza Maksimowa, no i najgłośniejszego wśród nich, najbardziej wpływowego - Aleksandra Solżenicyna, laureata literackiej nagrody Nobla, którego obecnie coraz powszechniej stawia się w jednym szeregu z rosyjskimi pisarzami-prorokami największymi, Dostojewskim i Tokstojem.

Przed świadomym więc rzeczy i widzącym czego chce rusycystą profesjonalistą, a także każdym interesującym się u nas "rossicami" otwiera się szerokie, wdzięczne pole do działania. I adept tej dyscypliny, i nauczyciel akademicki, i popularyzator, krytyk, tłumacz, nie może poprzestać na zuniformizowanym, wąskim i jednostronnym, bo będącym wypadkową różnych założeń i taktycznych ograniczeń, obrazie kultury rosyjskiej, jaki tworzą i programy studiów, i kanony lektur, i dostępne u nas - też przecież podlegające selekcji opracowania i edycje tekstów. Droga samokształcenia, przez poszukiwanie własne, odpowiednią konsultację czy informację, musi obrotować do tego, co poza owe programy i kanony wychodzi, musi o tych sprawach dużo wiedzieć i umieć doprowadzić do tego samego innymi. Zresztą nawet i dzięki temu, co u nas ukazuje się lub ukazać się może - a więc dzięki tłumaczeniom dzieł literackich oraz prac naukowych czy popularnych /choćby autorów wyżej z nazwiska wymienionych/ na język polski, dzięki coraz liczniejszym polskim opracowaniom z dziejów rosyjskiej myśli filozoficznej i literatury religijnej, jakie coraz częściej trafiają na łamy czasopism typu "Tygodnik Powszechny", "Znak", "Więź", "W drodze", zdobycie takiej dodatkowej wiedzy i kompetencji nie jest specjalnie trudne. Niekonieczną więc w szeregu wypadków jest nawet doskonała znajomość języka rosyjskiego czy bezpośredni dostęp do trudno i nielicznym tylko dostępnych "prohibitów", "resów" czy publikacji "samizdatu".

Tak potrzebna pełna gwarantacja i kompetencja, procentująca we własnej pracy badawczej, nauczycielskiej i popularyzacyjnej, zdobywana jak również upowszechniana czy może także poprzez różne formy pozamiatystyczne, powoływana do życia jako przejaw inicjatywy społecznej w postaci zespołów współpracowników i dyskusyjnych czy krytycznych grup. Pogląd na to być może także poprzez właściwe i umiejętne wykorzystanie wszelkich kontaktów bezpośrednich z dzisiejszą kulturą narodów wschodniośrodkowych, z jej przejawami u nas, z ludźmi "atentat" do nas przyjeżdżającymi lub w czasie naszych do nich wjazdów. Niejednokrotnie okazuje takie stwarzają wyjątkowo dogodne warunki nie tylko dla własnego ubogacenia się, ale także - a może tu możliwości: - doprowadzenia tym naszym wschodnim współpracownikom, którzy na to czekają, do otwarcia się na równoległe perspektywy prawdziwego zblizenia kulturalnego, wzajemnego poznawania się i udzielenia sobie nawzajem kulturowych wartości, przekazywania mostów porozumienia i - użyjmy wreszcie tego słowa - poczynań prawdziwie ekumenicznych, w rozumieniu tego terminu zamoczonego w ewangelizacyjnych. Bo czyż otwieranie ludziom oczu, pomoc w ich poszukiwaniach światopoglądowych i lekach egzystencjalnych, prostowanie skrzywdzeń i ukazywanie światła w smutkach i wątpliwościach - i to w stosunku zarówno do samego siebie, swoich współrodaków jak i pobratymców - czyż to nie jest ewangelizacja, ewangelizacja właśnie?

Od nas samych w znacznym stopniu, od ludzi reprezentujących i tą profesją, a równocześnie mających świadomość jej światopoglądowych warunkowań i skutków, od naszej wiaroty, obywateli, dobrej woli i uniwersalności działania zależy przede wszystkim, czy na postawione w tytule pytanie - czy rusycystyka może służyć ewangelizacji? - i dziś, a jutro będzie można dać odpowiedź twierdzącą.

"Rusycysta"

----- 0 -----

"Ze smutkiem jednak należy stwierdzić, że programy szkolne, i w ślad za nimi idące podręczniki dla dzieci i młodzieży, nie przekazują pełnej treści kultury narodowej. Przekładowo warto przypomnieć, że obecny program i tak nielicznego wrenicowca twórczości, która czerpała noc natchnioną z życia religijnego. Z reguły nie ukazują się motywy religijne, które przecież bardzo doniosłe nie są zajmują w twórczości literackiej, tak wielu naszych pisarzy. Przytaczając wyjątki z pism niektórych autorów opuszczają się w podręcznikach szkolnych słowa mówiące o Bogu, co niestety prowadzi do zniekształcenia treści utworów. W nauce historii pojawiają się narodowo-twórcze dzieła Kościółca.

Wszystkie wyliczenia wyjątków są wyłącznie według zakochanych dialektyki materialistycznej. Wybrano są do programu tylko te zdarzenia, które odpowiadają oficjalnemu założeniu, a pomijane jest wszystko, co ma związek z życiem religijnym.

Jeśli się mówi o nich, to przede wszystkim w sensie ujemnym. W ten sposób młodzież nie otrzymuje prawdziwego obrazu naszej narodowej historii".

/Z listu Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej - nr 21 maja 1978 r./

W 60 ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ryszard Wojdaliński

Jeszcze o powstaniu Tymczasowego Rządu Ludowego /7.XI 1918r/

Powstanie w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego opisywane było wielokrotnie od strony przygotowań piłsudczyków. Natomiast nigdy nie przedstawiano w pełni porażki, którą przez obóz narodowy błędów taktycznych, które przyczyniły się wcale do powstania powziętych przez piłsudczyków planów. Również najwazniejszy czas ujawnić niektóre nieznane dotąd fakty z terenu Lublina poprzedzające zapach z 6 na 7 XI. W artykule niniejszym pragnę urużnić te braki.

Niewątpliwie główny błąd obozu narodowego tkwił w przekonaniu że z chwilą klęski państw centralnych upadnie natychmiast również współdziałający z nimi rząd warszawski, a władza automatycznie przejdzie w ręce tych, którzy przez cały czas wojny stali niezłomnie na gruncie orientacji koalicyjnej. W dodatku nie doceniano tego faktu, że Piłsudski przestał już współdziałać z państwami centralnymi od lipca 1917 r. i przeszedł do opozycji, a nawet został przez Niemców aresztowany, przez co zmył z siebie w znacznym stopniu piętno aktywności i znalazł się w rządzie wrogów tych państw na równi z pasywnymi. Pozwoliło to jemu i jego przyjacielom również sądzić, że z chwilą zakłamania się państw centralnych i upadku popierającego ich rząd warszawski zdołają w powstałym zamieszaniu uchwycić władzę w swoje ręce przy pomocy PPS i PSL "Wyzwolenie" oraz stale rozbudowywane POW. Natomiast endecy zadawali się szybko rosnącą liczbą niezorganizowanych zwolenników orientacji koalicyjnej i tworzenia szerszej organizacji cywilnej a tym bardziej - choćby najszczuplejszej wojskowej - uważali za zbędne. Nawet istnienie Zjednoczenia Narodowego, znajdującego się w sferze ich wpływów i wyznającego tę samą orientację polityczną zaledwie tolerowali. Pozbawione środków pieniężnych Zjednoczenie Narodowe zdołało zapuścić głębsze korzenie tylko w Zagłębiu Dąbrowskim, Łodzi, Lublinie i częściowo Warszawie. Oprócz tego posiadało one pewne wpływy i normalnie zorganizowane zarządy w kilkunastu powiatach okupacji niemieckiej. Stanowiło więc siłę, której całkowicie ignorować nie można było, ale dla podjęcia samodzielnej akcji w skali krajowej nie było zdolne.

Ciekawe, że również i Dmowski, najwidoczniej zrażony rozłamami w Lidze Narodowej a także oderwaniem się od Ligi Narodowego Związku Robotniczego i Narodowego Związku Chłopskiego, nie zalecał nigdy w swoich przekazach paryskich utworzenia szerszej organizacji cywilnej i choćby najszczuplejszej wojskowej.

Drugim błędem obozu narodowego, było przeświadczenie, że z chwilą kapitulacji Niemiec przybędzie zaraz do kraju kilkudziesięciotysięczna armia gen. Hallera, która zneutralizuje całkowicie znaczenie sił Piłsudskiego. Ale nastroj większości społeczeństwa w samej Warszawie i okupacji niemieckiej oraz w Wielkopolsce i Małopolsce był tak zdecydowanie sprzyjający orientacji koalicyjnej i zgodnemu współdziałaniu wszystkich partii, że mimo wszystko, gdy nie popełniono dalszych błędów, można było uzyskać przynajmniej godziwy kompromis i nie dać się całkowicie usunąć od wpływów na władzę.

Z chwilą zwrócenia się Niemców do prezydenta Wilsona z prośbą o pokój, niewątpliwie było, że kończy się okres okupacji austriacko-niemieckiej. Licząc się z ogólną sytuacją międzynarodową oraz nastrojami panującymi wśród olbrzymiej większości społeczeństwa, Rada Regencyjna wydaje w dniu 17.X 1918 r. orędzie, w którym ogłasza "utworzenie niepodległego państwa polskiego, obejmującego wszystkie ziemie polskie, z dostępem do morza, z polityczną i gospodarczą niezależnością, jako też terytorialną nienaruszalnością..." Następnie 16.X wzywa na narady w Warszawie przedstawicieleli stronnictw Galicyjskiego i Poznańskiego, a jednocześnie poleca przedstawicielowi Międzypartyjnego Koła Politycznego ziemianinowi Józefowi Świeżyńskiemu - utworzenie rządu. Ale kandydat na premiera nie bierze w swoje rę-

ce pertraktacji z przedstawicielami poszczególnych stronnictw, nie wzywa ich do siebie, lecz puszcza losy utworzenia rządu na niepewne wody wspólnych obrad wszystkich przybytkich, reprezentujących nie tylko stronnictwa wpływowe, lecz i bardzo małe.

I tak w dniu 19 października zbierają się w sali Towarzystwa Hygienicznego w Warszawie przedstawiciele stronnictw Małopolski i Króllestwa, gdyż z Łozubńskiego Między nie puścili. Sam Świeżyński jest nieobecny i zastępuje go tylko Zygmunt Urzysanowski. W dyskusji lewica oświadcza, że do rządu nie stąpi, dopóki pozostała Rada Regencyjna. Stanowisko to znajduje umiaru i u pozostałych przedstawicieli stronnictwa z wyjątkiem tych, którzy wchodziły w skład Międzypartyjnego Koła Politycznego/ i w rezultacie zebranie nie doprowadza do żadnego, pozytywnego wyniku.

W tych warunkach Rada Regencyjna mianuje w dniu 23 październik rząd Józefa Świeżyńskiego, w skład którego wchodzi prawie wyłącznie przedstawiciele warszawskiego Międzypartyjnego Koła Politycznego oraz z Małopolski Stanisław Głabirski & z Wielkopolski Józef Inglich /Wład. Seyda i Wejlecha Trąpczyńskiego Między nie puścili/. Był to skład jednostronny i nieodpowiedzialny.

Przed tak powołanym rządem Świeżyńskiego stanęły dwie drogi: albo szybkiego wzmocnienia własnej pozycji, albo ugłaskiwania lewicy i szukania w dalszym ciągu z nią porozumienia.

Obierając pierwszą drogę, powinien przede wszystkim obsadzić stanowisko ministra spraw wojskowych kimś nie należącym do zwolenników Piłsudskiego i energicznym, zdolnym w bardzo krótkim czasie rozbudować w drodze poboru ochotniczego tzw. polski Wehrmacht, liczący ok. 3,000 ludzi, przynależnie do kilkunastu tysięcy, a także polecić rozwinąć, m.in. spraw wewn. propagandę i szybko zorganizować liczną straż obywatelską, ce przy ówczesnych nastrojach znacznej części społeczeństwa całkowicie było możliwe. Oczywiście, iż wzmocnienie sił własnych winno nie mieć na celu dążenia do konfrontacji z lewicą, lecz przekazania jej o konieczności współdziałania.

Drugiej, nie mogąc dojść na razie do porozumienia z lewicą demokratyczną, winien rząd Świeżyńskiego połączyć wszystkie aktywniejsze elementy polityczne, bez względu na ich przeszłość, a w pierwszym rzędzie stać mocno przy Radzie Regencyjnej, jako głównym czynnikiem stabilizacji, a nie pielęgnować często swojej orientacji prokoalicyjnej i widzieć w tym cały tytuł do władzy. Należało rozumieć, że lewica zwalczała Radę Regencyjną nie ze względów zasadniczych, lecz taktycznych, widząc w obaleniu jej najskrajniejszą drogą do przechwycenia władzy. W gruncie rzeczy trudno było zarzucić Radzie Regencyjnej coś innego jak jej niedemokratyczny charakter i to, że została mianowana początkowo przez cesarzy niemieckich. Ale przecież i Piłsudski przyjmował różne nominacje, zresztą od znacznie niższych czynników austriackich i niemieckich, a nie przeszkadzało to lewicy traktować go ze szczególnym nabożeństwem, a rządowi Świeżyńskiego rezerwować dla niego stanowiska ministra spraw wojskowych. W rzeczywistości pomiędzy Piłsudskim a regentami istniała w tym względzie jedynie ta różnica, że nie mogąc uzyskać pożądanego samodzielności przy tworzeniu wojska, przeszedł do opozycji i został aresztowany, a regenci bez aresztowania już w lutym 1918 r. sami wzięli sobie samodzielność, ogłaszając w orędziu, że odtąd będą "czekać prawo sprawowania zwierzchniej władzy państwowej, opierając się na woli narodu".

Als rząd Świeżyńskiego obrał drugą drogę, nie zamierzam wypowiadać się za słusznością pierwszej czy drugiej koncepcji. Pragnę tylko prześledzić, jak niedośćżnie realizowano tę drugą koncepcję.

Więc przede wszystkim nie obsadził stanowiska ministra spraw wojskowych, rezerwując je dla Piłsudskiego i dwukrotnie zwracał się do rządu niemieckiego o jak najszybsze zwolnienie go z więzienia w Magdeburgu, przez co automatycznie przyznawał mu nadrzędne stanowis-

ko w sprawach wojska, a przez swoją natarczywość o zwolnienie go do pewnego stopnia i we wszystkich innych, podając rządowi niemieckiemu, że "powrót Piłsudskiego będzie najlepszą gwarancją pokoju i porządku w czasie likwidacji okupacji". Proponował też Rydzowi Smigłemu współudział w tworzeniu armii polskiej, ale ten odmówił. Powinno to bardzo dużo powiedzieć rządowi, ale nie wyciągnął z tego żadnych wniosków.

Nie czując za sobą żadnej organizacji masowej o charakterze ludowym oraz bojąc się panicznie rewolucji, Rada Ministrów podejmuje uchwałę, polecającą min. Stanisławowi Głabińskiemu pojechać do Małopolski i skłonić Witosa do wstąpienia do rządu; min. zaś Zygmuntowi Chrzanowskiemu podjąć rozmowy z socjalistami. Dycyzja w zasadzie słuszna, ale jak została przeprowadzona?

Głabiński jedzie do Małopolski i przeprowadza w dniu 30 października we Lwowie konferencję z Witosem, który zgadza się na wejście ludowców do gabinetu.

Tymczasem Chrzanowski rozpoczyna w Warszawie rozmowy z socjalistami. Podobno nie byli to ludzie kompetentni i nie posiadali upoważnienia do żadnych zobowiązań. Ale jeśli tak to musieli być podstawionymi, bo doskonale spełnili potrzebne lewiczy zadanie.

Dotąd piłsudczycy stojący na czele PPS i PSL "Wyzwolenie", atakowali Radę Regencyjną i rząd aktywistów, po upadku którego zamierzali objąć władzę w państwie za zgodą Rady lub raczej bez. Ale mianowanie przez Radę Regencyjną rządu Świeżyńskiego, mającego bądź co bądź dosyć szeroki oddźwięk w społeczeństwie i składającego się z ludzi występujących przeciw państwu centralnym przez cały czas wojny, skonplikowało w znacznym stopniu ich rachuby. Wstąpienie do gabinetu koalicyjnego oznaczało przyznanie w znacznym stopniu słuszności polityce tych, którzy od początku wojny stali niezmieinnie na stanowisku wrogim względem państw centralnych i stawiali na zwycięstwo państw koalicji. Tymczasem piłsudczycy, dążąc do odnowienia władzy, musieli starać się odmówić słuszności polityce strony przeciwnej, zatopić ją w oskarżeniach o rusofilstwo, zbagatelizować dalszą walkę po stronie państw koalicji o niepodległość i zjednoczenie, o wprowadzenie Polski do rządu zwycięskich państw sprzymierzonych i stowarzyszonych, wyolbrzymiając równocześnie znaczenie czynu legionowego jako właściwego twórcy niepodległości.

Z tej racji musieli zmienić taktykę tak, aby m-imo wszystko doprowadzić do próżni politycznej. Ponieważ rządowi Świeżyńskiego nie można było postawić zarzutu współpracy z okupantami i przez to poważne obciążenie uczynić niemożliwym dalsze jego istnienie, więc zarzut skierowali z całą siłą przeciw Radzie Regencyjnej, mając wciąż na względzie unieszkodliwienie przede wszystkim rządu Świeżyńskiego jako głównego przeciwnika. Dlatego postawili min. Chrzanowskiemu za warunk dalszych pertraktacji o stworzenie wspólnego rządu uprzednie ogłoszenie odezwy, zredagowanej zresztą przez nich samych, w której bez porozumienia z Radą Regencyjną, rząd Świeżyńskiego zawiadamił, że "specny rząd polski podjął zdecydowaną inicjatywę natychmiastowego utworzenia rządu narodowego, a to w porozumieniu z politycznymi stronnictwami, przedostawiającymi pracujący lud polski. Rząd ten ma objąć władzę niepodzielną do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego".

Przez odeszłą tę rząd Świeżyńskiego wpadał w konflikt z jedną z jednej strony z Radą Regencyjną, a z drugiej podrywał sam dalsze swoje istnienie jako rządu, który nie reprezentuje "pracującego ludu polskiego". Cokolwiek by się więc stało po ogłoszeniu tej odezwy, tj. czy Rada Regencyjna pogodziłaby się z pozbawieniem jej władzy, czy też zignorowałaby znaczenie odezwy i udzieliła rządowi Świeżyńskiego dymisji, którą by ten przyjął lub odmówił przyjęcia, w każdym razie powstałby chaos na najwyższych szczeblach rządzenia, usprawiedliwiający podjęcie przez lewicę próby wypełnienia pustki i usunięcia zamieszanie. Oto wyjaśnienie, dlaczego, kiedy Chrzanowski poknął haoryk i zaa-

kceptował tekst odezwy, której ogłoszenie musiałoby wywołać duże zamieszanie, część piśmudczyków zaraz po odbyciu Konwentu pojechała do Lublina przygotowywać zamach, a część pozostała jeszcze w Warszawie aby obserwować dalszy przebieg wydarzeń.

Ciekawo, że i na Radzie Ministrów tylko premier Świeżyński oraz min. Wład. Grabski mieli początkowo pewne wątpliwości, lecz, gdy min. spraw wewn. Chrzanowski przedstawił w gorących słowach konieczność dojścia do porozumienia z lewicą, ustąpili. Odezwa została przyjęta jednogłośnie dla ogłoszenia jej nazajutrz, tj. 4 listopada. Trudno uwierzyć, żeby ludzie dorosli, przecież nie dzieci, nie rozumieli, że przez ogłoszenie odezwy detronizującej Radę Regencyjną bez uprzedniego ustalenego w szczegółach układu, a więc osobowego składu Rady Ministrów i programu rządu, oddawali się na łaskę lewicy i masieliby przyjąć każdą jej propozycję, gdyby chciała dalej z nimi pertraktować, a nie tworzyć wyłącznie własnego rządu.

Ale Rada Regencyjna wykazała należytą godność oraz zdecydowanie i postanowiła nie poddać się wyrokowi katwościernych polityków, lecz ukazać im dymisji i to w sposób całkowicie legalny, a ich ostatecznie kompromitujący. Posłała więc premierowi Świeżyńskiemu akt dymisji bez podpisu i ten podpisał. Zaraz potem ukazało się w dniu 4 listopada nadzwyczajne wydanie Monitora Polskiego z reskryptem Rady Regencyjnej, która dawała dymisję rządowi i jednocześnie polecała doktorowi Wład. Wróblewskiemu prowadzenie gabinetu, złożonego z najstarszych rangą urzędników w każdym ministerstwie.

Mimo to Rada Ministrów rządu Świeżyńskiego postanowiła nie poddać się, lecz utworzyć komitet ministerialny, złożony ze wszystkich ministrów z wyjątkiem premiera Świeżyńskiego i mężów zaufania Rady Regencyjnej, ministrów Higersbergera i Ponikowskiego, i udać się o oznaczonej godzinie do Syndykату Rolniczego, dokąd mieli przybyć według umowy z Chrzanowskim przedstawiciele lewicy, aby utworzyć ostatecznie rząd narodowy. Po daremnych oczekiwaniach, gdyż nikt się nie zjawił, ministrowie postanowili zejść się jeszcze o tej samej porze w dniu następnym. I w tym dniu rzekomi przedstawiciele lewicy nie zjawili się również, ale ci poczciwi ludzie jeszcze nie rozumieli, że zostali wyprowadzeni w pole. Wiąć, jak pisze Stanisław Głaziński w swoich "Wspomnieniach politycznych": "Nie przypuszczając zdrady z ich strony doszliśmy do wniosku, że bez zawiadomienia nas wyjechali do Krakowa, aby porozumieć się ze stronnictwem ludowym. Wysłaliśmy więc delegację naszą do Krakowa złożoną ze mnie i ministra Władysława Grabskiego. Dopiero w Krakowie wyjaśniła się sytuacja. Dowiedzieliśmy się tam o zdradzie socjalistów i o nowym rządzie Ludowym Republiki Polskiej" /str. 372/. Czyż można się dziwić, że piśmudczycy, przekonawszy się jakich mają przeciwników, doszli do wniosku, że zamach w Lublinie będzie można przeprowadzić łatwo?

I oto jesteśmy u źródła wielokierunkowych późniejszych następstw, do czego jeszcze powrócimy.

Rząd Świeżyńskiego popełnił jeszcze inny wielki błąd, tym razem związany bezpośrednio z zamachem lubelskim. Trzeba było nie mieć zupełnie wyobraźni politycznej, by nie zdawać sobie sprawy przy końcu października 1918 roku, że Austria woześniejszą się rozpadnie niż Niemcy i że powstaną pod okupacją austriacką warunki dla pojawienia się niezależnej akcji rządu polskiego. Z tej racji należało jak najprędzej mianować na Komisarza Generalnego Rządu Polskiego na okupację austriacką, oszkowicka nie tylko o dużym wyrośnięciu politycznym, lecz przede wszystkim o wybitnych zdolnościach organizacyjnych oraz energii, gdyż do Lublina, w razie trudności z Niemcami powinien przenieść się z Warszawy rząd wraz z regentami.

Zamiast takiego przedstawiciela rząd Świeżyńskiego mianował dopiero 30 października Komisarzem Generalnym Juliusza Zdanowskiego.

ziemianina z miechowskiego, człowiek osobście bardzo porządny, szlachetny i świątkowy, ale o charakterze i gorąco, a co ważniejsze nie zdającego sobie sprawy ani z nastrojów podnieconego społeczeństwa, ani z wyjątkowej roli, jaką powinna w tym momencie odegrać okupacja austriacka, w której praktycznie władza Austriaków już nie istniała i każdy mógł po nią sięgnąć.

Bo oto zamiast żądać natychmiastowego zniesienia okupacji i przejęcia w swoje ręce całości władzy, ułożył z urzędnikami guberni "kalendarzyk" stopniowego przejmowania poszczególnych agend władzy aż do końca listopada. Stosownie do powyższego porozumienia gen. gub. Liposkiak ogłosił 31 października 1918 r. odezwę, w której zapowiadał oddanie administracji w ręce polskie z dniem 1 grudnia 1918 roku.

W chwili, gdy w Krakowie już 27 października powstała Polska Komisja Likwidacyjna, a 31 października dokonano rozbrojenia odwachu i załogi austriackiej; gdy pozostałe ludy monarchii od razu brały władzę w swoje ręce; gdy nawet w Warszawie rząd i Rada Regencyjna tak silnie nacisnęły Niemców, że gen. gub. Beseler zgodził się oddać dowództwo nad armią polską z dniem 1 listopada, to tylko w Lublinie miała trwać generalna gubernia do końca listopada.

To też, gdy zarząd Zjednoczenia Narodowego zapoznał się z komunikatem gen. Liposkiaka, nie wiedząc jeszcze o zawarciu z nim układu przez komisarza Zdanowskiego, delegował zaraz swego przedstawiciela do tego ostatniego, aby mu zakomunikować konieczność natychmiastowego zajęcia gmachu generalnej guberni i objęcia władzy w całej okupacji. Jednocześnie dla poparcia tego żądania Zjednoczenia Narodowe wyraziło gotowość urządzenia w następnym dniu takiej manifestacji, jak 15 października, kiedy to gen. gub. Liposkiak przestraszył się tak, że zgodził się wypuścić z więzienia więźniów wszystkich więźniów politycznych w całej okupacji. Ale kom. Zdanowski uznał, że wszystko to jest niepotrzebne, ponieważ Liposkiak wcale nie sprzeciwia się oddaniu władzy choćby natychmiast, ale on sam nie chce tego, bo obawia się bękartu. Po co robić zamieszanie, kiedy można załatwić wszystko spokojnie i planowo. Kalendarzyk obejmowania agend został już uzgodniony z gen. Liposkiakiem i nie ma powodów do jego zmieniania".

Przykre wrażenie robił w gorące dni listopadowe ten osamotniony człowiek, siedzący w swoim prywatnym gabinecie wraz z osobistym sekretarzem, Stefanem Stońskim w sąsiednim pokoju, obejmujący w ten sposób władzę w całej okupacji. Więc żeby nadać akcji i wreszcie tempo, przedstawiciel Zjednoczenia zaproponował, aby utworzyć przynajmniej jakiś liczniejszy zespół współpracowników, ale i to komisarz uznał za zbędne.

Radość i entuzjazm ludności nie miały granic. Zaczęto samorzutnie składać ofiary w złocie na Skarb Narodowy. Straż Bezpieczeństwa nie była w stanie przyjąć wszystkich zgłaszających się. Brakowało czynnika koordynującego zapał społeczeństwa.

"Głos Lubelski", nie wiedząc jeszcze o dymisji rządu Swieżyńskiego, umieścił w numerze z 4 listopada artykuł pod tytułem "Pod broń", który kończył się słowami: "Hasłem naszym dzisiaj winno być: skarb, armia, solidarność". Ale droga do złamania solidarności i zerwania stanu została już otwarta nie przez kogo innego tylko przez sam rząd Swieżyńskiego.

Generał Liposkiak sam zwolnił z przysięgi wierności dla monarchii polskich urzędników cywilnych i wojskowych garnizonu lubelskiego, gdyż cesarz uciekł już z Wiednia, a komisarz Zdanowski znalazł się wobec konieczności zaprzysiężenia ich.

Zmuszony okolicznościami kom. Zdanowski ogłosił wreszcie w dniu 5 listopada komunikat, w którym oznajmił: "Rozpoczęłem już

przejmowanie zarządu kraju, które w najbliższych dniach ukończą. W powiatach mianowani zostali komisarze Rządu Polskiego, o postulat dla których wzywano wszystkie władze polskie i wszystkich współobywateli", ale w calszym ciągu urzędował we własnym mieszkaniu i nie wiadomo było, jak długo to potrwa a sytuacja wymagała widomego znaku zmiany władzy i natychmiastowego usunięcia z gmachu guberni dotychczasowego gen. gubernatora Lipościaka, jak zrobił to w dwa dni później Tymczasowy Rząd Ludowy. Władza austriacka przestała już działać, a nie odstawało się jeszcze polskiej, bo komisarz Zdanowski nie spieszzył się z jej objęciem.

Ponieważ kom. Zdanowski odosobnił się w tym czasie od wszystkich, więc przedstawiciel Zjednoczenia "narodowego udał się jeszcze raz do niego w południe 6 listopada, aby przekonać go o konieczności natychmiastowego przeniesienia się do gmachu generalnej guberni usunięcia gen. Lipościaka, przejęcia całego zarządu cywilnego i centralizowania w jednych rękach dowództwa nad wszystkimi formacjami wojskowymi, może nie tyle wiernymi Radzie Regencyjnej co przeciwnymi zamachowi i pragnącymi budować państwo wspólnie z wszystkimi czynnikami partyotycznymi, jak robią to Czesi.

Tutaj dowiedział się, że był u kom. Zdanowskiego przed chwilą inż. Tadeusz Ciświcki i powiadomił go, iż przyjechali do Lublina niektórzy przedstawiciele lewicy i on uważa, że bardzo dobrze podziałałoby na nich, gdyby komisarz wyjednał w Warszawie nominację dla Ryszarda Smigłego na naczelnego dowódcę sił zbrojnych w okupacji austriackiej. Wobec tego kom. Zdanowski telefonował już do Warszawy i prosił o taką nominację dla Smigłego, co przyrzeczono mu załatwić pozytywnie. Przedstawiciel Zjednoczenia widząc w tych zabiegach podobny manewr jak w Warszawie z Chrzanowskim, domagał się roztoczenia kontroli nad przybyłymi członkami lewicy i natychmiastowego zajęcia gmachu generalnej guberni. Następnie przedstawił wyżej wymienione propozycje Zjednoczenia, lecz i tym razem natrafił na dawny spokój kom. Zdanowskiego, który nie widział potrzeby pośpiechu.

A że Zjednoczenie Narodowe miało rację, domagając się szybkiego usunięcia widomego znaku okupacji, przyznał to później pośredniczący sam Daszyński, mówiąc na czwartym posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego w dniu 21 lutego 1919 roku: "Program Republiki Lubelskiej opierał się na dwóch fundamentach. Pierwszym fundamentem było wypędzenie okupantów, drugim było wprowadzenie republiki". W gruncie rzeczy nie było kogo wypędzać, gdyż żołnierze austriaccy sami uciekali jak najspieszniej do swoich państw narodowych, a programowi monarchii nie wysuwało żadne poważniejsze stronnictwo.

Tego samego dnia tj. 6 listopada przyjechał do Lublina szef sztabu wojska polskiego, gen. Jan Rozwadowski, na którego życzenie odbyło się po południu zebranie w Radzie Miejskiej, manych obywateli miasta. Na zebraniu tym gen. Rozwadowski przedstawił jako komendanta miasta gen. Olszewskiego. Ten też nie orientował się w sytuacji i myślał, że ma dużo czasu. Został internowany podczas najbliższej nocy w hotelu "Wiktoria", tak jak również w swoim mieszkaniu beztrzeski kom. Zdanowski.

Wieczorem tego samego dnia urządzono w klubie Polskim bankiet na cześć gen. Rozwadowskiego. Ustawiono dwa stoły: jeden wzdłuż najdłuższej ściany na kilkadziesiąt osób i drugi znacznie mniejszy w tej samej sali pod oknami na dwadzieścia kilka osób. Przy głównym stole zasiedli gen. Rozwadowski z adiutantami i ppłk Pasławski, dowódca zatrzymanego w Lublinie batalionu warszawskiego, idącego na odsiecz Lwowa, oraz sami ziemianie, niektórzy z żonami. Panie były pięknie ubrane i przeważnie bardzo ładne. Był to ostatni w Polsce bankiet, na którym ziemianie czuli swoją wagę i występowali w roli

głównych gospodarzy kraju. Przy mniejszym stole zasiadli przedstawiciele miasta.

Rozpoczęły się toasty, które wygłosili po kolei: kom. Zdanowski, Antoni hr. Rostworowski, Kazimierz Rudakowski i inni. Odpowiedział im bardzo ładnie gen. Rozwadowski, dziękując za okazaną serdeczność i wzywając do wytężonego i solidarnego wysiłku całego narodu, przede wszystkim dla szybszego uwolnienia Lwowa i przywrócenia polskiej władzy w całej Rzeczpospolitej. Po nim przemawiało jeszcze kilku ziemian. Wszyscy oni wznosili toasty wyłącznie na cześć Rady Regencyjnej, wojska warszawskiego, generała Rozwadowskiego i obrońców Lwowa. Tylko przemawiający ostatni przedstawiciel Zjednoczenia Narodowego wznosił toast na cześć Komitetu Narodowego Polskiego, armii Hallera, obrońców Lwowa i natychmiastowego zajęcia gmachu generalnej guberni.

Zapanowała kompletna konsternacja. Przy stole głównym na okłaski zdobyło się zaledwie kilkanaście osób, a przy stole mniejszym oklaskiwali jedynie ci, którzy nie należeli w swoim czasie do aktywistów. Radosny nastrój został poważnie zepsuty i niedługo później wstano od stołów i zaczęto się rozchodzić.

W tym samym mniej więcej czasie kończył się druk manifestu Tymczasowego Rządu Ludowego, a zebrani w jednym ze skrzydeł gmachu generalnej guberni obradowali przysli ministrowie. Nie bali oni jeszcze w komplecie, ale uważali że nie można dłużej zwlekać, bo w mieście jest już zbyt głośno o szykującym się zamachu. Więc chociaż premier Daszyński był jeszcze w drodze wraz z więzionymi przez niego Witosem i Stapińskim, postanowili działać. Obawiali się, że gdyby kom. Zdanowski przeniósł się do gmachu guberni, a jednocześnie postawił w stan pogotowia wszystkie jednostki posiadające broń i przeciwne zamachowi, odpadłby nie tylko jeden z głównych argumentów przemawiających za zamachem, tj. "wypędzenia Austriaków", lecz i w ogóle nie mogłoby być mowy o tak łatwym objęciu władzy.

Zatrzymany w Lublinie batalion tzw. Wehrmachtu polskiego, idący na odsiecz do Lwowa, wcale nie dawał pewności jakie zajmie stanowisko względem zamachu. Pomiędzy bowiem oficerami tego Wehrmachtu a tymi legionistami, którzy odmówili przysięgi, istniała głęboka niechęć i nieufność. Toteż Andrzej Strug i Wacław Sieroszewski, jadąc nad ranem do koszar tego batalionu, nie wzięli z sobą Rydza Smigłego, aby nie odnawiać niechęci, lecz zabrali prezesa Rady Ministrów Miejskiej adwokata Jana Turczynowicza, aby zrobić na ppłk Paszkowskim i innych oficerach wrażenie, że stoi za nimi całe miasto. Według relacji adwokata Turczynowicza ppłk Paszkowski długo się zastanawiał i wahał, ale właściwie czyim imieniem miał wystąpić przeciw Rządowi Ludowemu? Rady Regencyjnej, którą już rząd Swieżyńskiego uznał za niegodną sprawowania najwyższej władzy w Państwie? Urzędników ministerialnych, pełniących funkcje tymczasowego rządu w Warszawie? Szefa Sztabu Generalnego, który uciekł w nocy z Lublina lub może kom. Zdanowskiego, który przebywał w domowym areszcie i rozmyślał prawdopodobnie z żalem, że Rada Regencyjna nie mianowała Rydza Smigłego dowódcą wszystkich sił zbrojnych w okupacji, bo wtedy nie byłoby zamachu? Więc ostatecznie pod wpływem silnych nalegań ppłk Paszkowski zgodził się nie tylko zająć stanowisko neutralne, lecz nawet uznać rząd ludowy i złożyć przysięgę wierności.

Mimo to zamachowcy nie byli widocznie do ostatniej chwili zupełnie pewni stanowiska batalionu i na wszelki wypadek wystawili przy moście na Bystrzycy, skąd miał nadejść, dwa karabiny maszynowe z obsługą. Ale ostrożność ta nie była potrzebna.

Na placu przed Katedrą przysięgały na wierność Tymczasowemu Rządowi Ludowemu, który dysponował w Lublinie najprawdopodobniej nie więcej niż kilkuset zaopatrzonymi w broń legionistami i pe-

wiakami: cały batalion ppłk. Paślowskiego, dwie kompanie żołnierzy Polków Czynnego Wojska Austriackiego, Milicja Miejska, Straż Obywatelska i cztery kompanie policji, razem około półtora tysiąca ludzi, w zasadzie przeciwnych zamachowi. W wykonaniu ceremonii przysięgi na placu katedralnym członkowie rządu przyjeżdżali w kolumnie, pod pomnikiem Unii Lubelskiej.

Że twórcy zamachu lubelskiego dysponowali tylko bardzo małymi siłami wojskowymi, przyznał to nie kto inny tylko sam minister spraw wewnętrznych Stanisław Thugett, pisząc w "Przełomie" jednodniowe poświęconej wypadkom 7 - 11 listopada 1918 roku, iż "siłą Rządu Ludowego była niemal wyłącznie siła moralna".

Tego samego dowodzi, że po złożeniu przysięgi batalion ppłk. Paślowskiego, który był w drodze do Lwowa, został na dłużej zatrzymany w Lublinie jako zabezpieczenie przed kontrzamachem. Kiedy w dniu 15 listopada 1918 roku wysłannik obrońców Lwowa Bohusław Piłtuchiewicz, udał się wraz z towarzyszącymi mu delegatami, wybranymi na specjalnym wiecu, do komendanta miasta ppłk. Buchardt-Bukackiego z prośbą o wysłanie pomocy do Lwowa, ten wskazywał początkowo na różne trudności, a gdy został przycisnięty xsilniej do muru, zapytał wprost: "a czy możecie mi zaręczyć, że nie urządzicie zamachu, gdy wyśle garnizon lubelski na obronę Lwowa" /I to wtedy kiedy władzę objął już Piłsudski/.

I wreszcie trzeci dowód. W dniu 15 listopada Milicja Ludowa w Lublinie liczyła wszystkiego 180 ludzi /Głos Lubelski z 17 listopada 1918 r/. Natomiast rząd Daszyńskiego uzyskał szerokie poparcie społeczne w powstałej 5 listopada w Lublinie Radzie Delegatów Robotniczych.

Zamach lubelski nie był wywołany żadną koniecznością zapobieżenia wybuchowi rewolucji o charakterze skrajnym, jak później usiłowali to przedstawić niektórzy jego autorzy. Kiedy dokonywano zamachu w Lublinie, nie było rewolucji nawet jeszcze w Niemczech, a i później rewolucje wybuchły tylko w tych krajach, który wojnę przegrały, a Polska należała do państw zwycięskich i nowopowstałych.

Niewątpliwie Lewica demokratyczna na czele z socjalistami pragnęła szczerze ustroju demokratycznego i głębokich reform społecznych, ale jeszcze więcej obawiała się prawdziwej rewolucji socjalnej. Dlatego rewolucję swą przeprowadziła tak, że wprowadziła podniosła początkowo falę rewolucyjną i wzbudziła wielkie nadzieje, ale jednocześnie zamroziła ją przez to że nie wprowadziła reform socjalnych od razu w życie, jak uczynił to Manifest z 22 Lipca 1944 roku, tylko zatwierdzenie ich przerosła na Sejm Ustawodawczy. Zwróciło to wszystkie nadzieje mas na Sejm i spowodowało bierne oczekiwanie na jego decyzje.

Prawdziwe zaś rewolucyjne SDKPiL oraz PPS Lewica, najwięcej prześladowane przez okupantów przez cały czas wojny, dopiero zwierały swoje szeregi. /16 listopada powstanie Rady Międzypartyjnej SDKPiL oraz PPS Lewicy, 16 grudnia połączenie SDKPiL i PPS Lewicy i utworzenie Komunistycznej Partii Robotniczej Polski/ i nie był w stanie bez współudziału PPS odmrozić fali rewolucyjnej i skierować jej na drogę walki o dyktaturę proletariatu. W ten sposób odbiera się wrażenie, że zamach lubelski zrobiony został głównie, aczkolwiek nie wyłącznie, dla Piłsudskiego.

I tutaj dochodzimy do jeszcze jednego paradoksu. Jak się okazało niebawem, zamach lubelski nie był wcale potrzebny i Piłsudskiemu dla objęcia całej władzy w państwie, a co najwyżej mógł mu ułatwić powoływanie się później wobec wystraszonych sfer posiadających przy utworzeniu rządów na panujące w kraju nastroje rewolucyjne. To też nie pojechał do Lublina i nie stanął na czele wojska oraz rządu, lecz przeciwnie kazał rozwiązać się rządowi lubelskiemu i odwołać usunięcie od władzy Rady Regencyjnej.

I nie dziwnego, gdyż Tymczasowy Rząd Ludowy nie miał najmniejszych widoków na rozciągnięcie swojej władzy i to zarówno drodze pokojowej, jak i nacisku wojskowego na którąkolwiek z dzielnic poza okupacją austriacką, opanowaną przez zamach. Sam zaś Piłsudski nie był jeszcze w tym czasie tak popularny jak choćby Paderewski, a może nawet i Korfanty. To tylko stosunkowo nieliczni w blicze jego wytwarzali przez swoją zarliwość takie pozory. Wszystkie listy kandydackie, które w wyborach do Sejmu Ustawodawczego z całym programem wysuwały jego osobę, przepadały, zbierając śmiesznie małe liczby głosów. Dopiero w oparciu o PPS i EKL "Wyzwolenie" stawiał się, lecz nie o wiele większa niż obie te partie razem wzięte.

Lepszy grunt dla objęcia władzy w państwie przygotował Piłsudskiemu kto inny i z tej drugiej okoliczności postanowił skorzystać, a nie z zamachu lubelskiego. Okolicznością tą było wydanie przez rząd Swieżyńskiego odezwy z 3 listopada 1918 roku, która spowodowała dymisję rządu i tak podważała autorytet Rady Regencyjnej, że dalej istnieć ona nie mogła i musiała skorzystać z pierwszej sposobności, pozwalającej jej wyjść z honorem z nieznosnej sytuacji, kiedy była zwalczana już przez wszystkich.

Wydaje się, że gdyby w chwili przybycia Piłsudskiego do Warszawy z więzienia w Magdeburgu Rada Regencyjna zwalczana była tylko przez samą lewicę, a rząd Swieżyńskiego sprawował w dalszym ciągu władzę, to wobec panujących nastrojów w samej Warszawie i okupacji niemieckiej oraz w Wielkopolsce i Małopolsce, powrót Piłsudskiego do władzy i polityki musiałby odbyć się w zgoła inny sposób, niż stało się to w dniach 11 i 14 listopada. To tylko odezwa z dnia 3 listopada jak zwrotnica przesunęła bieg dalszych wydarzeń politycznych na inny tor, prowadzący aż do rozmowy prezydenta Wojciechowskiego z Piłsudskim na moście Poniatowskiego w maju 1926 roku. I aż dziw bierze, że nikt dotąd nie uwypuklił przełomowego znaczenia odezwy z 3 listopada.

Natomiast utworzenie w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego i jego dalszego ciągu, rządu Moraczewskiego, wpłynęło decydująco na charakter ustawodawstwa socjalnego w Polsce. Dowodzi tego najlepiej, że wszystkie dekrety rządu Moraczewskiego, regulujące najpilniejsze żądania robotnicze, zostały później przyjęte przez Sejm Ustawodawczy w postaci odpowiednich ustaw bez zasadniczych zmian. A reforma rolna, w sprawie której rząd Moraczewskiego nie wydał żadnego dekretu, wywołała w Sejmie najostrzejsze walki, a wykonanie jej zostało rozłożone na długie lata.

W ten sposób dochodzimy do ostatecznego wniosku, że sytuacja dla objęcia przez Piłsudskiego całej władzy w państwie przygotował głównie rząd Swieżyńskiego przez swoje błędy; decydujący zaś wpływ na wprowadzenie w Polsce bardzo postępowego, jak na tamte czasy, ustawodawstwa socjalnego miał Tymczasowy Rząd Ludowy i dalszy ciąg jego, rząd Jędrzeja Moraczewskiego.

Ryszard Wojdaliński

Moja działalność w Narodowym Zjednoczeniu Ludowym

Od 15 lipca 1915 r. objąłem redakcję "Głosu Lubelskiego" i prowadziłem pismo do 9 lutego 1919 r. W tym okresie "Głos Lubelski" uważany był za organ Zjednoczenia Narodowego, jakkolwiek w rzeczywistości pismo było własnością Ligi Narodowej. W październiku 1915 r. powstał w Lublinie z mojej inicjatywy Oddział Zjednoczenia Narodowego, którego byłem sekretarzem zarządu, głównym organizatorem, generalnym mówcą i autorem wszystkich tajnych odezw tego stronnictwa, wydanych podczas okupacji austriackiej.

W dniu 26 stycznia 1919 r. zostałem wybrany w 22. okręgu lubelskim na posła do Sejmu Ustawodawczego i razem z pozostałymi posłami członkami Zjednoczenia Narodowego, wstąpiłem do Sejmowego Związku Ludowo-Narodowego. Aby jednak nie dopuścić do rozplynięcia się stronnictwa w wielkim klubie, utworzyliśmy poufną komórkę kierowniczą, do której należeli: Leopold Sikulski, Edward Dubanowicz, Stefan Palkowski i ja, a po wyborach poznańskich doszedł jeszcze Juliusz Trzeciński. Komórka ta istniała również i po wystąpieniu w końcu lipca 1919 r. z Sejmowego Związku Ludowo-Narodowego i utworzeniu Narodowego Zjednoczenia Ludowego aż do rozłamu, dokonanego w dniu 16 czerwca 1921 r.

Spółną główną delegatem NZL do Komisji Skarbowo-Budżetowej, w imieniu której przemawiałem niejednokrotnie, jak i całego klubu na plenkach Sejmu, nie wyłączałem debat generalnych. Też jako przedstawiciel NZL wchodziłem dwukrotnie do Rady Finansowej przy ministrze skarbu, zaproszony pierwszy raz przez samego ministra, a drugi raz wybrany przez cały Sejm. Po rozłamie z dnia 16 czerwca 1921 r. zostałem oficjalnie wybrany do zarządu klubu poselskiego, a już wcześniej należałem do Zarządu Głównego Stronnictwa. Po klęsce Stronnictwa w wyborach 1922 r. i po połączeniu się z Polskim Stronnictwem Ludowym zostałem delegowany do Zarządu Głównego PSL. Jednak o r. 1924 przestałem uczęszczać na zebrania Zarządu Głównego i poświęciłem się wyłącznie pracy zawodowej, która wyczerpywała całkowicie moje słabe zdrowie.

Pracując w Centrali Pocztowej Kasy Oszczędności zajmowałem różne wyższe stanowiska włącznie do dyrektora Departamentu Finansowego. W marcu 1948 r. zostałem przeniesiony do Katowic na stanowisko dyrektora Oddziału Wojewódzkiego PKO. W sierpniu 1954 r. przeszedłem na rentę inwalidzką i zacząłem zbierać materiały do wspomnień. Napisałem następujące prace:

1. "Wspomnienie lubelskie" /228 stron maszynopisu/, które nabyła ode mnie Biblioteka Jagiellońska, a wydawnictwo PAX zawarło ze mną w lutym 1968 r. umowę o wydrukowanie ich.

2. "Pocztowa Kasa Oszczędności w okresie okupacji hitlerowskiej" /221 stron maszynopisu/ nabyta przez Bibliotekę Jagiellońską, a wydrukowana w głównych częściach w XI tomie "Najnowszych Dziejów Polski".

3. "Sejm Ustawodawczy 1919-1922" /1.501 s.m./, nabyty przez Bibliotekę Narodową w Warszawie.

4. "Relacje posła na Sejm Ustawodawczy 1919-1922" /836 s.m./, nabyte w sierpniu 1971 r. przez Bibliotekę Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu z zastrzeżeniem pierwszeństwa wydania pracy przez wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Katowice, data 21. III. 1973 r.

/-/ Ryszard Wojdaliński

Karol Popiel

Fragmety wspomnień

Tak się dziwnie w moim życiu złożyło, że dwóch najwybitniejszych polityków polskich okresu międzywojennego Romana Dmowskiego i Wincentego Witosa mogłem poznać będąc jeszcze w gimnazjum. Trzeci - Józefa Piłsudskiego poznałem nieco później, już jako działacza akademickiego.

Gimnazjum w Tarnowic, do którego zacząłem uczęszczać w 1900 roku, różniło się tym od innych tego typu zakładów naukowych w Galicji o ile chodzi o ścierające się wówczas wśród młodzieży prądy ideowe - z jednej strony narodowy, z wychodzącym we Lwowie miesięcznikiem "Teką", a z drugiej postępowy z "Promieniem", iż bodaj jedyne w całym kraju było wyłączną domeną wpływów tego ostatniego ugrupowania. Wyszli w tym okresie - mówię o pierwszych rocznikach bieżącego wieku, z gimnazjum tarnowskiego tacy wybitni wychowankowie organizacji młodzieży postępowej /Promienistej/ jak Sobelsohn /słynny później w ruchu socjalistycznym a następnie komunistycznym Karol Radek/, głośny aktor Stefan Jaracz, Bolesław Bator i młodszy nieco od nich Marian Kukiel, by wymienić tylko najgłośniejszych. Wśród nich jeden tylko Bator w okresie studiów uniwersyteckich we Lwowie, gdzie się wyróżnił jako wybitny prawnik, trafił do młodzieży narodowej i był przez jedną kadencję przewodniczącym jej najważniejszej ekspozytury: Czytelni Akademickiej.

Ruch, który na pierwszym miejscu kładł nacisk na ideę międzynarodowej solidarności proletariatu, nie przypadł jakoś do gustu mnie i moim kolegom. W trzeciej klasie w gronie kilku kolegów z których jedni uczęszczali do gimnazjum macierzystego, a ja z paroma do nowokreowanej filii, późniejszego gimnazjum II, powstała myśl powołania do życia tajnego koła, ożywionego przede wszystkim duchem patriotycznym polskim. Z inicjatywą tą wystąpił bodajże pierwszy Wojciech Łarka, syn chłopski ze wsi Kanna w powiecie dąbrowskim. Jego kolega z sąsiedniej wsi tego samego powiatu Jan Sliński, który poprzedni rok chodził do gimnazjum w Krakowie podsunął nam myśl nawiązania kontaktu z podobnym jak mu się wydawało ruchem organizacyjnym młodzieży w Krakowie przez swego kolegę Muchę z Młyn Dolnej. W ten to sposób, nie orientując się zupełnie we właściwym powiązaniu organizacyjnym, trafiliśmy w obręb organizacji młodzieży narodowej, z którą utrzymywaliśmy początkowo łączność za pośrednictwem kierownika tejże organizacji w Krakowie ucznia siódmej klasy gimnazjalnej, Józefa Lewickiego. Dopiero w dwa lata później Lewicki, który nas często w Tarnowie odwiedzał, oddał nas pod opiekę tzw. Delegata Władzy "aczelnej", którym był student prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, późniejszy wybitny ekonomista polski, Edward Taylor.

Nawiązawszy łączność z młodzieżą narodową zaopatrzyliśmy się w odpowiednią literaturę, którą w pierwszym rzędzie stanowiły pisma, a więc: urzędowy nasz organ "Teką", ukazujący się w zasadzie co miesiąc, niestety niedość regularnie, następnie bardzo regularnie ukazujący się miesięcznik "Przegląd Wszechpolski" oraz nowopowołany dla pracy wśród ludu wiejskiego tygodnik "Ojczyzna", wychodzący we Lwowie pod redakcją Piotra Panka. W oparciu o te pisma i zgodnie z dyrektywami Delegata zaczęliśmy kompletować naszą bibliotekę organizacyjną, której główny zbiór stanowiły podręczniki do nauki historii Polski, jaką była obowiązująca lektura naszego koła a później całej licznej już dość szeroko rozbudowanej organizacji. Popularne wśród nas były dwa podręczniki, jeden Konstatańskiego Buszczyńskiego, reprezentujący pogląd

upiększania dziejów Polski, Drugi: Historia Polski w okresie poro-
zbiorowym, jako autor której figurował Władysław Grabieński. Dopie-
ro później dowiedzieliśmy się, że jest to pseudonim warszawskiego
historyka Smoleńskiego. Innych podręczników Historii Polski, unika-
liśmy specjalnie zaś Michała Bobrzyńskiego, może dlatego, że był
on zawsze zalecany przez naszych nauczycieli historii a zwłaszcza
przez dyrektora naszego gimnazjum, d-ra Jana Lenka, ucznia Józefa
Szujskiego i niedoszłego zresztą jego następcę na katedrze uniwer-
syteckiej. Wyróżniaker się w gimnazjum wyjątkowo inklinacją do his-
torii i pamiętam jak na zapytanie Kalitowskiego z Rzeszowa, któremu za
zaminie dojrzałości dyrektora Kalitowskiego z Rzeszowa, któremu za
imponowałem odpowiedziami na postawione pytania odnośnie przyczyn
wybuchu powstania styczniowego, czy studiowałem Bobrzyńskiego, od-
powiedziałem, że nie. Dopiero wiele lat później przekonałem się,
ile straciłem na zbyt późnym zapoznaniu się z historią napisaną
przez tego nie tylko wybitnego polityka ale i wielkiego historyka.

W "Przeglądzie Wszechpolskim" zapoznaliśmy się z czołowymi pi-
sarzami obozu demokratyczno-narodowego, którego był on czołowym or-
ganem. Najchętniej czytaliśmy tam stały przegląd wydarzeń z trzech
zaborów Polski, podpisywany: J.L. Jastrzębiec.

Z czasem poinformowano nas, że jest to pseudonim jednego z
twórców ruchu Popławskiego, emigranta z Królestwa Polskiego. Te je-
go przeglądy przegłady to było wprowadzanie nas w sprawy i zagadnie-
nia życia narodu polskiego we wszystkich trzech zaborach. Przedsta-
wione zawsze w taki sposób, że budziły zainteresowania i dawały te-
mat do różnych dyskusji i smucia planów na przyszłość. Zaznajomie-
nie się z problematyką pozostałych dwóch zaborów, a zwłaszcza prus-
kiego, które mi się tak później przydało w mojej pracy politycznej,
zawdzięczam niemal całkowicie Popławskiemu. Drugim pisarzem, który
artykuły, co prawda rzadziej się pojawiające, budziły w nas duże
zainteresowanie podpisywane były: G. Topór. Był to pseudonim Tadeu-
sza Szczęśnego. Wyszły one w osobnym wydaniu pt.: Odbudowanie Pol-
ski i stanowiły odąd dla naszych kół organizacyjnych stałą lektu-
rę. Czytaliśmy uważnie i dyskutowaliśmy najchętniej nad artykułami Romana
Dmowskiego, wiedząc już że to jest w środowisku kierującym główną
osobistość, zarówno podpisywane jego pełnym imieniem i nazwiskiem
jak i pseudonimem R. Skrzyński. Najmniej zachwytu, prawdopodobnie
z powodu ciężkiego i zawikłego stylu, budziły wśród nas artykuły
Zygmunta Bolickiego, wydane później pod tytułem: Egoizm narodowy
wobec etyki. Ta koncepcja ideologiczna budziła zresztą w naszym
środowisku różne opory.

Nic wiem już jak się to stało, iż mimo, że nie należałem do
inicjatorów naszego koła, wkrótce zostałem jego faktycznym przywó-
cą. Od samego początku włączania się w ruch narodowy do którego przy-
ciągnął nas poza hasłem niepodległości najbardziej jego wszechpól-
skość, kowalce nie by nie nadawała się łącznością przez pośred-
ników z ranienną tw. władzy naczelnej, którzy się zresztą dość
często zmieniali. Po Taylorze na krótko przyszedł Gustaw Szura,
Emil Sadowski, później Władysław Horodyski /późniejszy profesor
filozofii Uniwersytetu Wileńskiego w Polsce/, a w końcu Jan Rzepec-
ki, z którym najdłuższą bo prawie przez trzy lata pracowałem.
Już w klasie 5-atej w obu gimnazjach tarnowskich, nie dopuszczając
tam organizacji Promienistej, która przeznaczona była na wyschnię-
cie w trzech ~~zabiorach~~ końcowych rocznikach, postanowiłem przy ja-
kiejś okazji wyjechać do Krakowa by tam bezpośrednio nawiązać sto-
sunki. Nie było to tak łatwe przy ówczesnej naszej nędzy finan-
sowej ale przy praktycznym zmyśle mego "ad-iutanta" Mieczysława Kraw-
czyka, który zrzucił jakąś nie bardzo legalną przejażdżkę, w po-
rozumieniu z kolejarzem z wagonu opalającego cały pociąg, za poło-

wę ceny udaliśmy się we dwóch w początkach stycznia 1905 roku do Krakowa. Było to albo w pierwszą niedzielę tego miesiąca albo w święto Trzech Króli wówczas w Austrii święcone. Poza adresem naszego "delegata", którego wypadkowo wtedy w Krakowie nie było, dysponowaliśmy tylko jednym, tj. lokalem "Przeglądu Wszchpolskiego" na ulicy Jabłonowskich vis a vis niedawno wybudowanego domu akademickiego, w którym z czasem mieliśmy u starszych kolegów organizacyjnych poparcie i nocleg. Administratorem "Przeglądu" był student Uniwersytetu, chłopski syn z tarnobrzemeskiego powiatu, Jan Słonka Słonka, syn pierwszego pamiętnikarza chłopskiego z Galicji, również Jana Słonki, wójta w Dzikowie, siedzibie możnego rodu Tarnowskich. Słonka przyjął nas wyjątkowo serdecznie informując tajemniczo, że trafiliśmy na wyjątkową uroczystość bo właśnie w sąsiednim pokoju zbierają się czelwi działacze ruchu, którzy mają powitać przyjeżdżającego dzisiaj z zagranicy Romana Dmowskiego. Okazało się, że Dmowski wracał właśnie przez Wiedeń z dalekiej podróży do Japonii, gdzie miał się nie tyle zetknąć z ówczesnym wysłannikiem Polskiej Partii Socjalistycznej, Józefem Piłsudskim, ile starać się pokrzyżować jego plany zainteresowania Japonii, będącej w wojnie z Rosją, możliwością wybuchu powstania zbrojnego przeciwko caratowi w Królestwie Polskim. O celu tej misji nie jesteśmy wówczas nie wiedzieli. Sądząc po tym jak pojmowaliśmy ideologię ruchu narodowego i plany jego kierującej organizacji Ligi Narodowej, bylibyśmy prawdopodobnie stanęli sympatiami po stronie Piłsudskiego. Ciekawość poznania Dmowskiego chociażby z daleka była tego rodzaju, że umyślnie przeciągaliśmy naszą rozmowę ze Słonką i w pewnej chwili doczekaliśmy się przyścia Dmowskiego, który by przywitać się ze swymi przyjaciółmi musiał przejść przez pokój administracji, w którym siedzieliśmy razem ze Słonką. Dmowski przywitał się z nami w taki sposób, że na długo zostało nam w pamięci wspomnienie pewnego czaru jaki z niego promieniował. Powiedział nam jakiś komentarz, robiąc aluzje do naszych mundurków szkolnych i szybko zamknął się w pokoju konferencyjnym ze swoimi przyjaciółmi, co było dla nas sygnałem do pożegnania Słonki. Marzyliśmy później, aby jeszcze w jakiś sposób móc dostać się w otoczenie Dmowskiego i zamienić z nim chociażby kilka słów. Wydawało nam się to dość łatwe, ponieważ po tej pierwszej szczęśliwej naszej wyprawie do Krakowa korzystając z "wynałazku" Krawczyka odbyłem jeszcze w ciągu najbliższych 6-ciu miesięcy przedwakacyjnych parę wypraw do Krakowa. Zachodziłem jak zwykle do Słonki, ale już nigdy nie udało mi się tam spotkać Dmowskiego. Kiedyś zaszedłem do redakcji "Polaka" przy ulicy Długiej na rozmowę z sympatycznym administratorem Bernackim i tam trafiłem na jakiś dyżur organizacyjny późniejszego mego przyjaciela a wówczas starszego kolegi z nadzorczej organizacji Związku Młodzieży Polskiej /Zet/ Feliksa Młynarskiego, który mnie poinformował, że za chwilę przybędzie tu największy mózg spośród wódców ruchu - Zygmunt Balicki, dla odbycia konferencji z jakimiś delegatami z Kongresówki. Muszę jednak powiedzieć, że w przeciwnieństwie do wrażenia, jakie zostawiło na mnie spotkanie z Dmowskim przed paru miesiącami, Balicki bardzo mnie rozczarował. Zachował się wobec młodego uczeniaka, którego obecność w lokalu na pewno przecieży nie była przypadkowa, sztywnie i wyniośle.

Druga połowa wspomnianego roku oddaliła mnie całkowicie od możliwości zbliżenia się do wódców ruchu. Na wakacjach zachorowałem ciężko najpierw na tyfus brzuszny a później zapalenie płuc i związany z tym skrzep i cały następny rok szkolny spędziłem w domu i do gimnazjum wróciłem dopiero na jesieni przyszłego roku po zdaniu egzaminu do 7-mej klasy. Był to równocześnie okres przemowy dla całego kierownictwa Ligi Narodowej, które dotąd concen-

trawało się w Krakowie przy "Przeglądzie Wszechpolskim". Rozwój wypadków w Rosji i wywołany nimi ferment w Królestwie spowodował decyzję powrotu do Warszawy czołowej ekipy "Przeglądu". Miesięcznik dobiegał akurat 10 roku istnienia, które czołż wydaniem specjalnego numeru z zasadniczym artykułem Dmowskiego na temat zadań polityki polskiej. Wkrótce "Przegląd" przestał wychodzić a powołany w to miejsce jako następcą w Warszawie "Przegląd Narodowy" pod redakcją Balickiego w niczym, przynajmniej dla nas, nie przypominał, iż był kontynuacją czasopisma, na którym kształtowaliśmy nasze poglądy polityczne. Dmowski sam zmuszony został do zaangażowania się w czynny nurt życia politycznego i w niejakiś czas później po krótkim epizodzie pierwszego parlamentu rosyjskiego, tzw. Dumy narodowej "poddany" tego wielkiego imperium manifestem cara Mikołaja II z 30 października 1905 r. został wybrany posłem z Warszawy a następnie prezesem Koła Polskiego w Petersburgu, grupującego wszystkich posłów polskich Królestwa Kongresowego.

Dmowski praktyczny polityk na terenie zabukującego dopiero w kierunku parlamentaryzmu i konstytucyjnego ustroju państwa rosyjskiego nie przypominał w niczym ~~polityka~~ teoretyka i przywódcę ruchu narodowego o tendencjach niepodległościowych. Jego zwrot w kierunku tzw. realnej polityki był szokiem nie tylko dla młodych roczników ruchu, wywołał on sprzeczności także wśród znacznego ożkażu bezpośrednich jego współpracowników stojących na czele takich związanych z Ligą Narodową organizacji jak powołany w 1906 na bazie patriotycznych kółek młodzieży rzemieślniczej i robotniczej "Narodowy Związek Robotniczy" oraz bardzo rozbudowana organizacja wiejska, która dała ekipę pierwszych polskich posłów chłopskich do Dumy z takimi wybitnymi postaciami jak: Mateusz Manterys z Miechowskiego i Józef Makoneczny z Lubelskiego. Jednym z głównych kierowników tej organizacji był Aleksander Zawadzki /pseüdo Prokop/, z którym miałem w kilka lat później bliżej się zetknąć i przez szereg lat aż do rozjęcia się w 1915 r współpracować. Zawadzki na tej bazie zbudował Narodowy Związek Chłopski, który łącząc z NRZ w 1908 roku zerwał z Ligą Narodową tworząc tzw. Frontę po oświadczeniu Dmowskiego w Dumie, iż Koło Polskie będzie głosować za budżetem wojskowym w Rosji. Nowa orientacja polityczna Dmowskiego opierała się na założeniu, iż głównym przeciwnikiem a raczej wrogiem narodu polskiego są Prusy i zbudowana przez nie Rzesza Niemiecka. Naród polski według tego jego poglądu miał wi-ki rozwoju narodowego i z łobycia z czasem warunków samorządnego życia politycznego w porozumieniu i w oparciu o Rosję, której ew-lucję w kierunku konstytucyjno-demokratycznym zakładał jako czynnik nieuchronny. Szczerzej rozwinął te tezy Dmowski w wydanej w 1900 roku w programowej swój pracy pt. "Niemcy, Rosja i kwestia polska" napisanej już po wycofaniu się przez niego z praktycznego życia politycznego i złożeniu mandatu do Dumy. Decyzję tę powziął na skutek krytyki jaką we władzach Ligi i Stronnictwa Demokratyczne Narodowego spotkała się jego nowa orientacja.

Przestudowałem uważnie, mówi, przestudowałem, a nie przeczytałem, książkę Dmowskiego. Czytałem ją w złość nowej, radykalnie zmiennej mojej własnej sytuacji politycznej. Jesienią 1908 roku zapisałem się na Uniwersytet Lwowski, ściągający do Lwowa przez starszego kolegę organizacyjnego Karola Wierizaka, późniejszego sekretarza generalnego demokracji narodowej Niepodległej Polski. Wierizak zaofiarował mi płatne stanowisko pracownika w kierowanym przez siebie biurze stronnictwa, co rozwiązywało trudny dla mnie i moich rodziców problem finansowania studiów. Wypadki jednak jakoś dziwnie zmięknęły tę zdawało się prestolinijnie układającą się drogę. Pod koniec pierwszego roku doszło w organi-

zacji lwowskiej "Zetu" do rozłam, którego źródło leżało nie tyle w różnicy ocen politycznych ile w przesłankach natury ideowo moralnej. Kierownictwo "Zetu" we Lwowie było całkowicie w rękach grupy kolegów reprezentujących pewnego rodzaju prawe skrzydło ruchu, orientującej się na współdziałanie z konserwatywnymi elementami ziemiańskimi w Galicji wschodniej. Pozostawało to w związku z dojściem do głosu w galicyjskiej demokracji narodowej nowego przywódcy, którym był socjalista, uczestnik założycielskiego zjazdu PPS w Paryżu, w 1892 roku, młody profesor ekonomii, najpierw w Akademii Rolniczej w Dublinach, a później na Uniwersytecie Lwowskim, Stanisław Grabski. Nadał on stronnictwu charakter bardziej radykalny, nastawiony na konkurencję z ruchem ludowym, który przy pierwszych wyborach powszechnych do austriackiego parlamentu w 1907 roku ujawnił wyjątkową swą siłę i żywotność. Młoda ekipa wychowanków lwowskiego środowiska młodzieży narodowej, która przed dojściem do władzy Grabskiego odgrywać zaczęła w kierownictwie stronnictwa i w redakcji głównego jego organu dziennika "Słowo Polskie" - /głosił później politycy: Edward Dubanowicz, Stanisław Stronński i ściśle z nimi związana ekipa ówczesnych naszych przywódców akademickich: Stefan Paskawski, Wacław Majbaum itp./ stanęli w ostrej opozycji do kierunku zapoczątkowanego przez Grabskiego. Równocześnie na odcinku młodzieży ta sama ekipa zaniedbała całkowicie wszelką pracę typu ideowo wychowawczego. W ciągu ośmiu miesięcy mojej przynależności do lwowskiej grupy "Zetu" nie mieliśmy ani jednego zebrania, na którym by zastanawiano się na jakikolwiek temat ani poważniejszego charakteru. Wszystkie zebrania organizacyjne poświęcone były wyłącznie sprawom praktyczno-organizacyjnym. Np. zajmowaliśmy się sprawą zorganizowania manifestacji przeciwko ówczesnemu namiestnikowi w Galicji, dr Bobrzyńskiemu z okazji uroczystości inauguracyjnej roku uniwersyteckiego dla zaprotektowania przeciwko jego projektowi równouprawnienia Ukraińców w dążeniu do uzyskania nowych katedr uniwersyteckich, względnie powołania z czasem Uniwersytetu Ukrainieckiego. Następne zebrania poświęcone były omawianiu spraw w jaki sposób zdobyć rzad w Bibliotece Słuchaczy Prawa będącej dotąd poza sferą wpływu młodzieży narodowej, względnie Bratniej Pomocy w której rządziła młodzież postępująca. Gdy z powodu krytyki tych niezdrowych stosunków przeprowadzonej na zjeździe "Zetu" przez Teofila Anaszkiewicza, który był rówieśnikiem ówczesnej grupy rządzącej, zamiast wglądać w te niezdrowe stosunki wszczęto przeciwko niemu represje organizacyjne, drugi jego kolega Stefan Rudziński, którego znałem od paru lat, gdyż kierował organizacją bocheńską naszej organizacji, z którą utrzymywaliśmy jako sąsiedzką bliższe stosunki, odwołał się do pomocy mojej i moich najbliższych kolegów grupujących wychowanków organizacyjnych z różnych miast Galicji i Królestwa, którzy licznie w tym roku zjawili się we Lwowie, kawa stanęliśmy po stronie ~~organizatorów~~ "reformatorów". Dało to początek wreszcie niezamierzony powstania nowego ruchu grupującego się przy powołanym przez nas do życia na jesieni 1910 roku miesięczniku "Zarzewie".

Byliśmy jak najbardziej dalecy buntując się przeciwko kierownictwu lwowskiej grupy "Zetu" od myśli zrywania z całością ruchu, którego on był jednym z odgałęzień. Jeżeli zaś chodzi o kierunek jako demokracji narodowej Galicji nadał Grabski, to większości z nas a w pierwszym rzędzie mnie, który z Grabskim w owym czasie bardzo blisko się zetknął, najpierw w biurze stronnictwa, a nie długo potem w biurze Zarządu Głównego Towarzystwa Kółek Rolniczych, gdzie Grabski był wpływowym członkiem, to jego stanowis-

raczej nam odpowiadało. Dopiero znacznie później po rozjeściu s z "Zetem" zaczęły przemknąć do naszego środowiska wpływy warszawskiej "Frondy". Ale to już inna historia.

Czytałem więc prace polityczne Dmowskiego bez żadnych uprzedzeń z żarliwą chęcią znalezienia odpowiedzi na nurtujące mnie wątpliwości co do nowej orientacji kierownictwa ruchu z którym mi wszystko ozułem się ciągle ideowo związane. Czytałem książkę Dmowskiego w specyficznej atmosferze politycznej, bo w roku 500-letniej rocznicy zwycięstwa polskiego pod Grunwaldem obchodzonym na terenie Galicji w sposób niezwykle uroczysty i powszechny a kulminujący w uroczystościach krakowskich zorganizowanych w związku z nadaniem przez Ignacego Paderewskiego pomnika dla króla Jagiełły i Jadwigi. Wszystko to złożyło się na raczej podatny klimat dla przyjęcia i zaakceptowania zasadniczej tezy Dmowskiego o tym, iż głównym wrogiem narodu polskiego są Niemcy i wszelkie próby odzyskania naszej niepodległości z tamtej strony napotykały na najwielsze przeszkody. Od tego jednak do zaakceptowania logicznych wniosków, iż pomyślniej koniunktury na rozwiązanie w przyszłości sprawy polskiej trzeba szukać w porozumieniu z Rosją przejście było bardzo trudne. Byliśmy przecież spaekobiercami długoletniej tradycji powstańczej, prawie wyłącznie skierowanej przeciwko Rosji jakemu państwu, które zagarnęło gros ziem polskich z ich centrum i stolicą na czele.

Równocześnie aktualny rozwój wydarzeń w zaborze rosyjskim zdawał się całkowicie zaprzeczać prognozą Dmowskiego. Owcześnie konstytucyjna Rosja Stożypina w niczym nie zdradzała objawów tego, iż jej sternicy państwowi mają świadomość trudności oczekujących to państwo a jeszcze bardziej konieczności innego podejścia do spraw polskich. Nie tylko że w Królestwie Kongresowym dość szybko i skutecznie zlikwidowano te okrucy wolności konstytucyjnej, jak przyniósł Manifest Październikowy, ale co więcej jakby uryślnie zorganizowano prowokację żywotnych uczuć i interesów narodu podmuając projekt stworzenia nowej guberni Chełmskiej i oderwania jej administracyjnie od pozostałych ziem Królestwa Polskiego.

Ow fakt oderwania Chełmszczyzny stał się dla nowopowołanego przeze mnie i moich kolegów ruchu, dla którego ustaliliśmy z czasem nazwę narodowo-niepodległościowy /potocznie przyjęła się raczej nazwa "Zarzewiaczy" od tytułu naszego organu, miesięcznika "Zarzewie" odskocznią dla zorganizowania na terenie Lwowa, a z czasem także i w reszcie kraju, manifestacji patriotycznych, których celem było rozbudzenie uczuć niepodległościowych i skierowania ich raczej tradycyjnej linii antyrosyjskiej niż nowej orientacji Dmowskiego. Ta nasza akcja trwała prawie 2 lata, aż do ostatecznego uchwalenia przez parlament rosyjski ostatecznego projektu. Wyraziła się ona w kilku manifestacjach młodzieży akademickiej pod konsulatem rosyjskim we Lwowie i w końcowym wiecu obywatelskim z udziałem wybitnych przedstawicieli życia politycznego jak: socjalistyczny poseł do parlamentu wiedeńskiego Hudec, profesor Grabski imieniem Demokracji Narodowej i redaktor Jan Dąbski ludowiec. Na wiecu tym rzucono zgodnie ze specjalnym orędziem patronującego naszej akcji biskupa sufragana lwowskiego, głośnego kaznodziei księdza Władysława Bandurskiego, hasło powołania do życia Daru Chełmskiego dla finansowania akcji narodowej polskiej na zagrożonym terenie Chełmszczyzny. Z akcją tą byłem bezpośrednio najbliżej związany, ponieważ niezależnie od Lwowa odbyłem turę wieców dla kuracjuszy głównie z byłego zaboru rosyjskiego, przebywających na kuracji w zdrojowiskach galicyjskich. Turę tę zapoczątkowaliśmy wielkim wiecem w Zakopanem pod autorytetem specjalnie powołanego do życia komitetu obywatelskiego, złożonego z elity kulturalnej polskiej. Dość powiedzieć,

że wiec zagaik przewodniczący Komitetu Jan Kasprowicz, przewodnic-
two objął Stefan Żeromski, który wygłosił krótkie przemówienie,
a potem zasadniczy referat dał Gustaw Daniłowski. W końcu przema-
wialiśmy jako przedstawiciele lwowskiego Wiecowego Komitetu Chełm-
skiego: Jan Dąbski i ja. Następny wiec zorganizowaliśmy w Krynicy
- było to w początkach sierpnia i na nim przenawialiśmy obaj z Da-
bskim. A później to już ja sam obsłużyłem wiece zorganizowane w Że-
giestowie, Rabce, Szczawnicy i Iwoniczu. Koledzy nasi ze Lwowa ob-
służyli Truskawiec.

W ten to sposób rozwój wydarzeń politycznych oddalił mnie
całkowicie od wejścia na drogę, do której w pewnym stopniu popycha-
ły mnie rozważania nad książką Dmowskiego. Dokonało się całkowicie
rozejście moje z obozem demokratyczno-narodowym, które wkrótce prze-
rodziło się w ścisły związek ideowy a następnie organizacyjny z no-
wą grupą przyjaciół będących u źródła powstałej przed kilku laty
/w łonie Ligi Narodowej tzn. Frondy/. Wśród nich wymienić muszę
dwa nazwiska: wspomnianego wyżej Aleksandra Zawadzkiego-Prokopa
i adwokata warszawskiego Wacława Dunin-Goździkowskiego, znanego
bardziej jako Wacław Dunin. Przez nich trafiłem do ważniejszego za-
plecza to jest Narodowego Związku Robotniczego z którym już mia-
łem pewne stosunki za pośrednictwem jednego z jego założycieli, a
wówczas reprezentanta jego władz organizacyjnych na emigracji w Kra-
kowie, studenta Studium Rolniczego Uniwersytetu Jagiellońskiego
Jana Stanisława Jankowskiego, później w niepodległej Polsce paro-
krotnego ministra pracy i opieki społecznej, a podczas II wojny
wicepremiera i delegata rządu na Kraj. Te wspomnienia jednak po-
zostają w dość luźnym związku z właściwym tematem.

W taki oto sposób zarówno przed wybuchem I wojny światowej,
jak i podczas tej wojny zaliczałem się do zdecydowanych przeciw-
ników polityki Romana Dmowskiego. W 1911 roku do tego negatywnego
ustosunkowania się doszedł jeszcze jeden nowy czynnik którego spawa-
ca, bodajże wyłącznym był Dmowski. On to przeprowadził wtedy na
zjeździe Rady naczelnej Stronnictwa Demokratyczno Narodowego w War-
szawie zniesienie bojkotu szkół rosyjskich w Królestwie, będących
od 1905 roku kanonem politycznym wszystkich ówczesnych odłamów
młodzieży polskiej z wyjątkiem mało wpływowej grupy skrajnie lewi-
covej Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Za to ostat-
nie posunięcie zapłaciła Demokracja Narodowa nowym rozkazem w swych
szeregach, oderwała się wtedy od niej dość poważna grupa inteli-
gencji głównie w Warszawie, a częściowo i w Lublinie, dla której
przyjęła się potocznie nazwa Secesji.
Najwybitniejszym jej przedstawicielem był pierwszy minister spra-
wiedliwości Królestwa Polskiego w 1917 r. wybitny adwokat warszaw-
ski, Stanisław Bukowicki, a dalej znany historyk i pierwszy premier
rządu polskiego powołanego w tym samym roku przez Radę Regencyjną
Jan Kucharszewski, ekonomista Stefan Dzierwulski, inż. Antoni Boni-
kowski i inni. Organem legalnym tej grupy był wydawany w Warszawie
"Tygodnik Polski" pod redakcją Gustawa Simona, w niepodległej Pol-
sce wiceministra pracy i opieki społecznej.

Gdy te wszystkie okoliczności biorę dzisiaj pod uwagę, docho-
dzę do wniosku że rewizja mojego stosunku do osoby Romana Dmowskie-
go w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości była jednakże
wynikiem nie tyle jakiegoś jak na polskie stosunki samokrytycyzmu
i zdolności spojrzenia na nową rzeczywistość niezależnie od dawnych
urazów i uprzedzeń. Jak już wspominałem negatywny mój stosunek do
polityki Romana Dmowskiego utrzymał się przez cały okres I wojny.
Różnica jaka się wówczas utworzyła między dwoma głównymi obozami
politycznymi Polski sprowadzała się do zasadniczego zagadnienia

czy jako główną podstawę naszych dążeń narodowych wysuwać hasło niepodległości państwowej chociażby na niepełnym terytorium narodowym, tak też koncentrować wszystkie wysiłki polskie na zjednoczeniu ziem historycznej Polski w oparciu o państwa centralne i tu leżała geneza powstania Legionów Polskich. Było rzeczą jasną, biorąc pod uwagę faktyczny stan siły i znaczenia w tym zespole, który się bardzo szybko w toku działań wojennych ujawnił, iż było to liczenie się przede wszystkim z Rzeszą Niemiecką wobec zupełnej słabości Austro-Węgier. Przesądzało to jakakolwiek - w ramach ówczesnej rzeczywistości - rachubę na włączenie do takiego państwa polskiego ziem byłego zaboru pruskiego, co więcej nakazało liczyć się z tym, iż ewentualnie zwycięskie Niemcy zażądadają znacznych poprawek granicznych na swą korzyść na terenie Królestwa Kongresowego. Dmowski zdecydowanie zaraz po wybuchu wojny wystąpił z postulatem zjednoczenia ziem polskich pod berłem rosyjskiej dynastii Romanowów jako wyłącznym i realnym celem polityki polskiej w tej wojnie osiągalnym. Bazował w swej polityce na Manifestie wodza naczelnego armii rosyjskiej wielkiego księcia Mikołaja Nikołajewicza, ogłoszonym Polakom dnia 15 sierpnia 1914 roku, którego apel o polskim nieczu grunwaldzkim jaki na pewno nie zardzewiał i o złączeniu losów narodu polskiego, który znajdzie swą przyszłość w samorządzie z Rosją, wywołał szerokie echo zarówno w zaborze rosyjskim jak i pruskim.

Znalazłem się wówczas w ugrupowaniu politycznym, które w pierwszym okresie wojny wyraziło się w powołaniu do życia pewnego rodzaju federacji organizacji, które się oderwały od Ligi Narodowej - Narodowy Związek Robotniczy, Narodowy Związek Chłopski i Związek Niepodległości (Organizacja Inteligencji) pod nazwą Konfederacji Polskiej. Od samego początku należałem do parosobowego Komitetu Centralnego Konfederacji, która uległa likwidacji dopiero wkrótce po opuszczeniu Królestwa przez wojska rosyjskie i zajęciu Warszawy przez Niemców w dniu 5 sierpnia 1915 roku. Znalazła się ona w zasadniczej opozycji do koncepcji politycznej Dmowskiego.

Ostatecznie okazało się, że w czystej formie żadna z ówczesnych wrogich sobie orientacji nie została w pełni zrealizowana, obłe jednakże przyczyniły się w znacznym stopniu do osiągnięcia takiego sposobu rozwiązania Sprawy Polskiej, jakie dokonano się w przełomowych miesiącach - października i listopada 1918 roku. Z chwilą upadku caratu Dmowski z miejsca program zjednoczenia ziem polskich złączył organicznie z postulatem ich państwowej niezależności, można więc powiedzieć, że w dużym stopniu jego koncepcja okazała się zwycięska. Powoławszy do życia - najpierw w Rosji, a później na zachodzie Europy - Komitet Narodowy Polski jako organ polityczny do walki o realizację wysuniętego przez siebie programu, odegrał Dmowski decydującą rolę na konferencji pokojowej jako pierwszy delegat zmartwychwstałego Państwa Polskiego. Równocześnie jednak zarówno on sam jak i jego obóz posiadający silne zaplecze w dwu dawnych zaborach - rosyjskim i pruskim poniósł całkowitą klęskę w walce o to, kto będzie kształtował oblicze i ustrój państwowy nowo odbudowanej Rzeczypospolitej. Na tym polu zwycięzcą okazał się główny przeciwnik Dmowskiego - Józef Piłsudski, dysponujący poparciem całej ówczesnej lewicy z wyjątkiem jej skrajnych elementów rewolucyjnych.

Nieobecny w kraju Dmowski zostaje w styczniowych wyborach 1919 r. wybrany triumfalnie do I Sejmu Odrodzonej Polski z tzw. Listy Narodowej w Warszawie, gdzie figuruje na II miejscu zaraz po Ignacym Paderewskim, ówczesnym premierze, z którym cały okres wojny wspólnie prowadził akcje wśród mocarstw zachodnich na rzecz Sprawy Polskiej. Zajęty w pierwszym okresie całkowicie pracami konferencji pokojowej

nie interesuje się wewnętrzną polityką w kraju uważając, że w tej dziedzinie jego obóz dał się na dłuższy okres czasu zdystansować swoim przeciwnikom. Nie okazuje również w tej dziedzinie zainteresowania pod koniec 1919 roku, gdy po zakończeniu prac pokojowej konferencji paryskiej wrócił do kraju. Waża się wówczas w polityce polskiej nie słychanie ważne i decydujące o jej przyszłości sprawy: z jednej strony kwestia jej ustroju państwowego, z drugiej kwestia jej granic na wschodzie, jako że Traktat Wersalski kwestie te zostawił całkowicie otwarte. To zachowanie się Dmowskiego uprzytomniło wielu ludziom w Polsce, w pierwszym rządzie światlejszym spośród jego zwolenników, iż nie jest to przywódca polityczny w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, a więc tego typu, co przywódcy odgrywający kierującą rolę w życiu państw zachodniej Europy. Wyglądało na to, że zainteresowania jego ograniczają się głównie do zagadnień polityki zagranicznej. On sam jednak tej opinii bynajmniej nie podzielał. Uważał się ciągle za czołowego przywódcę swojego obozu mającego jasny pogląd na wszystkie problemy zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej polityki i w różnych dyskusjach z najbliższymi przyjaciółmi oraz z kołami młodzieży dawał temu wyraz.

Sam rozwój wypadków jednak zmusił Dmowskiego do wyjścia z tej wyczekującej postawy jaką zajął po powrocie do Polski. Wyraziło się to w sposób dość oryginalny, jeżeli chodzi o zagadnienia ustrojowe, w chwili kiedy w komisji konstytucyjnej Sejmu rozgorzała namiętna walka z dążeniami właśnie bliskich Dmowskiemu żywiołów z członkiem jego własnego stronnictwa, fanatycznym księdzem Kazimierzem Lutosławskim, popieranym przez liczny zespół poselski duchownych zasiadających na ławach lewych stronnictw prawego centrum i prawicy (chrześcijańska demokracja, chrześcijańsko-narodowi, względnie narodowe zjednoczenie ludowe i związek ludowo-narodowy, którą to nazwę w pierwszym sejmie przyjęli postowie dawnej demokracji narodowej). Temu to dziającemu zespołowi "kroniki Komisji Konstytucyjnej" zawdzięczają projekt nadania ustrojowi odbudowanego Państwa Polskiego specyficznego charakteru wyznaniowo-katolickiego. Przeprowadził on (przy silnych oporach nie tylko lewicy ale i centrum z PSL Piast na czele) postulat, iż prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej może być tylko Polak rzymsko-katolik. I to w sytuacji, gdy optymalnie obliczając ramy terytorialne i zaludnienie Polski, jaka ostatecznie miała się wykonać, należało brać pod uwagę nie tylko istnienie w jej granicach prawie jednej trzeciej ludności innych wyznań, a poza tym jeszcze i fakt szczególnie ważny, a mianowicie, iż staliśmy wówczas wobec możliwości dwóch plebiscytów: jednego na obszarze Prus Wschodnich (rejencji olsztyńskiej), a drugiego na terenie Śląska Cieszyńskiego. W pierwszym z tych plebiscytów, który odbył się w lipcu 1920 roku, w najgorszym z każdego punktu widzenia terminie dla nas, wynik zależał prawie całkowicie od ludności o słabym poczuciu narodowym, ale mówiącej po polsku i wyznania ewangelickiego. W drugim, na Śląsku Cieszyńskim, gdzie ostatecznie z plebiscytu musieliśmy zrezygnować za cenę uzyskania wątpliwej pomocy Anglii i Francji godząc się na ich arbitraz, który wypadł dla nas niekorzystnie, w owym momencie powinniśmy się byli liczyć z tym, że stanowisko ludności wyznania ewangelickiego, stanowiącej prawie połowę elementu uważającego się za polski, mogło być dla wyników plebiscytu rozstrzygające. Tego wszystkiego ówczesni fanatycy katolicy w Sejmie Polskim nie brali pod uwagę i trzeba było dopiero interwencji samego Dmowskiego, który z grupą światłych przedstawicieli starej ekipy narodowo-demokratycznej - z braćmi Stanisławem i Władysławem Grabskimi oraz Janem Zamorskim na czele -

demonstra-

cyjnie w Sejmie głosowali z lewicą i centrum przeciwko lekkomyślnym pomysłom konstytucyjnym księdza Lutosławskiego i towarzyszy.

W roku następnym uruchomił się Dmowski politycznie na terenie Sejmu jeszcze raz i to w momencie niezwykle dramatycznym, bo w okresie śmiertelnego zagrożenia państwa, kiedy to powierzono do jego steru Rząd Jedności Narodowej pod przewodnictwem Wincentego Witosa oraz Radę Obrony Państwa jako naczelny organ walki narodu z Rosją Sowiecką. Dmowski zgodził się wówczas wejść do Rady jako przedstawiciel swojego stronnictwa, tj. Związku Ludowo-Narodowego. Udział w jego pracach był jednakowoż dość krótki. Z miejsca zajął postawę zdecydowanie krytyczną wobec polityki i kierownictwa wojennego Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego - Piłsudskiego. Doszło wówczas między starymi antagonistami do ostrego starcia. Dmowski wystąpił na posiedzeniu Rady z ostrym przemówieniem, na które Piłsudski zareagował w ten sposób, iż oddał swoje stanowisko do dyspozycji i opuścił zebranie. Pod jego nieobecność dyskutowano nad ewentualną zmianą na stanowisku wodza naczelnego, by w końcu zdecydować się na utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy. W wyniku tej decyzji Dmowski przestał brać czynny udział w posiedzeniach R.O.P., w której oddał jego stronnictwo reprezentowane było bodajże przez Prezesa Klubu Sejmowego, starego parlamentarzystę jeszcze szkoły wiedeńskiej, lwowskiego profesora Stanisława Głabińskiego.

W wyborach do pierwszego normalnego sejmiku po wejściu w życie niedawno uchwalonej konstytucji z 17 marca 1921 roku, jakie odbyły się w listopadzie 1922, Dmowski nie wziął udziału. Przedtem już zdecydował się opuścić Warszawę i osiedlił się w nabytym przez siebie, czy dla niego przez przyjaciół, majątku Chłudowo pod Poznaniem z zamiarem poświęcenia się tam przede wszystkim pracy pisarskiej i bardziej z daleka obserwowania zmagania swojego stronnictwa na terenie sejmiku. Tam właśnie napisał podstawową dla przedstawienia swych zabiegów w czasie wojny pracę historyczną i parę "pomniejszych publikacji, między innymi dość głośną, w której zajął się stwierdzeniem, iż światowa rola Wielkiej Brytanii weszła w stadium końcowe. Odnosna publikacja wywołała wówczas złośliwe krytyki ze strony politycznych przeciwników, na brak których Dmowski nie mógł narzekać, nie tylko z kręgów lewicowych, ale i z różnych ośrodków tzw. umiarkowanych. Wszyscy oni dość zgodnie zarzucali mu pochopność w ferowaniu wyroku wobec faktu, iż za punkt wyjścia swojego sądu przyjął rezygnację Londynu z bezpośredniego panowania nad Egiptem. Okazało się jednakże iż w danym wypadku diagnoza Dmowskiego była przewidująca, a tylko jej spełnienie opóźniło się nieco w czasie, bo dokonano się w pełni dopiero w wyniku II wojny światowej, w której w pierwszym stadium Wielkiej Brytanii przypadła do odegrania tak wybitna rola.

Wielskie zacisze podpoznańskiej resztówki do tego stopnia jak go życia spróbował swego pióra także na polu literatury pięknej. Tam to właśnie powstały, w tajemnicy nawet przed najbliższymi współpracownikami, dwie powieści o bieżącej tematyce politycznej napisane przez Dmowskiego po Przewrocie Majowym, drukowane obie w odcinkach "Gazety Warszawskiej" i następnie wydane książkowo nakładem poznańskiej księgarni św. Wojciecha pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego. Pierwsza, bardziej znana nosiła tytuł "Dziedzictwo" i była pewnego rodzaju autobiografią, druga, której tytułu w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, omawiała losy ideowego oficera polskiego, który w momencie zamachu zbrojnego walczył po stronie prawowitego rządu, a po zwycięstwie Piłsudskiego został usunięty z wojska.

Tajemnica co do autorstwa obu powieści była do tego stopnia utrzymana, a niewiara w to, iż polityk i działacz tej klasy co Dmowski mógł na stare lata stać się powieściopisarzem, że wszelkie próby odkrycia iż to Dmowski kryje się pod pseudonimem Wybranowskiego spotykały się z powszechnym niedowierzaniem. Byłem w pewnym stopniu nie tylko zamieszany w próbę tego odkrycia, ale nawet jej inicjatorem. Kiedy bowiem w 1932 roku "Dziedzictwo" wywołało dość ożywioną dyskusję - wpadłem na ślad wyjątkowych zbieżności między pooglądami głównego bohatera powieści Turowskiego a tezami - zwłaszcza na temat masonerii - jakie Dmowski wówczas rozwijał w nowej swej pracy "Świat powojenny i Polska". Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami z wstępującym wówczas w szranki dziennikarskie młodym działaczem Narodowej Partii Robotniczej, Zygmuntem Felczakiem, który zajął się gruntowniejszym przepracowaniem tego tematu i zestawił przekonującą zbieżność poszczególnych opinii i wypowiedzi, który w połączeniu z uzyskaną przez niego poufną informacją, iż sprawa druku "Dziedzictwa" w księgarni poznańskiej zajmował się bliski Dmowskiemu Nikołajewicz, którego dopó w ostatnich latach przed wojną był przyrodnim dla przynależności narodowo-demokratycznego, juncym, nas w przekonaniu, iż Wybranowski to Dmowski, Felczak uporczywie na ten temat doskonale udokumentowany artykuł, którego teza spotkała się z tego rodzaju powszechnym niedowierzaniem, iż nie można go było umieścić w żadnym dzienniku ani tygodniku, do których się zwracał,

Będąc wówczas bardzo czynnym działaczem politycznym i jako redaktor naczelny codziennego organu NER na Pomorzu /wychodzący w Toruniu "Głos Robotnika"/ i obserwując z tej pozycji rozwój ogólnej sytuacji w państwie oraz politykę mojego własnego klubu na terenie sejmowym coraz częściej dochodziłem do wniosku, iż nie wszystko idzie po tych liniach jakich wymagają interesy państwa znajdującego się po niedawno z takim trudem utrwalonej niepodległości, ciągle w bardzo zagmatwanej i trudnej sytuacji. Klub NPR w sejmie pod przewodnictwem jednego z założycieli Narodowego Związku Robotniczego Adama Chądzyńskiego prowadził politykę, którą by można z pewną dozą złośliwości, jak to robili jego przeciwnicy na prawo odeń stojący określić - satelity PPS. Polityka ta miała poparcie terenowych organizacji byłego Królestwa, które z wyjątkiem Łodzi i najbliższej okolicy oraz w pewnym stopniu Zagłębia, raczej dość skąbrych, wymagających w wyborach do sejmu jakichś sojuszków, natomiast budziła wątpliwości na tych terenach, które stały się po połączeniu Narodowego Związku Robotniczego z Narodowym Stronnictwem Robotników główną ostoją wpływów zjednoczonego obozu, który na kongresie połączeniowym odbytym podczas Zielonych Świąt 1920 r. przybrał nazwę Narodowej Partii Robotniczej. Szczególnie w Wielkopolsce, w mniejszym stopniu na Pomorzu a także i na Górnym Śląsku, gdzie może nie występowało to jeszcze tak wyraźnie ze względu na to, że ta dzielnica była cała pochłonięta przygotowaniem do plebiscytu, polityka klubu NPR w Sejmie budziła poważne zastrzeżenia. Dotyczyły one głównie tego pewnego rodzaju satelietwa wobec PPS a to właściwie równało się to całkowitemu we wszystkich dziedzinach podporządkowaniu posunięć politycznych Naczelnika Państwa Piłsudskiego. Ludność robotnicza Ziemi Zachodnich, tak samo jak i całe tamtejsze społeczeństwo, z wielkim niepokojem śledziły rozgrywkę Piłsudskiego a Rosja Sowiecka zwłaszcza od chwili kiedy w końcu 1919 roku odrzucił on propozycję pokojową zawarcia rozejmu na linii całkowicie pokrywającej się z tzw. linią Dmowskiego, przedstwowaną na konferencji pokojowej w Paryżu; która przesądziła przyznanie Polsce z grubsza biorąc obszarów posuniętych bardziej na wschód conajmniej o jakieś 100 do 120 km od tej granicy, jaką uzyskaliśmy w Traktacie Ryskim.

Zastanawiając się nad możliwościami wytyczenia dla zjednoczonego Narodowego Ruchu Robotniczego samodzielnej drogi politycznej doszedłem w pewnej chwili do przekonania, iż mogłoby to mieć dużą dla mnie osobistą wartość gdybym mógł przedyskutować najważniejsze nasze problemy polityki państwowej z politykiem tej miary co Dmowski. Toteż po dłuższym zastanowieniu się, zdecydowałem się zabezpieczyć o taką rozmowę z tym, że powiadomienie o jej przebiegu moich przyjaciół politycznych z kierownictwa NRR dopiero po jej przeprowadzeniu, obawiałem się bowiem, że przy ówczesnym ich nastawieniu - pewnego rodzaju organiczanej wrogości dla środowiska z którego wyszli i z którym przed 14 laty zerwali, mogłbym nie uzyskać zgody na tego rodzaju w ich rozumieniu niebezpieczny kontakt. Aby uzyskać dostanie się do Dmowskiego zdecydowałem się prosić o pomoc wybitnego działacza demokratyczno-narodowego, posła na Sejm, ziemianina spod Pruszkowa, Antoniego Marylskiego, jednego z najbardziej światłych przedstawicieli zarówno tej warstwy społecznej, jak i środowiska politycznego, z jakim miałem szczęście w życiu się spotkać. Podczas przypadkowego spotkania w Warszawie wyłożyłem Marylskiemu swoją prośbę, do której odniósł się z wielkim entuzjazmem i dosłownie w ciągu kilku dni dał mi znać do Torunia, iż Dmowski gotów mnie przyjąć w ciągu najbliższych tygodni każdego zwykłego dnia w swoim mieszkaniu prywatnym w Poznaniu i w dniu 2 maja udałem się do mieszkania Dmowskiego. Uderzyło mnie, iż było to mieszkanie kawalerskie starszego pana prowadzącego tryb życia na stopie raczej zamężnego rentiera sfery ziemiańskiej. Drzwi otworzył wysoki, postawny wózny, który później podczas czytania "Dziedzictwa" uderzając przypominał przedstawioną przez Kazimierza Wybranowskiego typ wiernego lokaja, bohatera powieści Michała. Dmowski przyjął mnie bardzo serdecznie, jak kogoś blisko znajomego, podkreślając na wstępie, że dużo o mnie słyszał, zwłaszcza od Marylskiego i dlatego zgodził się chętnie na tak nieoczekiwaną wizytę. Wyłuszczyłem swoje motywy dla których zdecydowałem się na tę śmiałą inicjatywę i poprosiłem o potraktowanie mnie jako mimo wszystko młodego jeszcze adepta sztuki politycznej, który mimo, iż ma za sobą już pewną ilość lat działalności przeżywa dziś okres dużego wewnętrznego zakłopotania i rozterki z powodu tego, iż nie wszystko w państwie do któregośmy wszyscy dążyli z takim oddaniem, idzie tak jakieśmy to sobie wyobrażali, co więcej układ stosunków w sejmie, prymitywizm i zaciekłość walk partyjno-politycznych, zdaje się wrożyć niezbyt spokojną i szczęśliwą przyszłość dla Polski.

Dmowski odpowiedział na moje pytania dłuższym wywodem bardzo precyzyjnym. Zaczął od związonego przedstawienia linii swojej i własnego stronnictwa, polityki ukoronowanej wynikami konferencji pokojowej. Widne było, iż wspomnienia z tego okresu jego pracy posiadały dlań wyjątkową wagę, co więcej uderzyło mnie, iż on nacjonalista, zdecydowany wróg wpływów liberalno-masonskich we wszelkiej ich postaci, z niezwykłym wprost zaufaniem i prawie entuzjazmem wyrażał się o Francji i jej ekipie rządzącej, przecieży tak silnie przefiltrowanej przez notorycznych masonów, nawet w odłamie umiarkowanym zwolenników byłego prezydenta Poincaré'go, którzy w ówczesnym parlamencie francuskim posiadali zdecydowaną większość. O polskiej ekipie rządzącej, wyrażał się raczej lekceważąco, w szczególności zaś o ówczesnym sterniku naszej polityki zagranicznej, ministrze Eustachym Sapieszce. Nawiązując do oczekiwanego arbitrażu wielkich mocarstw wobec niezbyt wyraźnego wyniku plebiscytu górnośląskiego wyrażał się, że to Francja nam "da Górny Śląsk" a napewno niezbyt mądry nasz Sapięha.

Najbardziej pamiętnym epizodem tej rozmowy, która trwała prawie trzy godziny, była wypowiedź Dmowskiego odnośnie nastrojów jakie panowały w Delegacji Polskiej w Paryżu pod koniec 1918 r. i w początkach 1919 r. Sledząc uważnie rozwój sytuacji w Polsce a zwłaszcza przejawy akcji probolszewickiej lewicy, która w połowie grudnia 1918 r. utworzyła Komunistyczną Partię Robotniczą Polski, tak jak były te rzeczy przedstawione w prasie francuskiej a także w poufnych doniesieniach wywiadu francuskiego, członkowie Komitetu Narodowego Polskiego przeżywali duży niepokój o to, czy Piłsudski ze swoją ekipą rządową zdoła utrzymać ład i porządek. Zdawali sobie sprawę z tego, że w tej chwili niezależnie od animozji jakie się u nich wytworzyły w stosunku do osoby naczelnika państwa i popierających go grup, od powodzenia ich polityki zależą losy państwa a więc właściwe i powodzenie ich misji na terenie dyplomatycznym gdzie się miała w najbliższym czasie rozstrzygnąć kwestia granic państwa polskiego. Zapomnieliśmy w tej chwili, mówił Dmowski, o wszystkim co nas dzieliło i jeszcze dziś dzieli, życzyliśmy Piłsudskiemu pełnego powodzenia zdając sobie sprawę z tego, że w danej sytuacji ma on do odegrania historyczną rolę. Z ulgą i radością przyjęliśmy fakt, iż przez ten trudny i niebezpieczny okres Piłsudski przebrnął zwycięsko, a z chwilą zastąpienia rządu Moraczewskiego przez gabinet naszego przyjaciela Ignacego Paderewskiego uzyskaliśmy pewność, że teraz potrafiemy stawić czoło pozostałym trudnościom.

Ta wypowiedź Dmowskiego wstrząsnęła mną do żywego, do tego stopnia bowiem była ona różna od zachowania się w tym okresie jego zwolenników w kraju, którzy w walce z Piłsudskim i rządem Moraczewskiego zdawali się jakby zapominać w jakich warunkach go zwalczają i to środkami nie przynoszącymi im chluby. Byłem wprost oszołomiony tą wypowiedzią i dałem temu wyraz w bardzo żywiołowej reakcji mówiąc że to, co w tej chwili usłyszałem jest godne naprawdę wielkiego męstwa stanu i nieskazitelnego patrioty a przez fakt, że jest tak odmiennie od tego co jego własni ludzie w tym czasie wyrabiali nakładają nań obowiązek dania temu politycznemu wyrazu. Pan Prezes powinien to wszystko napisać - zwróciłem się do Dmowskiego. To pańskie świadectwo byłoby nie tylko naturalnym zadośćuczynieniem, jakie się ze strony pańskiego obozu należy Piłsudskiemu, przyczyniłoby się ono do zdecydowania do oczyszczenia zatrutej od tych czasów atmosfery politycznej w Polsce i wytworzenia warunków do powstania nowego klimatu, w którym mogłoby dojść do współdziałania wszystkich żywych sił politycznych, jakiego nowonarodzone państwo stanowczo potrzebuje.

Nie umiem powiedzieć co, możliwe, że zbyt gorąca temperatura mojego wystąpienia, wywołało dość nieoczekiwaną i mrozącą reakcję Dmowskiego. Nie zarcałował na mój apel i przeszedł do innego tematu ...

W tej części rozmowy uderzyły mnie dwie zwłaszcza zapowiedzi Dmowskiego dotyczące przyszłości. Przewidywał on dość szybką stopniowo regenerację wpływów Niemiec, które na pewno nie pogodzą się z postanowieniami traktatu wersalskiego, a zwłaszcza z utratą tych ziem, które mieli oddać Polsce. Obliczał, że wojna z Niemcami czeka Polskę najprawdopodobniej za jakieś 15 maksimum 20 lat. W tym punkcie było to rzeczywiście przewidywanie prorocze.

Równocześnie dał on wyraz przekonaniu, że Niemcy staną się kolebką wielkiego ruchu antysemitckiego, który przekroczy ich granice i przybierze charakter międzynarodowy i że będzie to ruch o takim zasięgu, iż na pewno my Polacy odczujemy jego wpływ. I ta przepowiednia miała się sprawdzić, niestety w najbardziej makabrycznych rozmiarach.

Na zakończenie podniósł Dmowski kwestie możliwych kierunków ewolucji politycznej w Polsce. Licząc się z przyznaniem nam Górnośląska według linii Korfanteo, a więc z całością obwodu przemysłowego, oraz z koniecznością wkroczenia na drogę intensywniejszego uprzemysłowienia kraju wobec zamknięcia możliwości emigracyjnych przez ustawodawstwo amerykańskie, przewidywał dużą rolę dla zjednoczonego Narodowego Ruchu Robotniczego. Gratulując mi dokonanego w zeszłym roku połączenia zapytał jak gra ono w wewnętrznych stosunkach między przedstawicielami dawnej szkoły konspiracyjnej z byłego zaboru rosyjskiego a urodzonymi legalistami z emigracji westfalsko-nadreńskiej. Udzieliłem mu informacji, że ten proces odbywa się na ogół dość dobrze i ważnym w tej dziedzinie będzie organizowany we wrześniu br. II Kongres partyjny, który ma uchwalić program. Powiedziałem mu, że projekt takiego programu jest już opracowany i liczę się z tym, że mnie prawdopodobnie przypadnie rola ostatecznego redaktora tego tekstu. Spotkałem się w tym punkcie ze słowami gratulacji i dość zaskakującą mnie aluzją, iż nie jest wykluczone że w dalszej pracy nad skodyfikowaniem ostatecznym narodowego programu robotniczego w Polsce możemy się jeszcze spotkać przy wspólnym warsztacie. Wyglądało to trochę na chęć skokietowania mnie i nie brakiem tej zapowiedzi poważnie.

Dla ścisłości muszę dodać, iż Dmowski wyraził równocześnie przekonanie, że w kierownictwie NPR moje tendencje, jeżeli zechcę je planowo i konsekwentnie organizować, napotkają na duże opory i trudności ze strony starej ekipy kierującej dawnego NZR, która jego zdaniem ma niewątpliwie powiązania masonskie. Na wyrażone mocno przeze mnie wątpliwości co do tego, powiedział mi, iż obserwował przez kilka posiedzeń Rady Obrony Państwa, zachowanie się naszego przedstawiciela posła Chądzyńskiego i doszedł do przekonania, iż on jest bardzo ściśle z masonerią związany. Uśmiechnąłem się na to powiedzenie. Znałem bowiem już wówczas na tyle dobrze Chądzyńskiego, iż byłem najmocniej przekonany, że na pewno nie należy on do masonerii, po prostu przez rzadko spotykaną u tego typu działaczy taktykę ostrożności unikającej panicznie wszystkiego co by go krępowało w jego działalności i zaciążyć mogło na jego karierze politycznej. Dmowski podkreślił z naciskiem, iż co do masonstwa Chądzyńskiego na pewno się nie myli. W dwa lata później mogłem sam na sobie doświadczyć jakich elementach budują wódzowie demokracji narodowej i ich gorliwi wyznawcy przekonanie o rzekomych powiązaniach polityków polskich z międzynarodowym wolnomularstwem. Zwierając się przede mną ze swym podejrzeniem co do Chądzyńskiego, na pewno Dmowski traktował mnie jako człowieka godnego w tej dziedzinie zaufania, a więc jak najbardziej odległego od możliwych powiązań z masonerią. Dokładnie w dwa lata później, gdy w maju 1923 r. obalono pozaparlamentarny rząd gen. Sikorskiego i demokracja narodowa po raz pierwszy weszła bezpośrednio do rządu poprzez porozumienie z PSL Piast popadłem w ostrą walkę z tą kombinacją. Uważałem ją w ówczesnej sytuacji za co najmniej przedwczesną, a jak się później okazało politycznie dla jej przywódcy, premiera Wincentego Witosa bardzo niebezpieczną i w rezultacie szkodliwą. W atmosferze politycznej jaka wytworzyła się po zabójstwie prezydenta Narutowicza wydawało mi się współdziałanie polityczne "Piasta" ze skrajną prawicą, ogólnie uważaną za moralnie odpowiedzialną za ten mord, było by zarówno nieprawdopodobnym, jak i moralnie i politycznie szkodliwym. Rząd gen. Sikorskiego zdołał w krótkim stosunkowo czasie bez przelewu krwi spacyfikować wewnętrzne stosunki i co więcej nawet zapoczątkować owoce dzieła naprawy finansowo-gospodarczych stosunków państwa. I właśnie w najmniej odpowiednim momencie dochodzi

do skutku porozumienie "Piasta" ze Związkiem Ludowo-Narodowym i chrześcijańską demokracją, wynikiem czego jest odnowienie przez nową większość sejmową Sikorskiemu prowizorium budżetowego, w którym nawiasem mówiąc między innymi mieściły się wydatki na pokrycie kosztów wizyty marszałka Francji Focha, i w końcu maja 1923 r. powstał większościowy gabinet Witosy.

Było dla mnie rzeczą zrozumiałą, że Związkowi Ludowo-Ludowemu zależało na szybkim przerwaniu pewnego rodzaju odosobnienia w jakim się znalazł w Sejmie ale i w społeczeństwie ale nie widziałem w tym żadnego interesu dla stronnictwa Witosy zwłaszcza po tej wielkiej roli jaką odegrał on przed trzema laty stając na czele rządu Jedności Narodowej w chwili zagrożenia Polski przez Armię Czerwoną. I z tych też względów zdeklarowałem się w klubie NPR jako zdecydowany przeciwnik tej kombinacji, za którą opowiadał się przewodniczący klubu Wachowiak i popierająca go większość posłów poznańsko-śląskich. Mimo, iż w klubie należałem do mniejszości miałem dość mocną pozycję, gdyż parę miesięcy przedtem po dość nieoczekiwanym ustąpieniu z prezesury stronnictwa byłego ministra Jan-kowskiego, zostałem - i to wbrew Wachowiakowi i jego zwolennikom - prezesem NPR. Przyjąłem ten wybór z wyraźnym postanowieniem, iż doprowadzę do zwołania przewidzianego statutem organizacyjnym ogólnopolskiego kongresu, którego prawidłowy termin odbycia został już przekroczony a w nowych władzach partyjnych nie zgodzą się na przyjęcie przewodnictwa nie chcąc pogłębiać antagonizmu między mną a prezesem klubu parlamentarnego rozporządzającego w nim zdecydowaną większością. Ten plan w całości przeprowadziłem. Trzeci kongres partii odbył się w przeciągu paru miesięcy i po załatwieniu normalnych spraw organizacyjnych powziął na mój wniosek jednomyślną uchwałę formułującą wytyczne polityki NPR w sprawach mniejszości narodowych, który to problem po zabójstwie Narutowicza nabrał w wewnętrznej polityce Polski wyjątkowego znaczenia. Zgodnie ze swym postanowieniem uchyliłem się od kandydowania na stanowisko centralnej organizacji partyjnej popierając wybór Chądzyńskiego, który był już w swoim czasie prezesem, a ostatnio został "zdegradowany" przez zwolenników Wachowiaka ze stanowiska przewodniczącego klubu parlamentarnego na zastępcę. Mimo mojej rezygnacji dość znaczna liczba członków Rady Naczelnej złożona głównie z przedstawicieli Pomorza i Łodzi oraz co najmniej połowy Poznańskiego, próbowała w pierwszych głosowaniach przeprowadzić moją kandydaturę. Ostatecznie jednak na skutek stanowczej mojej interwencji udało się przeprowadzić wybór Chądzyńskiego. Było to już po powstaniu rządu Witosy i prasa narodowo-demokratyczna w tym przebiegu wyboru prezesy NPR znalazła potwierdzenie swych nadziei, iż biorą u nas tendencje na rzecz współdziałania z nowym rządem na nawet wejście w jego skład. Znalazło to swój wyraz w taki ujęciu przebiegu naszego kongresu, iż "prezesem partii w miejsce masona Popieła został narodowiec Chądzyński"... Tak to w maju 1921 roku Chądzyński był na ustach największej wyroczni obozu narodowego niewątpliwym masonem, a zaledwie w dwa lata później zasłużył na zaszczytne miano narodowca.

Zatrzymałem się dłużej nad tym incydentem dla zobrazowania do jakiego stopnia wielki obóz polityczny, kierowany przez ludzi o wybitnej inteligencji, dotknięty był jakimś chorobliwym urazem poszukiwania głównego źródła naszych nieszczęść i klęsk politycznych w działaniach masonerii, o której mówiono i pisano nieprawdopodobnie wręcz historie. Dla ilustracji - do jakiego stopnia powszechna była w tych kołach ta mania - świadczyć może dodatkowo jeszcze bardziej kapitalny fakt, jaki opowiadał Ludwik Łuczycycki. Było to w początkach 1920 roku, kiedy w sejmie toczyła się ostra

walka z polityczno-wojennymi koncepcjami Piłsudskiego, którego głównym przeciwnikiem był faktyczny przywódca demokracji narodowej, prof. Stanisław Grabski. Spotkawszy się przypadkowo na ul. Wiejskiej nawiązali ze sobą rozmowę na aktualny temat i wówczas to Grabski z całą siłą przekonania zaczął tłumaczyć Kulczyckiemu, iż to nie Piłsudski właściwie jest najgorszy, nie jemu chodzą po głowie te fantastyczne koncepcje wyzwolenia Ukraińców i wojny z tego powodu z Rosją. Całe nieszczęście tkwi w tym, że w loży masonskiej, której Piłsudski jest członkiem - mówił Grabski - i której polecenia musi wykonywać, Thugutt /faktyczny przywódca "Wyzwolenia"/ jest wtajemniczonym wyższego stopnia i on to decyduje o polityce masonskiej w tej dziedzinie. Jest rzeczą niezrozumiałą i wprost rozbrajającą, jak osobistość polityczna tej miary, jak Grabski mógł wierzyć w podobne bajki i na serio przypuszczać, że Piłsudski z całą swoją władcą naturą zdolny był wykonywać rozkazy kogokolwiek i działać wbrew swojemu osobistemu przekonaniu. Bakcyl antymasonski z góry stronnictwa przeszedł jego szeregi, udzielił się zwłaszcza młodemu i był punktem orientacyjnym, według którego oceniali całe obozy i ludzi nie podzielających ich poglądów.

Mimo dość w rezultacie nieprzyjemnego incydentu, z moim apelem do Dmowskiego, aby w swej pracy historyczno-politycznej, którą właśnie pisał, dał wyraz wypowiedzianym opiniom o roli Piłsudskiego na przełomie 1918/19 roku oraz wyraźnej dysharmonii z powodu rzekomego udziału Chadzyńskiego w masonerii, rozstanie nasze było raczej serdeczne i przy pożegnaniu wyraził Dmowski przekonanie, iż nie jest to na pewno ostatnie nasze spotkanie. Potraktowałem to raczej za zdawkowy frazes, nie spodziewając się, aby mógł mieć miejsce jakiś dalszy ciąg nawiązanego kontaktu. Tymczasem już po upływie niecałych 5 miesięcy okazało się że się myliłem. Pod koniec września otrzymałem dość nieoczekiwany telefon z Warszawy, iż Dmowski pragnie się ze mną zobaczyć i naznacza mi spotkanie w mieszkaniu swoich przyjaciół państwa Niklewiczów przy ul. Marszałkowskiej, u których stałem się podczas pobytu w Warszawie zatrzymywał. Zrozumiałem, że rozmowa może dotyczyć przesilenia rządowego, jakie nieoczekiwanie wybuchło przez dymisję gabinetu Witos'a, z którego w ostatnich miesiącach po kolei ustępowali przedstawiciele poszczególnych stronnictw. Pierwszy opuścił go Stanisław Grabski, reprezentujący w nim formalnie Związek Ludowo-Narodowy, z którego polityką na ogół się zresztą mało zgadzał i z którym wkrótce zerwał wszelkie więzy organizacyjne. Potem odszedł z rządu przedstawiciel "Wyzwolenia", minister rolnictwa Julian Poniatowski, najwierniejszy w tym składzie rzecznik poglądów Piłsudskiego. Nad oboma tymi dymisjami Witos przeszedł do porządku, ale kiedy pod naciskiem propiłsudczykowskiego skrzydła wreszcie Rada Naczelna PPS uchwaliła odwołanie z rządu Ignacego Daszyńskiego, który piastował w nim stanowisko wicepremiera, czyli jak się w ówczesnej urzędowej nomenklaturze mówiło wiceprezydenta ministrów, Witos uznał, że rola jego rządu się skończyła. Było rzeczą oczywistą, że w istniejących wówczas w sejmie stosunkach powołanie rządu opartego o jakąś określoną większość parlamentarną było wykluczone. Lewica, szczególnie zaś "Wyzwolenie", nie mogła strawić Wincentego Witos'a, którego przewodnictwo w rządzie socjaliści w swej większości z małymi wyjątkami zносили po prostu z zaciśniętymi zębami, a "wyzwoleńcy" i solidaryzujący się z nimi klub niedobitków starego antagonyisty Witos'a - Stapińskiego wprost z trudem ukrywano nienawiścią. Pozostawała więc tylko koncepcja gabinetu pozaparlamentarnej przeniesiona żywcem z niechlubnych praktyk austriackiego parlamentu. Cała trudność pole-

gąka na znalezieniu kandydata na premiera odpowiednio "strawnego" dla większości sejmu, która zgodziłaby się go jakiś czas tolerować. Nie omyliłem się w tych przypuszczeniach, gdyż Dmowski z miejsca dotknął samej istoty rzeczy. Sejm - mówił - poszukuje w tej chwili premiera. Wymienia się różne nazwiska m.in. szefa sztabu generalnego, generała Sikorskiego, co wywołuje się mu mocno podejrzane i w tym miejscu dał do myślenia, że najprawdopodobniej ta kombinacja kryje się jakieś manewry masonskie. Ale Sikorski zdaje się nie przejść. Piłsudski nie chce się go pozbywać z wojska, gdzie prowadzi niezłą robotę. W tej sytuacji ciągnął dalej Dmowski - obóz uważa, iż będąc najsilniejszym klubem w Sejmie a także z uwagi na rolę jaką odegrał w ostatnich latach na arenie dyplomatycznej ma prawo domagać się premierostwa dla siebie. Wówczas Dmowski przedstawił własnego człowieka, a mianowicie na pewno niezawodnie niepartijnego, żwanego, dobrego administratora, który jest swobodny i jawny, nie przynależny do żadnego z wieloministerstw w ministerstwie wewnętrznym, w departamencie pruskim. Chodzi o kandydaturę inż. Władysława Kucharskiego, które to nazwisko, na pewno Panu - mówił Dmowski - nie jest obecne i dlatego apeluje o pańską pomoc, gdyż poparcie pańskiego klubu może się okazać decydujące. Propozycja Dmowskiego w najwyższym stopniu mnie zaskoczyła i zmroziła. Nie umiem do dziś dnia powiedzieć, czy było to słusznie czy nie słusznie, dość, że w kręgach NRP byłej dzielnicy pruskiej Kucharski był ze wszystkich ludzi odpowiedzialnych za politykę ministerstwa najbardziej niepopularny. Pochodziło to zdaje się z rodzaju zarządzeń jego resortu - kierował m.in. resortem aprowizacji i z tego, że w zespole 6 czy 8 wiceministrów on jedyńy małopolanin wyróżniał się energią i inicjatywą nie zawsze przez spokojnych i trzeźwych Wielkopolan należycie oceniana. Było to już zresztą po dramatycznej uchwale sejmu, kiedy na wniosek nowo wybranego z Pomorza w wyborach majowych z 20-tego roku posła Stanisława Wachowiaka Sejm jednogłośnie uchwalił votum nieufności ministrowi b. dzielnicy pruskiej Władysławowi Seydzie. Wybitny ten polityk, zasłużony prezes Koła Polskiego w parlamencie Rzeszy, a później prezes Sądu Najwyższego, na którym to stanowisku wyróżnił się nieugiętą obroną niezawisłości sądownictwa, padł raczej ofiarą ogólnej niechęci właśnie do Kucharskiego jako "szarej eminencji" jego ministerstwa. Fakt, że nawet silny Związek Ludowo-Narodowy nie miał odwagi stanąć w obronie Seydy dowodził do jakiego stopnia cień Kucharskiego ciążył nad sytuacją.

Przywołując w pamięci te wszystkie okoliczności nie byłem w stanie zrozumieć, iż Dmowski z tego wszystkiego nie zdaje sobie sprawy, mimo tego, że przecież mieszka stale w Poznańskim i bierze żywy udział w życiu politycznym, czego dowodził chociażby obecność jego rola w poszukiwaniu rozwiązania przesilenia w Zuprawdzwa przykreścią odpowiedziałem z miejsca Dmowskiemu, iż prośby jego spełnić nie mogę, z wszelkich bowiem możliwych kandydatów, które klub NRP mógłby ewentualnie poprzeć, kandydatura Kucharskiego jest niemożliwie ta, co do której wszyscy w partii będą zgodni, by się jej przeciwstawić. Na zapytanie Dmowskiego wyjaśniłem pokrótce jakie są przyczyny tego stanowiska i właściwie na tym się rozmowa nasza skończyła. Kandydatura Kucharskiego oczywiście upadła. Okazało się później za ledwie w kilka lat, iż zaufanie jakie Dmowski ulokował w osobie tego polityka było dość niefortunne. Po przewrocie majowym Kucharski, który w międzyczasie rozporządzając dość dużym majątkiem przejął na własność stary organ demokratyczno-narodowy we Lwowie "Słowo Polskie", nie miał skrupułów aby piśmo to zasłużone w historii jego ruchu, oddać w ręce nowych adeptów piłsudczyzny wywodzących się wprawdzie z grupy dawnego Zetu /tzw. Zespół Stu/, którzy pod

redakcja Mejsbaum w parę lat zasłużony ten dziennik doprowadzili do kompletnej likwidacji ...

Niepowodzenie z poparciem kandydatury Kucharskiego ostatecznie zdaje się popsuło moje stosunki z Dmowskim i odtąd już nie miałem z nim żadnych kontaktów.

Z chwilą, gdy państwo wkroczyło po ustaleniu swych granic na tory pokojowego rozwoju, co wyraziło się wejściem w życie konstytucji 1921 roku i zakończeniem kadencji suwerennego Sejmu, niewłaściwie nazwanego ustawodawczym zamiast konstytucyjnym, Dmowski zachował się na zewnątrz tak jakby się przestał interesować życiem politycznym. Nie zgodził się na wysunięcie swojej kandydatury ani do pierwszego zwyczajnego Sejmu, ani do Senatu w 1922 r. Dopiero rok później, gdy pierwsza próba wzięcia jawnej współodpowiedzialności za rządy większości parlamentarnej pod przewodnictwem Witos, ujawniła rzucającą się w oczy niemoc wobec poważnych problemów zwłaszcza natury gospodarczej i społecznej, zdecydował się udzielić poparcia temu rządowi podczas przeprowadzonej w początkach października 1923 roku rekonstrukcji i objął tę funkcję ministra spraw zagranicznych, do której kwalifikował się w pełni, zdaniem wszystkich czynników politycznych, nie wyłączając w zasadzie niechętniej mu lewicy. Niestety, impreza ta trwała niecałe 10 tygodni, gdyż drugi rząd Witos upadł w porowie grudnia tego roku na skutek drugiej z kolci secesji, jaka się dokonała w klubie parlamentarnym PSL "Piast" na skutek rozłamu zorganizowanego przez cieszącego się niezbyt dobrą opinią posła inż. Jana Bryla. Dla charakterystyki tego rozłamu wystarczy tu zanotować że pozornie źródłem konfliktu była różnica w sprawie diskutowanego wówczas w komisji sejmowej projektu o wykonaniu reformy rolnej, a w gruncie rzeczy chodziło o to, że ambitny Bryl chociaż za wszelką cenę zostać ministrem robót publicznych, tymczasem Witos poinformowany przez sojuszników narodowo-demokratycznych o wyroku sądu obywatelskiego dyskwalifikującego go, odmówił spełnienia tego zadania.

Przewrót majowy stworzył nową sytuację w wewnętrznej polityce Polski, w której Dmowski uznał, iż nadszedł czas położenia kresu pewnego rodzaju bałamuctwom demokratyczno-liberalnym, jakie uprawiało jego stronnictwo na gruncie polityki państwowej pod dynamicznym przewodnictwem Stanisława Grabskiego, a formalnym przewodnictwem w Sejmie starego parlamentarzysty austriackiego i galicyjskiego, profesora Uniwersytetu Lwowskiego, Stanisława Głabińskiego. Objęcie faktyczne rządu w Polsce przez Józefa Piłsudskiego uznał Dmowski za pożyteczne tworzące się polskiego ustroju parlamentarnego. Zostawiając więc swoim przyjaciółom w parlamencie teren, który uważał za stracony, zajął się stworzeniem nowego oparcia dla polityki narodowej. Miała to być organizacja typu autorytatywnego obliczona na to, by sprostać ciężkim zadaniom, jakie stanęły przed państwem w chwili, kiedy na skutek chwiejnej, jak przypuszczał polityki Piłsudskiego zagrozi Polsce przewrót komunistyczny. Organizacji tej nadał Dmowski nazwę Obóz Wielkiej Polski. Miała być ona oparta na pewnego rodzaju elitarniej rekrutacji i istnieniu organów kierujących nie w drodze wyborów, ale w drodze nominacji przez kierownika, którym był on sam przyjmując nazwę Wielkiego Obozu. W planie założyciela było oparcie się jeżeli chodzi o materiał ludzki, z którego OWP miało czerpać swoich oboźnych i różnego stopnia kierowników o kadry zespołu tych stronnictw, które utworzyły trzeci rząd większości parlamentarnej Witos, a więc nie tylko obu grup, prawicy i chrześcijańskiej demokracji, ale także "Piasta" i NPR. Z naszego środowiska upatrzył sobie Dmowski na ewentualnego współpracownika we władzach OWP byłego prezesa partii i byłego ministra inż. Jankowskiego, który zresztą w pierwszych latach swego życia politycznego przed oderwaniem się Narodowego Związku Robotniczego

od Ligi Narodowej, był jej członkiem. W tym celu odbył on rozmowę z przewodniczącym partii Chądzyńskim, któremu przedstawił zarys programu stworzonej przez siebie organizacji i swój zamiar powołania do współpracy Jankowskiego. Dyskutowaliśmy wówczas w Głównym Komitecie Wykonawczym Partii te propozycje i na mój wniosek, przy poparciu działaczy związanych z ruchem zawodowym, postanowiliśmy odpowiedzieć odmownie na propozycję Dmowskiego. Należy dodać, że sam Jankowski również ustosunkował się krytycznie do tej inicjatywy.

Nadzieje obudzone w kręgach przeciwników przewrotu majowego co do pozycji jaką byłby w stanie zająć w społeczeństwie tworzony przez Dmowskiego obóz, rychło zawiodły. Dobór różnych terenowych "oboźnych" wyglądał początkowo dość pociągająco ale wkrótce okazało się, że właściwie nie prowadzili oni żadnej konkretnej roboty organizacyjnej w terenie. Cała działalność OWP w pierwszym roku jego istnienia ograniczała się poza zjazdem założycielskim, do wydania kilku broszur, mających spopularyzować wobec społeczeństwa nową ideologię nowej formacji, wśród której bodaj tylko jedyna broszura Dmowskiego na temat "Kościół, Państwo i Naród" wzbudziła żywsze zainteresowanie i stała się przedmiotem ożywionych dyskusji. Znacznie późniejsze, już grubo po wojnie relacje jednego z ówczesnych adeptów Dmowskiego rzuciły dość charakterystyczne światło na motyw wydaną tę broszurę, co do czego jednak ze względu na osobę autora muszę mieć wątpliwości.

Przebieg istnienia do tzw. starszego społeczeństwa Obóz spotkał się z wyjątkowym powodzeniem wśród młodzieży wyższych uczelni. Tu się jednak znowu okazało, iż Dmowski ze swoją antyliberalną i antidemokratyczną filozofią polityczną wbrew swoim zamierzeniom wyzwolił siły, z których czasem mieli skorzystać zdecydowani przeciwnicy i wrogowie ruchu narodowego. Frazeologia nacjonalistyczno-totalistyczna miała wśród młodzieży uległej wpływom Dmowskiego duże powodzenie. Trwało to kilka lat. Momentem krytycznym był koniec 1932 roku, kiedy rozrost ruchu zmusił władze sanacyjne do zawieszenia działalności OWP. Wówczas to okazało się, że z politycznej szkoły wychowawczej młodzieży, stworzonej przez Dmowskiego wykluczyły się cztery ugrupowania młodzieży, które mimo wspólnego pochodzenia cechowała żarliwa walka. Najpierw odpadli od macierzystego pnia czołowi przywódcy: Zdzitowiecki, Piestrzyński Stahl, Drobik, Dembiński i inni, którzy tworząc początkowo Związek Młodych Narodowców wkrótce wpadli na pomysł szukania jakiejś syntezy między ruchem narodowym a pilsudczyzną i utworzyli tzw. obóz narodowo-państwowy, który z czasem całkowicie rozpułnął się w formacji sanacyjnej. Najbardziej dynamiczna grupa działaczy powołała do życia Obóz Narodowo-Radykalny, w którym niedługo doszło do rozłamu na dwie grupy: ortodoksyjną, zgrupowaną przy piśmie "Szaniec", która z czasem objęła warszawski dziennik "ABC" i zdecydowanie totalistyczna "Falanga" Bolesława Piaseckiego. Przy macierzystym ruchu zostały mocno przedzielone szeregi sekcji młodych macierzystego stronnictwa, wśród przywódców których wysunęli się dwaj działacze o bardzo różnym podejściu do zagadnień ideowo-politycznych: z jednej strony Tadeusz Bielicki, z drugiej Jędrzej Giertych.

Niepowodzenia imprezy autorytatywno-totalistycznej Dmowskiego dopiękniły losy głównych jego współpracowników z kierownictwa OWP - jego adiutant, inż. Tadeusz Kobyłański, dawny mój kolega z organizacji "Zarzewie", który na założycielskim zjeździe Obozu w Poznaniu, w grudniu 1926 r. odczytywał proklamację założycielską organizacji, w 12 lat później przyjął z rąk prezydenta Mościckiego nominację do sanacyjnego senatu. Razem z nim wśród nominatów senackich których rząd Składowo-Składkowskiego uznał za godnych zasiadania w elitarnym Senacie, znalazł się także wojewódzki "oboźny" Bniński,

którego ewolucja polityczna była niemierniej zygzakowata i zaskakująca. W 1926 r. ten wojewoda poznański /zresztą doskonale administrator/ był kandydatem stronnictw dawnego bloku centrowo-prawicowego /tzw. ósemka/ na prezydenta Rzeczypospolitej. Później oddalił się znacząco od Obozu Narodowego i w kilka lat po przewrocie majowym, kiedy doszła do skutku przegrupowanie rozmaitych niedobitków konserwatywnych w zjednoczone stronnictwo zachowawcze pod nazwą Stronnictwa Prawicy Narodowej, został nawet jego prezesem, co mu torowało właśnie drogę do nominacji na senatora. I w tej dziedzinie więc spuścizna jaką zostawił Dmowski, zasiliła eboz jego zdecydowanych przeciwników.

Niepowodzenie z Obozem Wielkiej Polski zmusiło Dmowskiego do skoncentrowania akcji politycznej na dawnym swoim stronnictwie. W międzyczasie spowodował przyjęcie przez niego nowej nazwy, która tym różniła się od dwóch poprzednich, iż likwidowała wszelką wzmiankę o demokratyczności względnie ludowości stronnictwa. Odtąd nazywano się ono stronnictwem narodowym bez żadnych przymiotników. Rychło w tym odrodzonym pod wpływem Dmowskiego stronnictwie stara ekipa przywódców i działaczy zostaje odsunięta na tor boczny lub wręcz jak Stanisław Grabski postawiona poza ramami organizacyjnymi. Tolerowany jest jeszcze przez jakiś czas na stanowiskach honorowych sędziwy profesor Głabiński lub były senator Joachim Bartoszewicz, który z czasem również podzielił ten los, ustępując przesady stronnictwa najpierw młodemu adwokatowi Kowalskiemu, a następnie Tadeuszowi Bieleckiemu. Dmowski zdecydowanie w tym okresie stawia na młodych w ruchu narodowym. Swój pogląd w tej dziedzinie dał wyraz w długiej rozmowie u księdzem prałatem Kaczyńskim podczas marszu na Powązki za trumną ś.p. Marylskiego mówiąc: "zobaczy ksiądz prałat, gdy będą tworzył rząd to poza mną żaden z ministrów nie przekroczy lat trzydziestu"...

Dmowski był w tym czasie do tego stopnia przekonany, że wkrótce wpadnie w jego ręce, że kiedy w końcu 1931 roku powstała pierwsza po Brześciu próba stworzenia frontu zjednoczonej opozycji i z ramienia wstępnej konferencji przedstawicieli PPS, Stronnictwa Ludowego i NPR wydelegowany przez nią Wincenty Witos i Jan Stanisław Jankowski odbyli z nim rozmowę dla uzyskania współpracy ze Stronnictwem Narodowym, szorstko odrzucił przedstawioną mu propozycję uważając, iż jest ona anachronistyczna i zupełnie nie prowadzi do celu. Poprzednio jeszcze w związku z tą samą inicjatywą powiedział Wojciechowi Korfantemu, iż sanacja pracuje dla niego, a w nowej kombinacji międzypartyjnej na pewno wysunąłby się Witos, do którego stracił on zaufanie na skutek roli, jaką odegrał w czasie przewrotu majowego / ? /. Z tym większą siłą przekonania nastawiał odtąd podległy mu aparat organizacyjny i propagandowy stronnictwa w kierunku totalistycznego nacjonalizmu.

I te nadzieje Dmowskiego nie miały się spełnić, co więcej, okazało się, że nawet wobec wyraźnej wymowy faktów, które narzucały konieczność rewizji jego poglądów trwał on przy swoich koncepcjach czego jaskrawym przykładem jest epizod, na którym nieco dłużej muszę się zatrzymać ze względu na towarzyszące mu znamienne elementy. Objęcie władzy w Rzeszy przez Hitlera powitał obóz narodowy jako przesunięcie, które będzie miało decydujący wpływ na rozwój wewnętrznych stosunków niemieckich, ale nie przyniesie przynajmniej w najbliższym czasie jakichś niepokojących przejawów w polityce zagranicznej. Ta ocena sytuacji pochodziła niewątpliwie od Dmowskiego i jej najgorliwszym interpretatorem w prasie partyjnej był jego długoletni i bardzo oddany były poseł i były senator a przez jakiś czas /1925/26/ poseł Rzeczypospolitej w Kwirynale Stanisław Kozicki. Trzeba tu zaznaczyć, że od inspirowanego w ten sposób sta-

nowiska różniły się wydawnictwa poznańskie z "Kurierem Poznańskim" na czele redagowanym przez Mariana Seyda, które w dojsiu Hitlera do władzy różniły się ze swoim długoletnim uswuleniem na niemieckie pieczę- stwo. Właściciel widział niepokojącą zapowiedź dla Polski. Ponadto i jak zawsze samodzielna pozycja, nie będąc właściwie związanym ze Stronnictwem Narodowym, za sprawą wpływu "Kuriera Warszawskiego", gdzie redaktorem działu politycznego był były senator narodowy Bolesław Koskowski. Po jego śmierci w początkach 1938 roku stanowisko to objął prof. Stanisław Stroński od młodych lat ściśle związany z obozem narodowym, chociaż okresami, razem ze swoją grupą, do której m.in. należeli prof. Edward Dabanowicz, Stanisław Kasznica, Stefan Dąbrowski chodzący własnymi drogami m.in. w Sejmie w latach 1922-27. jako Klub chrześcijańsko-narodowy. Po zlikwidowaniu własnego organu "Warszawianka", grupa ta ziskała się ostatecznie ze Stronnictwem Narodowym. W związku z rolą jaką Stroński odgrywał w "Kurierze", dziennik ten był uważany powszechnie za trybunę tzw. grupy profesorskiej Stronnictwa Narodowego coraz bardziej w ostatnich latach przed wybuchem wojny oddalał się od oficjalnych nurtów polityki stronnictwa narodowego. Nazwa ta o tyle nie była ścisła, że do grupy tej poza wyjątkowymi /z wyjątkiem może prof. Kasznica, który po śmierci Piłsudskiego bezczajnie zbliżył się do sanacji/ należe- li znani adwokaci: Stanisław Saurlej i były wiceprezydent miasta Warszawy, Maciej Borzucki, były konsul generalny Rzeczypospolitej w Berlinie, a następnie sekretarz generalny Stronnictwa Narodowego, Stanisław Bieliński, spośród duchownictwa był poseł i prokurator parafii Żbawiciela, ksiądz Karol Nowakowski i inni.

Osiadłszy na stałe w Warszawie Dmowski zorganizował u siebie stałe konferencje tygodniowe dla kibicowania za kulisami zarówno prasie ściśle związanej ze stronnictwem jak "Gazeta Warszawska", a po jej zlikwidowaniu przez Skłodkowskiego w związku z nekrologiem Piłsudskiego "Warszawski Biuletyn Narodowy", jak i nowopowstałe do życia przez młodych dziennikarzy narodowych z Stanisławem Strzelskim na czele "ABC", które później stało się organem umiarkowane grupy ONR oraz z inicjatywy tego środowiska prasowego powstały nowe i dość porytne popołudniówki warszawskie: "Wieczór Warszawski" i "Goniec Warszawski", jak z tego wiada ilość prasy na które Dmowski mógł oddziaływać była dość pokaźna i wpływ ich zwłaszcza w Warszawie oraz w jej najbliższym zasięgu był dość poważny. W konferencjach tych uczestniczyło oprócz niego z górną 10 dziennikarzy, brał stałe udział w latach 1936/37 Jan Matyasik /?/ były redaktor kra- kowskiego "Głosu Narodu", dziennika o starych tradycjach, założone jeszcze w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku przez wybitnego dziennikarza galicyjskiego i powieściopisarza Józefa Rogosza. "Głos Narodu" był pismem umiarkowanego antysemityzmu, w pewnym stopniu uważać go można za prekursora chrześcijańskiej demokracji. W 1930 pismo to nabył na własność przemysłowiec, przez krótki czas poseł z ramienia chrześcijańskiej demokracji, Stanisław Burban. W związku z trudnościami jakie miał on w swoim przedsiębiorstwie fabryk ceramicznych doszło do dość charakterystycznej na ówczesne stosunki transakcji, której ofiarą padł długoletni redaktor pisma Matyasik. Od przewrotu majowego prowadził on na jego koszt konsekwentną walkę z reżymem powstałym w wyniku zamachu, wskutek czego wznany został przez kierujące koła reżymu jako pewnego rodzaju wróg numer jeden w dziennikarstwie. Skorystano więc z nadarzającej się okazji i kiedy Burban dla ratowania swych przedsięwzięć zabiegał o kredyty państwowe, sfinansowane na jego koszt skwapliwosną pod warunkiem, iż pozostanie Matyasik. Transakcja doszła do skutku przy zupełnej bierności czynników chadeckich, co wpłynęło na dal-

sze zachowanie Matyasika. Otrzymawszy z wydawnictwa odpowiednią edprawę, wyjechał do Paryża, skąd powrócił dopiero po kilku latach, nie bez pewnych nacisków wywieranych przez różnych przyjaciół, głównie przez księdza prałata Zygmunta Kaczyńskiego. Po powrocie do Polski Matyasik, mimo iż miał możliwość zaczepienia się w wydawnictwie Korfantego w Katowicach "Polonia", zdecydował się zerwać wszelkie więzy z macierzystym stronnictwem, ogłosił przystąpienie do Stronnictwa Narodowego i wszedł do redakcji "Gazety Warszawskiej", w której zresztą nie kwapiono się z powierzaniem mu odpowiedniego jego randze dziennikarskiej i doświadczeniu stanowiska, jako zbyt przywiązanego do zasad liberalno-demokratycznych. Prowadził więc w dzienniku przegląd prasy i odwałł mniejsze kawałki, co mu nie przeszkodziło, iż został zaszczycony uczestnictwem w tygodniowych konferencjach Dmowskiego.

Przyjeżdżając dość często w owym czasie z Torunia do Warszawy, spotykałem się stale z Matyasikiem, z którym zaprzyjaźniłem się w ciągu blisko dwumiesięcznego pobytu latem 1932 r. w Paryżu. Dyskutowaliśmy zawsze na aktualne tematy polityczne i w zasadzie byliśmy zgodni w ocenie tego wszystkiego, co się działo w Polsce i w jej najbliższym sąsiedztwie, tj. w Trzeciej Rzeszy. Zdawało mi się w pewnym okresie, że wobec coraz większego ulegania idącym stamtąd wpływom ideologicznym, czuł się on źle w środowisku narodowym i że może by było możliwym utworzenie mu drogi do dawnej rodziny ideowej politycznej. Rachuba ta pozostawała w ścisłym związku z rozmowami rozpoczętymi między NPR a Chadecją, których przebiegiem Matyasik bardzo się interesował. Gdy w październiku 1937 roku połączenie to stało się faktem i niedługo potem w oparciu o katowicką "Polonię" zaczęliśmy w Warszawie wydawanie codziennej popołudniówki p.n. "Nowa Prawda", zaproponowaliśmy Matyasikowi objęcie kierownictwa redakcji pisma. Był tą propozycją bardzo zaskoczony, ale z miejsca jej nie odrzucił i prosił o parodniową zwłokę. W oznaczonym terminie nie odpowiedział, iż postawiliśmy go wobec bardzo ciężkiej decyzji ale ostatecznie postanowił wytrwać w powziętym przed paru laty postanowieniu i dzielić odtąd swoje losy polityczne i zawodowe ze Stronnictwem Narodowym. Nie oszczędził nam rad odnośnie planowanego charakteru nowego dziennika i doboru współpracowników i przez krótki okres, kiedy jeszcze przebywał w Warszawie po ukazaniu się "Nowej Prawdy", dzielił z nami troski i niepokoje o rozwój pisma. Wkrótce wyjechał do Lwowa, aby objąć kierownictwo nowozałożonego organu codziennego "Słowa Narodowego", gdzie go zresztą obstawiono zespołem młodych współpracowników, wiernych stróży nowej linii politycznej Stronnictwa.

Przytaczam te szczegóły dla podkreślenia ówczesnych moich stosunków z Matyasikiem, który nie wahał się ze mną, formalnym przeciwnikiem jego stronnictwa omawiać szczerze wszystkie sprawy, które mu się w nim w jego ówczesnej polityce nie podobały. Dzięki temu zwierzył mi się on w początkach 1937 roku na temat dramatycznego przebiegu dyskusji, jaką miał z Dmowskim podczas jednej z konferencji. Dmowski przedstawił wówczas zebranym swoją ocenę sytuacji międzynarodowej tak jak ona wyglądała po ostatnich posunięciach i sukcesach Hitlera. Po raz pierwszy dał do zrozumienia, iż wbrew dotychczasowym zapewnieniom, Hitler niewątpliwie przygotowuje się do walnej rozprawy z Polską i w tej chwili tylko trudno określić w jakim nastąpi ona terminie. Przypuszczalnie nastąpi to za parę i prawdopodobnie gdzieś po 1940 roku. Równocześnie ruch antysemicki kierowany przez hitleryzm będzie wzrastał, promieniując, szeroko poza granicami III Rzeszy, czego Polska nie może uniknąć, posiadając bardzo wysoki odsetek mniejszości żydowskiej. Zadaniem polityki narodowej wg Dmowskiego musi być odpowiednie wymierzenie w czasie

ważności danych zagadnień i dostosowanie do tego swojej taktyki. Wtedy to Matyasik ośmielił się wystąpić z sugestią, czy wobec doniosłości pierwszego zagadnienia, tj. niebezpieczeństwa wojny, która Polsce grozi ze strony Niemiec nie należałoby dokonać pewnego wyboru w hierarchii ważności tych zagadnień, tj. skupić się dookoła tego niebezpieczeństwa podporządkowując mu wszystkie inne sprawy łącznie z kwestią żydowską. Spotkał się z jak najbardziej energiczną reakcją Dmowskiego, który mu wypomniał jego "ciągotki" demoliberalne i potraktował go jako człowieka w pewnym stopniu zabłąkanego w obozie narodowym, bo nie rozumiejącego istotnego znaczenia i charakteru jego ideologii. Wystąpienie Dmowskiego było tego rodzaju, że Matyasik odczuł następnie pewnego rodzaju chłód i rezerwę z jaką wobec niego zaczęli odnosić się inni uczestnicy konferencji i oczywiście sam Dmowski, tak że po pewnym czasie zrezygnował z uczestnictwa w tych konferencjach.

Równoległe do stawiania na młodych adeptów ideologii narodowej szła w parze u Dmowskiego, pogłębiająca się w miarę upływu lat, niechęć do wszystkich działaczy Stronnictwa Narodowego starszego pokolenia, mimo, że większość ich była znacznie młodsza niż sam Dmowski. Tym swoim uczuciom dawał on wyraz nie tylko w stosunkach wewnętrznych partyjnych ale i wobec osób obcych o pewnym ciężarze gatunkowym, wobec których zdawałoby się, że powinno mu zależeć na tym, by nie byli oni zbyt wtajemniczeni w wewnętrzne sprawy i tajemnice stronnictwa. Mam w tej chwili na myśli gen. Władysława Sikorskiego, z którym Dmowski mimo początkowych podejrzeń - zresztą całkowicie nieuzasadnionych - o rzekomych powiązaniach z masonerią, podtrzymywał po przewrocie majowym dość zażyłe stosunki. Wyrażały się one w periodycznych obiadach, na jakie obaj panowie się zapraszali, zwłaszcza po każdorazowym powrocie Sikorskiego z dłuższego pobytu we Francji. Zapamiętałem z relacji Sikorskiego o tych spotkaniach jego wzrastające zdziwienie, iż ilekolwiek razy usiłował on wyrazić Dmowskiemu jako niewątpliwemu wodzowi obozu narodowego uznanie lub podziw z powodu jakiegoś faktu, tyle razy został zgaszony przez niego bardzo ujemną opinią. Zaczęło się od Strońskiego, którego Dmowski po prostu organicznie nie znosił. Wydawało się to początkowo zrozumiałe ze względu na wzajemnie wyżej fakt, iż Stroński ze swoją grupą znajdował się często w jawnym rozbracie ze Stronnictwem Narodowym, i tak Sikorski początkowo sobie tę niechęć tłumaczył. Zdarzyło się jednak w 1928 roku, gdy prezesem Klubu Narodowego w Sejmie został nowowybrany poseł profesor Roman Rybarski, którego linia przynależności i prawdomówności partyjnej była bez zarzutu, że i on nie posiadał uznania u wodza. Gdy bowiem po pierwszym jego przemówieniu w Sejmie, Sikorski w rozmowie z Dmowskim znalazł jakieś słowa uznania dla Rybarskiego, Dmowski obruszył się mówiąc: "A więc i Pan Generał zachwyca się tym durnym profesorkiem". Trzeba tu nadmienić, że Rybarski był poważnym profesorem ekonomii na Uniwersytecie Warszawskim, dobrym mówcą i autorem nieskazitelnej z punktu widzenia ortodoksji ideologicznej obozu narodowego, książki pt: "Naród, jednostka, klasa" bardzo cenionej w kołach młodzieży narodowej.

Przed ostrymi sędziami Dmowskiego nie uchronił się także sędziwy weteran polskiego parlamentaryzmu, pierwszy marszałek obu ciał ustawodawczych ódroczonej Rzeczypospolitej, Wojciech Trąbczyński. Po przewrocie majowym dawał on rzadki przykład pojmowania obowiązku obywatelskiego i odwagi cywilnej, sprawując podczas dwu kadencji sejmowych /1928-1935/ rolę zwykłego posła. Pojmował ją jako pełnienie służby rzecznika praworządności, o którą tylko jeszcze z trybuny sejmowej w owym czasie można było walczyć. Toteż Trąb-

czyński korzystał z każdej okazji aby tę trybunę należycie wykorzystać. Po jednym z takich przemówień, wyjątkowo odważnych, Sikorski uważał za wskazane złożyć na ręce Dmowskiego szczególne gratulacje pod adresem seniora jego Stronnictwa. W odpowiedzi spotkał się z takim wylwem kpin i dowcipów, iż postanowił odtąd wstrzymać się od jakiegokolwiek aluzji, które dotyczyłyby działaczy i członków stronnictwa Dmowskiego. Pragnę tu jeszcze dodać, że dyskutując kiedyś z Sikorskim na temat tych dziwnych manier Dmowskiego wpadliśmy na przypuszczenie, iż nie jest wykluczone, iż odnosi się on w ten sposób do narodowców pochodzących z innych dzielnic, którzy nie podlegali bezpośredniemu jego wpływom w okresie przed odzyskaniem niepodległości jak Stroński i Rybarski, którzy byli Małopolanami i poznali Trąbceżyński. Przypuszczenie to jednak okazało się mylne, kiedy podczas jakiejś rozmowy Sikorski znalazł słowa uznania dla talentów organizacyjnych nowego sekretarza generalnego stronnictwa, byłego konsula generalnego RP w Berlinie, który musiał opuścić to stanowisko po przewrocie majowym, Stanisława Zielińskiego. Okazuje się, że i ten Kijowianin, adwokat i dziennikarz, stary członek Ligi Narodowej nie zdobył większego zaufania u wodza obozu narodowego jak wspomniani wyżej koledzy.

Był to więc jakiś uraz trudny do wytłumaczenia i w gruncie rzeczy dyskwalifikujący wartości przywódcze Dmowskiego.

Jak już wspominałem, od chwili niefortunnego przebiegu rozmowy z Dmowskim w 1921 roku na temat kandydatury Kucharskiego, nie miałem już z nim żadnych kontaktów. Śledziłem jednak żywo jego działalność publicystyczną i mógłbym stwierdzić, że zwłaszcza dwie jego publikacje w latach 30-tych: "Przewrót" i "Świat powojenny i Polska" dowodziły niezmiętności umysłu i bystrego orientowania się w zagadnieniach polityki międzynarodowej. Tym bardziej przykre było wrażenie, że umysł tej miary tam, gdzie chodziło o jakże ważne dla przysłości narodu zagadnienia polityki wewnętrznej, pchnął stary i wpływowy obóz polityczny na tory totalistycznego nacjonalizmu, przyczyniając się w ten sposób do zmarnowania poważnych odłamów młodzieży wyższych uczelni, która w okresie przed wybuchem II wojny światowej wyżywała się na manowcach dwóch formacji narodowo-radykalnych.

Śmierć Dmowskiego na przełomie 1938/39 przyszyła w momencie, kiedy wszystko już wskazywało na to, że przewidywany przez niego wybuch wojny polsko-niemieckiej zbliża się w szybszych, niż on to oczekiwał terminach. Śmierć ta dała okazję do paru incydentów świadczących źle o ówczesnej kulturze politycznej w Polsce. Poszło najpierw o kwestię miejsca, w którym ma być pochowany. Kierownictwo Stronnictwa Narodowego uznało, iż jedynie godnym miejscem wiecznego spoczynku tego, który odegrał niewątpliwie jedną z decydujących ról w przyznaniu odrodzonej Polsce starych ziem piastowskich, byłoby podziemie katedry poznańskiej i w tym kierunku wszczęło kroki u gospodarza katedry, prymasa Polski, księdza kardynała Hlonda. Nie znane mi są bliżej szczegółowe motywy prymasa, gdyż obie strony zaprzęciwił się on przyjęciu trumny Dmowskiego do katedry poznańskiej. Podobno była możliwość umieszczenia trumny w katedrze warszawskiej, ale przyjaciele Dmowskiego uznali że taka ewentualność po tym co zaszło z projektem poznańskim, nie wchodzi już w rachubę i zdecydowali się na demonstracyjne pochowanie Dmowskiego na cmentarzu biedoty warszawskiej na Bródnie, gdzie spoczywali jego rodzice i dziadowie.

Dalsze echa tego samego nastawienia - maksymalnych pretensji przyjaciół i złośliwej małostkowości przejściowych gospodarzy - rozegrały się w Poznaniu, kiedy narodowa większość Rady Miejskiej po-

stanowiła uczcić pamięć Dmowskiego, przez nazwanie dotychczasowego placu Wolności w centrum miasta, placem jego imienia. Komisarzyczny a więc pochodzący z nominacji władz administracyjnych Zarząd Miejski wyrażający w tym wypadku poglądy rządzącego w państwie ugrupowania, sprzeciwił się tej uchwale i zawiesił jej wykonanie, proponując wnioskodawcom wybór innej mniej może reprezentacyjnej ulicy Poznania, ale ci propozycję tę odrzucili. W ten sposób polityk tej miary i niewątpliwych zasługach w dzieła odbudowy państwa polskiego nie posiadał nie tylko w Poznaniu, ale i w ogóle na obszarze całej Polski nigdzie widomego znaku, że życiem swoim i trudem, czymś w historii swojego narodu się zapisał. Nie ma go i dzisiaj, kiedy miasta i miasteczka polskie, jej zakłady przemysłowe pełne są nawisk szerszemu ogółowi mało znanych działaczy względnie osobistości dla znacznej części Polaków conajmniej kontrowersyjnych. Jest to spuścizna bolesnej naszej przeszłości i ciągłych eksperymentów, w ciągu których daleko nam jeszcze do tego poziomu kultury politycznej, jaką słusznie chlubią się zaawansowane społeczeństwa Zachodu.

x - W niesamowitej historii poszukiwania masonów zdobył się Dmowski na krok wyjątkowo nie ... fair. W książce swej "Przewrót", jakby mimochodem, w przypisie, wskazał aż nadto przejrzyście na Ignacego Paderewskiego jako niewątpliwego masona. Powołał się mianowicie na zastanawiający, jego zdaniem, fakt, że wśród informacji dotyczących głównych aktorów Traktatu Wersalskiego, ogłoszonych ostatnio na Zachodzie, stwierdzono, że tylko on jeden nie należał do masonerii.

Jak wiadomo drugim delegatem Polski, którego podpis figuruje na traktacie, był ówczesny prezydent ministrów i minister spraw zagranicznych Paderewski, wprowadzicie nigdy do Ligi Narodowej nie należący, ale udzielający jej w ciągu wielu lat bardzo wydatnej pomocy nie tylko natury moralnej ale przede wszystkim materialnej.

To stwierdzenie Dmowskiego odczytano dość powszechnie wówczas w Polsce jako wyraźny atak na Paderewskiego. Ci zaś z uczniów Dmowskiego, którzy utworzyli ONR, idąc następnie wytyczonym przez niego drogowskazem, że każdy kto głosi zasady demokracji i liberalizmu jest niewątpliwie masonem, dokonali dalszej klasyfikacji tych niebezpiecznych przeciwników "Żądu narodowego". W ich języku pojęcie masonerii zastąpione zostało nowym - "żydo-komuną". Wkrótce i prawowierni narodowcy zaakceptowali tę nomenklaturę. Jak dalece w ich pojęciu ona sięgała, najdosadniej świadczy o tym artykuł prezesa wojewódzkiego Stronnictwa Narodowego w Poznaniu dr Wróbla w oficjalnym organie partyjnym /tygodnik: "Polska Narodowa 1936"/, który do żydo-komuny zaliczył: Paderewskiego, gen. Hallera, Korfanteo, Witosa i innych.

Adam Doboszyński, autor słynnego "zajazdu" na starostwo w Myślenicach w owym czasie działacz SN, podczas procesu usprawiedliwił swój krok koniecznością wstrząśnięcia opinią takimi niepokojącymi faktami, jak opanowanie Małopolskiej organizacji Stronnictwa Ludowego przez agentów "żydo-komuny"...

Paderewski początkowo zlekceważył wystąpienie Dmowskiego. W 1938 roku jednak, gdy zapoczątkowana aluzją Dmowskiego kampania pomawiania go o przynależność do masonerii przybrała szersze kręgi ulegając licznym interwencjom, jakie na ten temat otrzymał od wybitnych osobistości z kraju, zdecydował ogłosić w "Kurierze Warszawskim" jak najbardziej stanowcze zaprzeczenia.

Nie przeszkodziło to niedługo potem - latem tego roku - że Paderewski znalazł się na czele listy pięciu głównych przeciwników polityki zagranicznej Becka /gen. Sikorski, prof. Stroński, marsz. Rataj i prof. Kot/, które figurowały w ... "katalogu masonskim".

Taka to relacja zamieszczona została w tygodniku "Polityka" /Bunt Młodych/ i podpisana literami: L.K. Wkrótce okazało się, że chodzi o b. premiera Leona Kozłowskiego.

Prof. Stroński wytoczył Kozłowskiemu sprawę sądową. Na rozprawie Kozłowski oświadczył, że żadnych "katalogów masonskich", o których jest mowa w artykule nie widział a artykuł podpisał w zaufaniu do swojego przyjaciela min. Becka, z którego polityką całkowicie się solidaryzuje na skutek prośby przedstawicielej w jego imieniu przez dwóch wyższych urzędników MSZ. Stroński zadowolili się całkowicie tym oświadczeniem, uważając, że ogłoszenie go w prasie przyniesie mu całkowitą satysfakcję. Nie przewidział jednego, a mianowicie, że Komisariat Rządu tak czujnie pilnował sprawy, że o procesie nie pojawiło się w prasie ani jedno słowo. Ja sam dowiedziałem się o tym nieprawdopodobnym epilogu z ust Strońskiego dopiero w Londynie w czerwcu 1944 roku, kiedy przygotowywałem do "Dziennika Polskiego" artykuł na pierwszą rocznicę śmierci Sikorskiego.

Niemniej szczerze wyznanie drugiemu z zaatakowanych przez siebie kolegów uniwersyteckich prof. Kotowi złożył Kozłowski w 1941 r. w ambasadzie RP w Kujbyszewie. Tłumaczył mianowicie, że wiosną 1938 Rydz-Smigły był do tego stopnia pod wrażeniem krytyki polityki Becka iż nosił się poważnie z zamiarem zażądania jego ustąpienia. Jedy- nym sposobem uratowania Becka w oczach Rydza było przekonanie go, iż kampanię przeciwko Beckowi prowadzą masoni...

Dla całości obrazu ówczesnych metod, w których stosowaniu obóz Dmowskiego doszedł do swojego rodzaju mistrzostwa godzi się dodać fakt ujawniony przed paru laty w prasie emigracyjnej przez jednego z byłych sekretarzy Paderewskiego. Przeglądając szczegółowo po śmierci Paderewskiego jego diariusze znalazł zanotowany w czerwcu 1914 roku wydatek 100 franków szwajcarskich danych z okazji spowiedzi księdzu w Genewie.

o

"Aby właściwie mówić o kulturze Polskiego Narodu, trzeba uświadomić sobie prawdę o ścisłym związku naszej kultury z chrześcijaństwem. Nasza narodowa kultura jest dziełem narodu, którego większość stanowili zawsze ludzie żyjący wiarą.

U źródeł wielu dzieł sztuki ludowej czy klasycznej, u podstaw kształtowania się wielu zwyczajów, znajdziemy pobudki religijne. Wystarczy przejrzeć "Katalogi zabytków polskich", wystarczy sięgnąć do literatury, zbadać obyczaje, zwyczaje i śpiewy, by zobaczyć jak doniosłe znaczenie w naszej kulturze pełniły wartości religijne. Toteż choć wszyscy rozumiemy, że czym innym jest pojęcie kultury religijnej niż pojęcie kultury narodowej, to - jeśli chodzi o naszą kulturę narodową - jest ona tak ściśle związana z religijną, że usunięcie z niej wartości religijnych prowadzi do jej zniekształcenia. Wszyscy, którzy chcą poznać naszą kulturę w sposób pełny, muszą sięgnąć także do jej religijnych czynników".

/ Z Listu Episkopatu o obowiązkach katolików
w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej
- na 21 maja 1978 r. /

Rozbity świat

/National Review, 7.06.1978/

... Rozbicie w dzisiejszym świecie można zauważyć już na pierwszy rzut oka. Każdy z naszych współczesnych bez trudu potrafi wskazać dwie światowe potęgi, z których każda jest już zdolna do całkowitego zniszczenia drugiej. Jednakże, rozbicie to ujmuje się często tylko w jego politycznym aspekcie, ulegając złudzeniu, że niebezpieczeństwo można zażegnąć dzięki uwiecznionym powodzeniom negocjacji dyplomatycznych, albo przez osiągnięcie równowagi sił zbrojnych. Prawda jest inna - rozbicie sięga dużo głębiej, a różnic poglądów jest więcej niż się wydaje. Niesie to dla nas wszystkich niebezpieczeństwo wielu klęsk, zgodnie ze starą prawdą, że królestwo, w tym wypadku nasza Ziemia, nie może się ostać, jeżeli jest rozdarte niezgodą.

Ponadto istnieje jeszcze pojęcie Trzeciego Świata, a więc mamy już trzy światy. Niewątpliwie jednak ilość ich jest nawet większa, ale jesteśmy zbyt oddaleni, aby to widzieć. Każda starożytna, głęboko zakorzeniona, autonomiczna kultura, zwłaszcza jeżeli rozpościera się na rozległym obszarze, stanowi autonomiczny świat, pełen zagadek i niespodzianek dla zachodniego sposobu myślenia. Do tej kategorii musimy włączyć co najmniej Chiny, Indie oraz świat muzułmański i Afrykę, jeżeli istotnie przyjmujemy, oczywiście upraszczając, że te dwa ostatnie stanowią zwarte całości. Przez tysiąc lat również Rosja należała do takiej kategorii. Jednak zachodni sposób myślenia stale popełniał błąd odmawiając jej autonomicznego charakteru i dlatego nigdy jej nie rozumiał, tak jak i dzisiaj Zachód nie rozumie Rosji w niewoli komunistycznej...

Jakże niedawno mały, europejski świat wszędzie i bez trudu zakładał kolonie, nie tylko nie spodziewając się żadnego oporu, ale często gardząc także podbitymi ludami i odmawiając im podejściu do życia wszelkiej wartości. Pozornie był to oszałamiający sukces...

A potem nagle, w XX wieku przyszło odkrycie jego sypkości i kruchości. Widzimy teraz, że podboje te były krótkotrwałe i niepewne, a to z kolei świadczy o defektach w zachodnim widzeniu świata, które do tych podbojów prowadziło. Stosunki z dawnym światem kolonialnym zmieniły się całkowicie i Zachód posuwa się często do najdalej idącej służalczości. Ale trudno jest wciąż oszacować wysokość rachunku, jaki były kolonie przedstawiały Zachodowi i trudno jest przewidzieć, czy zdoła on pokryć ten rachunek wyrzekając się nie tylko swoich ostatnich kolonii, ale w ogóle wszystkiego co posiada.

Lecz zaślepienie wyższością trwa nadal i podtrzymuje wiarę, że rozległe obszary na całej naszej planecie powinny rozwijać się i dojrzywać do poziomu systemów zachodnich, które w teorii są najlepsze, a w praktyce najbardziej atrakcyjne... Koncepcja ta wyrosła z zachodniego niezrozumienia istoty innych światów i z błędu przykładania do nich zachodniej miarki. Prawdziwy obraz rozwoju naszej planety jest zupełnie inny...

Gdybym zwracał się dziś do słuchaczy w moim kraju, rozpatrując cechy światowych różnic poglądów, skoncentrowałbym się na nieszczęściach Wschodu. Ale ponieważ moje przymusowe wygnanie na Zachód trwa już cztery lata i ponieważ mówię do słuchaczy zachodnich, myślę, że bardziej interesującym może być skupienie uwagi na pewnych aspektach życia Zachodu naszych czasów, tak jak ja je widzę.

Najbardziej uderzającą cechą, jaką obserwator z zewnątrz zauważa na Zachodzie jest upadek odwagi. Świat zachodni utracił swą cywilną odwagę zarówno jako całość, jak i z osobna w każdym kraju każdy rząd i każda partia polityczna. I, oczywiście, w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ten upadek odwagi można zauważyć zwłaszcza w grupach rządzących i w elitach intelektualnych, co stwarza wrażenie, że dotyczy to całego społeczeństwa. Oczywiście, jest wiele odważnych jednostek, ale nie mają one decydującego wpływu na życie publiczne. Polityczni i intelektualni biurokraci wykazują przygnębienie, bierność i zakłopotanie zarówno w swym postępowaniu jak i w swych twierdzeniach, a przede wszystkim w teoretycznych rozważaniach, które mają wyjaśnić jak bardzo realistyczne i rozumne, a także jak intelektualnie, a nawet moralnie usprawiedliwione jest opieranie polityki państwa na słabości i tchórzostwie. Okazjonalne wybuchy gniewu i nieugiętości ze strony tych samych biurokratów wtedy, kiedy mają do czynienia ze słabymi rządami i słabymi krajami, których nikt nie popiera podkreślają jedynie ten upadek odwagi. Przecież ci sami ludzie zapominają języka w gębie, gdy chodzi o rządy mocne i groźne siły, o agresorów i międzynarodowych terrorystów.

Czyż trzeba wykazywać, że od czasów starożytnych upadek odwagi był uważany za początek końca?

Kiedy powstawały nowożytne państwa Zachodu, ogłoszono następującą zasadę: rządy powinny służyć człowiekowi, człowiek zaś żyje po to, by być wolnym i dążyć do osiągnięcia szczęścia /Patrz, na przykład, Amerykańska Deklaracja Niepodległości/.

Teraz w końcu, podczas ostatnich dziesięcioleci, postęp techniczny i społeczny powolił na realizację takich aspiracji - powstało państwo dobrobytu. Każdemu obywatelowi została przyznana wolność i dobra materialne w takiej ilości, żeby zapewnić mu osiągnięcie szczęścia, w tym moralnie poślednim sensie jaki wytworzył się w ciągu tychże dziesięcioleci. W tym procesie został jednak przeoczony pewien psychologiczny szczegół - stało się pragnienie posiadania coraz większej ilości rzeczy i coraz lepszego życia. Walka o zdobycie tego naznacza wiele twarzy na Zachodzie troską, a nawet przygnębieniem, chociaż zwyczaj każe ukrywać takie uczucia. Gorączkowa rywalizacja przenika wszystkie ludzkie myśli, nie pozwala na swobodny rozwój duchowy. Zagwarantowana została niezależność jednostki od wszelkich nacisków państwa; większości ludzi zapewniono dostatek, o jakim ich ojcowie i dziadowie nie mogli nawet marzyć; stało się możliwe wychowywanie młodzieży zgodnie z tym ideałem, prowadzącym ich do zewnętrznego splendoru, szczęścia, posiadania dóbr materialnych i czasu wolnego, do nienal nieograniczonej swobody cieszenia się życiem. Dlaczego i w imię czego miałby ktoś narażać na niebezpieczeństwo swoje cenne życie w obronę wspólnych wartości? A zwłaszcza w tak niejasnych przypadkach, jak wtedy, gdy bezpieczeństwo czyjś narodu musi być bronię w innym, odległym kraju?

Nawet biologia wie, że stałe bezpieczeństwo i dostatek nie są korzystne dla żyjącego organizmu. Dzisiaj dostatek w życiu zachodniego społeczeństwa zaczął odsłaniać swoją złowieszczą maskę.

Społeczeństwo zachodnie zapewniło sobie najlepszą służącą jego celom organizację, opartą, powiedzielibyśmy, na literze prawa. Granice praw ludzkich i praworządności są określone systemem praw. Granice praw ludzkich są bardzo szerokie. Ludzie na Zachodzie osiągnęli szczególną sprawność w stosowaniu, interpretowaniu i manipulowaniu prawem, mimo, że prawa mają skłonność do zbytnej zawikłaności i przeciętny człowiek nie jest w stanie zrozumieć ich bez pomocy eksperta. Każdy konflikt jest rozwiązywany zgodnie z literą prawa i jest to uważane za najlepsze rozwiązanie. Jeżeli ktoś jest w porządku z punktu widzenia prawa, to nie można wyłagać od niego niczego więcej. Zabrzmiałoby jak absurd, gdyby uznano, że jednak nie jest on zupełnie w porządku i wywołano od niego bezinteresownego narażenia się czy jakiejś dobrowolnej ofiary. Prawie nigdy nie spotyka się dobrowolnego narzucania sobie ograniczeń. Każdy działa na samej granicy legalności. Kompania naftowa jest bez zarzutu z punktu widzenia prawa, jeżeli nabywa wynalazek nowego rodzaju energii po to, aby zapobiec jego zastosowaniu. Wytwórca produktu żywnościowego jest prawie bez zarzutu, kiedy zatrzuwa swój produkt, żeby przedłużyć okres jego przydatności do spożycia. Zresztą, ludzie nie mają obowiązku kupowania go.

Spędziken całe życie pod rządami komunistycznymi i powierzan, że naprawdę straszne jest społeczeństwo bez obiektywnych norm prawnych. Ale społeczeństwo mające wyłącznie prawne normy również nie jest godne człowieka. Społeczeństwo, które opiera się tylko na literze prawa i nigdy nie sięga wyżej nie wykorzystuje chyba wysokiego poziomu ludzkich możliwości. Litera prawa jest zbyt ziarna i bezduszną, aby mieć dobroczynny wpływ na społeczeństwo. Kiedy tkanina życia utkana jest ze stosunków prawnych, powstaje atmosfera moralnej niernoty, paraliżująca najszlachetniejsze ludzkie odruchy.

Przetrwanie doświadczeń tego groźnego wieku jedynie w oparciu o strukturę legalistyczną będzie po prostu niemożliwe.

W dzisiejszym społeczeństwie zachodnim ujawniła się dysproporcja między możliwością czynienia dobra a możliwością czynienia zła. Mąż stanu, który chce osiągnąć dla swego kraju coś ważnego i konstruktywnego musi postępować ostrożnie, a nawet nieśmiało, otaczają go bowiem tysiące pochopnych i nieodpowiedzialnych krytyków, a parlament i prasa stale krępują jego poczynania. Musi on udowodnić, że każdy jego krok ma pewne podstawy i jest absolutnie bez wad. Osoba wyróżniająca się i szczególnie utalentowana, mająca niekonwencjonalne i nieoczekiwane pomysły na niewielkie stanowiska zdobycia uznania; od samego początku zastawia się wokół niej zasadzki. I tak, z powodu restrykcji narzuconych przez demokrację, triumfuje niernota...

Obrona praw jednostki posunęła się tak daleko, że uczyniła społeczeństwo bezbronny wobec niektórych jednostek. Nadszedł czas, aby na Zachodzie bronić nie tyle praw człowieka, co obowiązków człowieka.

Destrukcyjna, nieodpowiedzialna wolność osiągnęła olbrzymie rozmiary. Okazuje się, że społeczeństwo nie bardzo umie bronić się przed otchłanią ludzkiej dekadencji, jak

na przykład przed nadużywaniem wolności dla stosowania moralnego gwałtu na młodych ludziach za pośrednictwem filmów pełnych pornografii, zbrodni i okropności. Teoretycznie jest to równoważone przez prawo nakładzie do nieopłacenia lub nieakceptowania tego. Tak więc, życie zorganizowane i legalistycznie wykazało swą niezdolność do obronienia samego siebie przed porażką zła.

AA co można powiedzieć o rocznym królestwie przestępczości jako takiej? Prawa prawne zawłaszczają w Stanach Zjednoczonych, są wystarczająco szerokie aby osłabić nie tylko indywidualną wolność, ale także pewne indywidualne zbrodnie. Winowici mogą uniknąć kary, albo cieszyć się niezasłużoną wyrozumiałością przy poparciu tysięcy publicznych obrońców. Rząd, rozpoczęły decyzją walną z terrorystami została natychmiast oskarżony przez opinie publiczną o gwałcenie obywatelskich praw terrorystów. Takich przypadków jest wiele.

To przechylanie się wolności w kierunku zła następować stopniowo, ale początek dała mu z pewnością humanistyczna idea, zgodnie z którą z natury ludzkiej nie ma wrodzonego zła, świat należy do ludzkości, a wszystkie defekty życia są spowodowane przez złe systemy społeczne, które muszą zostać naprawione. O dziwo, mimo świetnych warunków społecznych jakie osiągałoby na Zachodzie, przestępczość istnieje tam nadal i to w znacznie większym stopniu niż w zubożonym i pozbawionym prawowładności społeczeństwie Związku Radzieckiego. W naszych obozach jest ogromna ilość więźniów, których nazywa się przestępcami, ale większość z nich nie popełniła nigdy żadnego przestępstwa. Próbowali oni jedynie bronić się przed bezprawnym państwem, uciekając się do środków wykraczających poza struktury prawne.

Również prasa cieszy się, oczywiście, najszerszą wolnością. /Będę używał słowa "prasa" na określenie wszystkich środków przekazu/. Ale jaki użytek robi ona z tej wolności?

Tutaj znowu chodzi przede wszystkim o to, żeby nie naruszyć litery prawa. Nie ma moralnej odpowiedzialności za defertację lub dysproporcję. Jaką odpowiedzialność ponosi dziennikarz przed swoim czytelnikiem bądź przed historią? Czy znany jakiś przypadek publicznego przyznania się do błędu i sprostowania go przez dziennikarza albo pismo, które opublikowało niedokładną informację czy niesłuszne wnioski wprowadzając w błąd opinie publiczną albo rząd? Nie, to się nie zdarza, powiewa zaszkodziłoby sprzeżeniu. Naród może paść ofiarą takiego błędu, ale dziennikarz zawsze z tego wybrnie. Można spokojnie przyjąć, że znacznie on pisać coś wręcz przeciwnego z nową pewnością siebie.

Ponieważ natychmiastowa i wiarygodna informacja musi być dostarczana, koniecznością jest uciekanie się do dorysów, plotek i przypuszczeń, aby zapewnić informację. Żadna niescisłość nie zostanie nigdy poprawiona, pozostaną one w pamięci czytelników... Prasa może zarówno stymulować opinie publiczną jak i ją ogłupiać. I tak, możemy zobaczyć terrorystów przesłanionych w bohaterów, albo publicznie ujawnione tajne materiały dotyczące obronności jakiegoś narodu. Możemy też być świadkami bezwstydnego wkraczania w prywatne życie znanych osób pod hasłem: "Każdy ma prawo wiedzieć wszystko". Jest to jednak fałszywe hasło, charakterystyczne dla fałszywej ery, ludzie bowiem mają także prawo do tego, aby nie wiedzieć i jest to znacznie cenniejsze prawo. Prawo do tego, aby nie faszerowano ich duszy głupstwem, nonsensen, próżną gadaniną. Człowiek, który pracuje i prowadzi sensowne

Człowiek, który pracuje i prowadzi sensowne życie nie potrzebuje tego niepożądanego, uciążliwego napływu informacji.

Pospiech i powierzchowność są chorobą psychiczną XX wieku, a bardziej niż gdziekolwiek znajduje to swoje odzwierciedlenie w prasie. Dogłębna analiza problemu jest dla prasy przekleństwem, poprzestaje więc ona na sensacyjnych formułkach.

W tej sytuacji prasa staje się jednak największą siłą w krajach Zachodu, potężniejszą niż władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Chciałoby się zapytać: jakim prawem została ona wybrana i przed kim jest odpowiedzialna? Na komunistycznym Wschodzie dziennikarz jest jawnie mianowany państwowy urzędnikiem. Ale kto obdarzył władzą dziennikarzy zachodnich? Na jak długo i z jakimi prerogatywami?

Jest tu jeszcze jedno zaskoczenie dla kogoś przybywającego ze Wschodu, gdzie prasa jest rygorystycznie ujednoczona - stopniowo odkrywa on w całej prasie zachodniej jeden wspólny kierunek. Jest to moda, narzucająca pewne powszechnie akceptowane wzorce opinii. Prasa na olbrzymią swobodę, ale nie na jej czytelnik, ponieważ gazety podkreślają i uwydatniają tylko te opinie, które nie są zbyt wyraźnie sprzeczne z ich własnym, lub ogólnym trendem.

Nie potrzeba cenzury, aby modne kierunki myśli i idei były na Zachodzie troskliwie oddzielane od nie-modnych; nie jest wprawdzie zabronione, ale to co nie jest modne raczej nie dotrze do czasopism i książek, ani nie będzie słuchane w college'ach. Pod względem prawnym nasze badania są niezależne, ale i one są uwarunkowane aktualną modą. Nie na jawnej przemoc, takiej jak na Wschodzie, ale selekcja dyktowana przez modę i konieczność dorównania wzorcom masowym uniemożliwiają ludziom niezależnie myślącym branie udziału w życiu publicznym. Istnieje niebezpieczna, wykluczająca pomysłny rozwój tendencja do tworzenia bezmyślnego ludzkiego stada...

Zwrócić uwagę na kilka cech charakterystycznych dla zachodniego życia, tych, które zaskakują i szokują nowoprzybywającego do tego świata. Zamierzenie i cel tej nowiny nie pozwalają mi kontynuować tego przeglądu ani też wejść w problem wpływu, jaki mają te cechy na ważne aspekty życia narodu /na przykład wykształcenie/.

Prawie powszechnie przyznaje się, że to Zachód wskazuje całemu światu drogę do pomysłnego rozwoju ekonomicznego, mimo, że w ubiegłych latach silnie wstrząsnęła nim chaotyczna inflacja. Jednak jest na Zachodzie wielu ludzi niezadowolonych ze swego społeczeństwa, pogardzających nim lub oskarżających je o niedorastanie do stopnia dojrzałości osiągniętego przez ludność. Niektórzy tacy krytycy zwracają się ku socjalizmowi - jest to fałszywa i niebezpieczna tendencja.

Ma nadzieję, że nikt z obecnych nie będzie podejrzewał mnie o to, że przedstawiam moją osobistą krytykę systemu zachodniego, w celu zaoferowania socjalizmu jako alternatywy. Doświadczywszy socjalizmu zastosowanego w kraju, gdzie ta alternatywa została zrealizowana, z pewnością nie będę za nią przemawiał. Znany radziecki matematyk, Szafarewicz, członek Radzieckiej Akademii Nauk, napisał błyskotliwą książkę pod tytułem "Socjalizm". Jest to głęboka analiza pokazująca, że każdy rodzaj odcień socjalizmu prowadzi do całkowitej destrukcji ludzkiego ducha i do zagłady ludzkości. Książkę Szafarewicza opublikowano blisko 2 lata temu we Francji i dotychczas nie znalazł się nikt, kto by tę teorię obalił. Wskótce zostanie ona opublikowana po angielsku

w Stanach Zjednoczonych.

Ale gdyby ktoś zapytał mnie, czy wskazałbym Zachód, taki jakim jest on dzisiaj, jako model dla naszego kraju, to musiałbym, mówiąc szczerze, dać odpowiedź negatywną...

Niezaprzeczalnym faktem jest osłabienie istot ludzkich na Zachodzie, podczas gdy na Wschodzie stają się one coraz silniejsze. W ciągu ostatnich dziesięcioleci ludzie w Związku Radzieckim i Europie Wschodniej oddalili się znacznie, dzięki duchowym ćwiczeniom, od doświadczeń zachodnich. Złożoność życia i ważkość śmierci wytworzyły silniejsze, głębsze i bardziej interesujące charaktery niż te zrodzone przez znormalizowany zachodni dobrobyt. Przeto, jeżeli nasze społeczeństwo miałoby być przekształcone na wzór waszego, to oznaczałoby poprawę w pewnych sprawach, ale także zmianę na gorsze w innych, istotnych. Prawdą jest, bez wątpienia, że społeczeństwo nie może pozostawać w otchłani bezprawia, jak to ma miejsce w naszym kraju, ale wybranie takiej mechanicznej, formalistycznej gładkości jaką wy nacie jest również poniżające. Po przecierpieniu dziesięcioleci przeloty i ucisku dusza ludzka tęskni za czymś wyższym, żarliwszym i czystszy niż to, co oferuje dziesięcioletnia kultura nasowa ze swą inwazją reklam, odurzeniem telewizją, nieznośną muzyką.

Wszystko to jest widoczne dla obserwatorów ze wszystkich światów naszej planety i jest coraz mniej prawdopodobnym, aby zachodni sposób życia stał się głównym wzorem do naśladowania.

Historia daje różne znaczące ostrzeżenia zagrożonemu lub ginącemu społeczeństwu, np. upadek sztuki albo brak wielkich mężów stanu. Są także ostrzeżenia jawne i oczywiste: centrum waszej demokracji i kultury pozostaje przez kilka zaledwie godzin bez nocy elektrycznej, a tłumy obywateli amerykańskich zaczynają nagle grabić i szerzyć spustoszenie. A zatem, gładka powłoka zewnętrzna musi być tu bardzo cienka, a system społeczny niestabilny i schorowany.

Ale walka fizyczna i duchowa o naszą planetę, walka o kosmicznych proporcjach nie jest już niejasną sprawą przyszłości. Walka ta już się zaczęła. Siły Zła rozpoczęły swą rozstrzygającą ofensywę, czujemy ich presję, a mimo to wasze ekrany i publikacje pełne są obowiązkowych usmiechów i wzniezionych kielichów. Z czego tu się cieszyć?

Znani przedstawiciele waszego społeczeństwa, tacy jak George Kenan, mówią: "Nie możemy stosować kryteriów moralnych w polityce". Ależ w ten sposób miesza się dobre ze złym, skuszane z nieskuszonym i stwarzamy miejsce dla absolutnego triumfu absolutnego Zła na świecie. Wprost przeciwnie, jedynie moralne kryteria mogą wspomóc Zachód w starciu z dobrze zaplanowaną, światową strategią komunizmu. Nie ma innych kryteriów...

Mimo obfitości informacji, a może z jej powodu, Zachód ma trudności ze zrozumieniem rzeczywistości takiej jaką ona jest. Niektórzy Amerykanie naiwnie przepowiadali, że Angolą stanie się Wietnamem Związku Radzieckiego, albo, że kubańskie ekspedycje do Afryki zostaną wstrzymane na skutek szczególnej urpejności Stanów stosunku do Kuby. Do tej samej kategorii należy rada Kenana, aby rozpocząć jednostronne rozbicie. Gdybyście tylko wieźli, jak śmieją się z waszych politycznych czarodziejów najniżsi urzędnicy z moskiewskiego Placu ¹. A co do Fidela Castro, to szydzi on

^{1/} Na Starym Placu /Staraja Ploščad/ mieści się kwatera główna Komitetu Centralnego KPZR; jest to prawdziwa nazwa tego, co na Zachodzie unownie określa się jako Kremł.

otwarcie ze Stanów Zjednoczonych, wysyłając w odległe awantury wojska ze swego, sąsiadującego z waszym krajem. Jednakże najokrutniejszą onytką było niezrozumienie wojny wietnamskiej. Wiktórzy szczerze pragnęli zakończenia wszystkich wojen możliwie jak najprędzej, inni uważali, że powinno znaleźć się miejsce dla narodowego, czy komunistycznego samookreślenia w Wietnamie lub Kambodży. Ale członkowie amerykańskiego ruchu antywojennego zostali w końcu wmieszani w zdradę narodów Dalekiego Wschodu, w ludobójstwo i cierpienia jakie dziś zadaje się tam trzydziestu milionom ludzi. Czy ci zdeklarowani pacyfiści słyszą jęki, które dochodzą stamtąd? Czy rozumieją dziś oni swoją odpowiedzialność? A może wola nie słyszeć? Inteligencja amerykańska utraciła swą pewnością siebie, a w konsekwencji niebezpieczeństwo znacznie przybliżyło się do Stanów Zjednoczonych. Nie jest ono jednak uświadomione. Wasi krótkowzroczni politycy, którzy podpisali pochopnie kapitulację wietnamską, na pozór dali Ameryce chwilę wytchnienia wolną od niepokoju. Jednakże wyłania się teraz przed wami zwielokrotniony Wietnam. Tanteńwały Wietnam był ostrzeżeniem i okazją do zmobilizowania narodowej odwagi. Ale jeżeli w pełni rozwinięta Ameryka doznała klęski ze strony małego, komunistycznego półkpaństwa, to jak może Zachód nieć nadzieję, że ostanie się w przyszłości? Miałby już okazję powiedzieć, że w XX wieku demokracja zachodnia nie wygrała żadnej większej wojny bez pomocy i opieki ze strony potężnego, kontynentalnego sojusznika, którego filozofia i ideologia nie stanowiły wówczas problemu. Samiast zwyciężył w II wojnie światowej Hitlera własnymi siłami, które z pewnością były wystarczające, zachodnia demokracja hodowała innego wroga, który okazał się gorszy i jeszcze potężniejszy: Hitler nigdy nie miał tak wielu popleczników na Zachodzie /potencjalna piąta kolumna/ jak Związek Radziecki. Obecnie pewne głosy na Zachodzie już wypowiedziały się za pozyskaniem trzeciej siły jako obrońcy przed agresją w następnym światowym konflikcie, gdyby do takiego doszło. Tym razem tarczą byłoby Chiny. Ale ja nie zyczyłbym tego żadnemu krajowi na świecie. Przede wszystkim byłoby to zgniły sejsusz ze zien. Poza tym, dąkoby to Stanom Zjednoczonym chwilę wytchnienia, ale tylko do czasu, kiedy Chiny ze swym miliardem ludzi, uzbrojone w amerykańską broń, zmienilyby front i Ameryka sama padłaby ofiarą ludobójstwa, takiego jak to, które popeknia się teraz w Kambodży.

A jednak, żadna broń, nawet najpotężniejsza nie może pomóc Zachodowi, dopóki nie przewycięży on utraty siły woli. W stanie psychologicznej słabości broń staje się ciężarem dla strony kapitulującej. Aby się bronić, trzeba być gotowym na śmierć, a niewiele jest takiej gotowości w społeczeństwie wychowawym w kulcie dobrobytu materialnego. Nie pozostaje więc nic innego jak ustępstwo, usiłowanie zyskania na czasie i zdrada. I tak, na haniebnej konferencji w Belgradzie wolni dyplomaci zachodni wyrzekali się sprawy, za którą niewolni członkowie Grupy Helsinki poświęcają swoje życie.

Myślenie zachodnie stało się konserwatywne: sytuacja światowa powinna za wszelką cenę pozostać taka, jaka jest, nie powinno być żadnych zmian. To osłabiające narzędzie o statusie quo jest symptomem społeczeństwa, które zbliżyło się do kresu swego rozwoju. Trzeba być ślepy, żeby nie widzieć, że oceany nie należą już do Zachodu, a ziemia pod jego panowaniem stale się kurczy! Dwie tak zwane wojny światowe /nie były one bynajmniej na skalę światową - jeszcze nie/ oznaczyły wewnętrzne samczniszczenie małego, postępcwego Zachodu,

który w ten sposób przygotował swój własny koniec. Następna wojna, która nie musi być wojną atomową /i ja nie wierzę, że taką będzie/ może z powodzeniem poprzebać na zawsze cywilizację zachodnią.

W obliczu takiego niebezpieczeństwa, z takimi historycznymi wartościarnymi waszej przeszłości, na tak wysokiej pozycji realizacji wolności i z widocznym oddaniem tej wolności, jak to jest możliwe, aby utracić do tego stopnia wolę samoobrony? Jak doszło do tego niekorzystnego układu sił? Jak, stoczył się Zachód ze swego triumfalnego marszu w obecny stan choroby? Czy były w jego rozwoju jakieś fatalne zwroty i zbaczanie z drogi? Wydaje się, że nie. Zachód wciąż postępował naprzód pod względem socjalnym, zgodnie z głoszonymi przez siebie zamiarami i z pomocą błyskotliwego postępu technicznego. I oto nagle znalazł się w stanie skąbości.

To znaczy, że błąd musi tkwić u korzeni, u samej podstawy myśli ludzkiej ubiegłych wieków. Chodzi mi o zachodnie widzenie świata, które zrodziło się w Renesansie i znalazło swój polityczny wyraz poczynając od okresu Oświecenia. Stało się ono podstawą dla systemu rządzenia i nauk społecznych a można je zdefiniować jako racjonalistyczny humanizm lub autonomię humanistyczną, czyli przekłamowaną i przeprowadzoną autonomię człowieka od jakiejkolwiek wyższej siły ponad nim. Może to być także nazwane antropocentryzmem, z człowiekiem widzianym jako ośrodek wszystkiego, co istnieje.

Zwrot zapoczątkowany przez Renesans z pewnością był historycznie nieuchronny. Średniowiecze dotarło do swego naturalnego końca na skutek utraty sił, ponieważ doszło do nieznośnego, despotycznego usiskania fizycznej natury człowieka na rzecz natury duchowej.

Wtedy jednak zupełnie odwrócili się od Ducha i z nadmierną gorliwością oddali się wszystkiemu co materialne. Ten nowy sposób myślenia, który narzucił nam swoje przewodnictwo, nie uznaje istnienia wewnętrznego zła w człowieku, ani nie dostrzega żadnego wyższego celu nad osiągnięcie szczęścia na ziemi. To doprowadziło do powstania w nowożytnej zachodniej cywilizacji niebezpiecznej tendencji do kultu człowieka i jego potrzeb materialnych. Wszystko, co jest ponad fizycznym dobrobytem i gromadzeniem dóbr materialnych, wszystkie ludzkie wyzwania i właściwości subtelniejszej i wyższej natury pozostawione poza zasięgiem uwagi państwa i systemu społecznego, jak gdyby życie ludzkie nie miało żadnego wyższego sensu. To dało przystęp zła, które w naszych czasach napływa swobodnie i bezustannie. Wolność bynajmniej nie rozwiązuje wszystkich problemów ludzkiego życia, a nawet dodaje pewną ilość nowych.

We wczesnych demokracjach, jak np. w amerykańskiej w okresie jej narodzin, wszystkie indywidualne prawa zostały przyznane człowiekowi dlatego, że jest on stworzeniem Boga. To znaczy, że wolność została dana jednostce warunkowo, przy założeniu jej stałej religijnej odpowiedzialności. Takie było dzieństwo poprzez niego tysiąclecia. Jeszcze dwieście, a nawet pięćdziesiąt lat temu wydawałoby się w Ameryce zupełnie niemożliwym przyznanie jednostce bezgranicznej wolności po prostu dla usatysfakcjonowania jej instynktów i kaprysów. Następnie jednak wszystkie te ograniczenia zostały na Zachodzie odrzucone, nastąpiło totalne wyzwolenie się od moralnego dziedzictwa chrześcijańskich stuleci z ich wielkimi rezerwami miłosierdzia i ofiarności. Tymczasem systemy państwowe stawały się coraz bardziej materialistyczne. Zachód w końcu rzeczywiście wyegzekwował prawa człowieka,

czasami nawet nadmiernie, ale poczucie odpowiedzialności jednostki przed Bogiem i społeczeństwem stawało się coraz bardziej mgliste. W ostatnich dziesięcioleciach legalistyczny, samolubny aspekt zachodniego cywilizacji osiągnął swe apogeum i świat znalazł się teraz zarówno w ostrym kryzysie duchowym jak i w impasie politycznym. Wszystkie gloryfikowane osiągnięcia techniczne Postępu, włącznie z podbojem przestrzeni kosmicznej, nie odkupią dwudziestowiecznej nędzy moralnej, jakiej jeszcze w XIX wieku nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Humanizm, stając się w swym rozwoju coraz bardziej materialistycznym, dał coraz większy dostęp spekulacji i manipulacji, najpierw przez socjalizm, potem przez komunizm. Karol Marks mógł więc powiedzieć w roku 1844, że "Komunizm jest znaturalizowanym humanizmem".

Okazuje się, że twierdzenie to nie jest całkowicie pozbawione sensu. Te same kanie widać w fundamentach od duchowionego humanizmu i wszelkich odmian socjalizmu: ustawiczny materializm; wyzwolenie od religii i religijnej odpowiedzialności, które pod rządami komunistycznymi osiągnęło stadium antyreligijnej dyktatury; skoncentrowanie się w pozornie naukowy sposób na strukturach społecznych /jest to typowe dla Oświecenia XVIII wieku i dla marksizmu/. Nie jest sprawą przypadku, że wszystkie komunistyczne, bezsensowne zobowiązania i przysięgi dotyczą Człowieka przez duże C i jego ziemskiego szczęścia. Na pierwszy rzut oka porównanie to wydaje się dziwne - czyżby istniały wspólne cechy w sposobie życia i myślenia dzisiejszego Zachodu i Wschodu? Ale taka jest logika materialistycznego rozwoju.

Wzajemny stosunek jest taki, że ten prąd materializmu, który jest najdalej na lewo zawsze w końcu okazuje się silniejszy, bardziej atrakcyjny i w rezultacie zwycięski, ponieważ jest bardziej spójny. Humanizm zaś, bez swego chęściamińskiego dziedzictwa nie może sprostać takiej rywalizacji. Obserwowany ten proces przez wieki i w skali światowej, a zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach, kiedy to sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna. Liberalizm został nieuchronnie zastąpiony przez radykalizm, radykalizm musiał ustąpić przed socjalizmem, a socjalizm nigdy nie mógł oprzeć się komunizmowi. Rządy komunistyczne mogły powstać i utrzymać się dzięki entuzjastycznemu poparciu olbrzymiej rzeszy zachodnich intelektualistów, którzy czuli pokrewieństwo z komunizmem i nie chcieli widzieć jego zbrodni, a kiedy nie mogli ich już dłużej ignorować, próbowali je usprawiedliwiać. W naszych wschodnich krajach komunizm poniósł kompletną i ideologiczną klęskę; jest on już niczym i mniej niż niczym. Lecz intelektualiści zachodni nadal patrzą na komunizm z zainteresowaniem i to właśnie ogromnie utrudnia Zachodowi przeciwstawienie się Wschodowi. Nie zastanawiam się tutaj nad katastrofalnym przypadkiem wojny światowej i zmian jakie spowodowałyby ona w społeczeństwach. Jak długo budzimy się każdego ranka pod spokojnym niebem, tak długo musimy prowadzić normalne, codzienne życie. Jest jednak katastrofa, która trwa już od pewnego czasu. Mam na myśli klęskę humanistycznej świadomości, od duchowionej i areligijnej.

Dla takiej świadomości człowieka jest kryterium oceny i sądenia wszystkiego na ziemi. Niedoskonały człowiek, który nigdy nie jest wolny o dpychy, interesowności, zawiści, próżności i tuzinów innych ułomności.

Doświadczamy teraz konsekwencji tego błędu, którego nie zauważono na samym początku drogi. Od Czasu Renesansu

do naszych dni wzbogaciliśmy nasze przeżycia, ale utraciliśmy ideę Najwyższego Doskonałego Bytu, który powściągał nasze namiętności i nasz brak odpowiedzialności. Zbyt wiele nadziei pokładaliśmy w politycznych i społecznych reformach, tylko po to aby odkryć, że zostaliśmy pozbawieni naszej najcenniejszej własności - życia duchowego. Na Wschodzie jest ono niszczone machinacjami rządzącej partii, a na Zachodzie - interesami handlowymi...

Gdyby humanizm miał skusność głosząc, że człowiek rodzi się po to, aby być szczęśliwym, to jego życie nie kończyłoby się śmiercią. Skoro jego ciało jest skazane na śmierć, to znaczy, że jego zadanie na ziemi jest bardziej duchowej niż natury. Nie może to być jedynie nieznana radość codziennego życia, ani poszukiwanie najlepszych sposobów zdobywania i wydawania pieniędzy. Musi to być stałe, uczciwe wypełnianie powinności, a wtedy podróż czy jego życie może stać się przeżywaniem moralnego rozwoju tak, żeby można było opuścić ten świat jako istota lepsza niż na początku drogi...

Uakreśliłby wprowadzić zniszczenia przez wojnę, ale będziemy musieli zmienić nasze życie, jeżeli chcemy uniknąć samozagłady. Musimy poddać rewizji fundamentalne definicje ludzkiego życia i ludzkiej społeczności. Czy prawdą jest, że człowiek wyrasta ponad wszystko? Czy nie ma ponad niego wyższego Ducha? Czy prawdą jest, że życie człowieka i działania społeczne muszą być determinowane przede wszystkim ekspansją materialną? Czy dopuszczalne jest popieranie tej ekspansji kosztem naszej duchowej nienaruszalności?

Jeżeli świat nie dobiegł swego kresu, to zbliżył się do ważnego zakrętu w swej historii, równie ważnego jak ze Średniowiecza do Renesansu. Wynaga to od nas duchowego podniesienia się. Będziemy musieli wznieść się na nowy, wyższy poziom życia i widzenia świata, gdzie nasza fizyczna natura nie będzie przekłeta, jak w Średniowieczu, ale coś ważniejszego nasza duchowa istota nie będzie podeptana, jak w Erze Nowożytnej.

To wznoszenie się będzie podobne do wspinania się do następnego stadium antropologicznego. Nie ma na ziemi drogi na lewo, lecz - w górę.

A. Sokzenicyn

/przełożył C.D./

D O K U M E N T A C J A

Wyciąg z Biuletynu Informacyjnego Koła Poselskiego "ZEMAX"
nr 1/4/1979 (do użytku wewnętrznego)

Przemówienie posła Ryszarda Bendera wygłoszone w debacie nad projektem ustawy o jakości wyrobów, usług, robót, obiektów budowlanych z 8.II.79.

Panie Marszałku, Wysoki Sejmie!

Debatujemy dziś nad dobrą robotą. Na wstępie chcę stwierdzić, że na pewno przykładem takiej dobrej roboty była Uchwała Rady Ministrów z 15 grudnia 1978 roku przywracająca Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu prawo nadawania stopni naukowych. O ile jeszcze znikną karykaturalne limity przyjęć na pierwszy rok studiów w KUL (np. filologia romańska może przyjmować tylko cztery osoby), to już można będzie wierzyć, że zła passa przemija. Patrząc w tej chwili w stronę jednej z naszych koleżanek posłanek, która gdy rozpoczynała filologię romańską w naszej uczelni wtedy było na pierwszym roku studiów ponad pół setki. Nie dobijam się o taką liczbę miejsc, ale domyślam się, że rektorzy cieszyliby się i z potrojenia, z tuzina osób na pierwszym roku tejże romanistyki i odpowiedniego zwiększenia przyjęć na inne kierunki, o czym mówiłem w poprzednim swoim wystąpieniu sejmowym. Ale to już chyba sprawa szczegółowa. Ukłon do Pana Ministra Górskiego i nadzieja, że zrobi wszystko, by limity przyjęć na KUL nie były rażąco mniejsze niż na innej uczelni. Z góry dziękuję Panie Ministrze.

Wysoka Izbo!

Inne refleksje, prowadzone przy okazji wniesionego pod obrady projektu ustawy nie we wszystkim mogą budzić optymizm. Potwierdzają to również przytoczone dziś przez niektórych obywateli posłów fakty. Po to jednak zebraliśmy się, żeby przemyśleć sposoby wyjścia z trudnych sytuacji, gdy takie zaistnieją.

Zacząć trzeba przede wszystkim od siebie, od góry, jak to mówią prości ludzie, których utyskiwać na tę górę, a więc na nas, nasłuchałem się sporo jeżdżąc tzw. PKS-em, bo bardziej on niezawodny niż kolej, która utraciła bez reszty swą przedwojenną reputację. Czy i kiedy ją odzyska Panie Ministrze Komunikacji? Pytanie raczej retoryczne, prawda? Jakże tu więc nie narzekać również na siebie samych, na Sejm nawet, w którym zasiadamy, na jego Prezydium - (proszę wybaczyć Panie Marszałku że to mówię, ale i w najlepszej rodzinie narzekań nie brakuje) - skoro projekt dziś rozpatrywanej ustawy otrzymujemy za ledwie na kilka dni przed posiedzeniem. Tekst ten dotarł do mnie co prawda ekspresem, ale dopiero w niedzielę, i w niedzielę po południu mogłem zacząć jego studiowanie. Cztery dni to nie jest tak mało czasu, ale za wiele również nie. Cóż, od administracji sporo zależy, to jasne. Czytaliśmy nie-dawno w "Polityce" wywiad z osobą eminentną z naszego środowiska sejmowego, a w nim sugestię, że posłowie nie chcą przeciwstawiać swojego zdania administracji, pragną raczej korygować jej błędy. Czy rzeczywiście jest to pragnienie wszystkich posłów? Rzecz do zastanowienia i dyskusji. Wysoki Sejmie, chcę być szczery. Nie wiem czy rozpatrywanie przedłożonego nam projektu ustawy w tej chwili jest na czasie, czy w fakcie tym nie dostrzeżemy małej przynajmniej asekuracji. Domagamy się dobrej roboty od dolnych ogniw naszego życia gospodarczego, od wykonawców, gdy wiemy lub powinniśmy wiedzieć, że oni bardzo często - z przesadą nawet - za złą jakość wytwarzanych wyrobów obarczają tzw. górę. To trzeba dostrzec.

a nawet ślubne daje się artykuły z podkreśleniem, że są z odrzutu. Ktoś w innym kraju europejskim, w Afryce lub Azji nie przyjmie danego artykułu, a my, a Polak, traktuje go jako przedmiot marzeń. Do czego doszło! Jak źle z wykonaniem na potrzeby krajowe, gdy podaż jest mała i każdy wszystko kupi, nawet buble, chociaż w tym wypadku trzeba nieco pomysłowości.

"Słowo Powszechne" w nr z 16 grudnia 1978 roku martwiło się, że w sklepie obuwniczym "Cizemka" w Bydgoszczy sprzedawane są kalosze wszystkie koloru czerwonego, z tym, że lewe są rozmiaru 35 a prawe 40. Mój znajomy, dla którego kolor nie ma znaczenia, przywiózł sobie owe kalosze, z tym że z przeceny dokupił dodatkowo buty, z których wykorzystuje tylko but prawy. Autentyczne! Ale ma nogi suche i śmieje się, że ja się przeziębieniem a on nie.

Kult rzeczy na eksport przechodzi już dopuszczalną chyba granicę. W telewizji 27 stycznia br. mogliśmy oglądać jak chwalono się wprost, że pieczarki uprawia jakiś zakład tylko na eksport, a na potrzeby krajowe przeznaczony zostaje susz, naturalnie z odpadów. W związku z periodycznym brakiem zapałek w woj. lubelskim Częstochowskie Zakłady Przemysłu Zapałczanego - czytamy w "Kurierze Lubelskim" z 30 stycznia - odpowiedziały co następuje: "Nasze zakłady są nastawione na produkcję eksportową zapałek, która w 1979 roku wzrosła ponownie trzykrotnie w stosunku do roku 1978" - i teraz argumentacja: "dlatego nie przewidujemy w 1979 roku dostaw zapałek z naszych zakładów na rynek lubelski". Odpowiedź przerażająca, obłąd wprost. Produkcja rośnie, ale nie przewidyje się dostaw na rynek. Pomieszczenie materii całkowite.

Dziwić się trudno, że obywatel stojąc w kolejce po mięso także jego niedostatek przypisuje nadmiernemu eksportowi do różnych części naszego globu. Tym bardziej, że w punktach skupu żywca też są kolejki, z tym że sprzedających ten żywiec. Mało zaś kto wie o tym, co stwierdził nasz kolego poseł Wacław Auleytner w swoim ostatnim przemówieniu sejmowym z 21 grudnia 1978. Uzmysłował on nam wówczas, że w pogłowie bydka dorównujemy, a w pogłowie trzody chlewnej przekraczamy np. poziom Republiki Federalnej Niemiec, zajmując 5-te miejsce w świecie. Wytknąć to trzeba jakoś społeczeństwu.

Sprawa kolejna - inflacja. Pieniądz traci coraz szybciej wartość: Z tego zdajemy sobie sprawę. Powstaje drugi pieniądz - waluta wymienialna, tak się ją określa. Coraz powszechniej jest ona w użyciu. Za złotych coraz częściej kupuje się jakościowo mniej wartościowe artykuły. Niech wreszcie pojawi się nowy Grabski - Władysław Grabski - i nada nową rangę naszemu złotemu, tak jak kiedyś przed laty.

Wysoka Izbo!

Ekonomia nasza wymaga śmiałych i konsekwentnych rozwiązań bardziej niż ustaw i potoku rozporządzeń administracyjnych. Społeczeństwo ciągle liczy i wierzy, że ekipa polityczna, która w 1970 roku ujęła ster naszej nawy państwowej potrafi dobrać taki trust mózgow, który wypracuje najważniejsze rozwiązania w dziedzinie ekonomicznej państwa w jego obecnym ustrojowym kształcie.

Autorytet pogrudniowego kierownictwa politycznego, skupionego wokół Pana, Panie I Sekretarzu, jest, wbrew tym, co z prawa i z lewa może chcieliby czegoś odwrotnego, nadal duży, wielki. Stałe wzmacnianie jednak więzi między rządzącymi i rządzonymi mimo istniejących różnic światopoglądowych jest rzeczą ważną dla kraju i narodu. W niemniejszym bowiem stopniu co ustawy i trafne rozwiązania ekonomiczne na życie kraju ma wpływ wrażliwa opinia publiczna. Pisał przed 75 laty Roman Dmowski: "Opinia narodu, jeżeli nie ma być czysto formalną i fikcyjną, nie może się unosić w powietrzu, nie może być myślą od ciała oderwaną, ale musi tkwić korzeniami swymi w samym społeczeństwie, być duchowym

Za znaczny chaos gospodarczy, zaistniały na przełomie ubiegłego roku, przeciętny obywatel czyni odpowiedzialnym jeśli nie rząd to poszczególne ministerstwa - nie zimą, opady śniegu i inne przeciwności atmosfery. Ich i podległym im organom obowiązkiem było zdać sobie sprawę, że nie żyjemy w tropiku i zadbać, żeby w mieszkaniach nie było zimno, żeby nie wystąpiły karygodne zaniedbania w energetyce, komunikacji i dostawach artykułów pierwszej potrzeby. Nie muszą dłużej mówić na ten temat, w Warszawie jeszcze bardziej odczuwano to wszystko niż na prowincji. Ludzi dziwi jednak fakt, i słyszy się to, że za ten stan rzeczy nie poczuł się odpowiedzialny żaden z ministrów i nie zgłosił dymisji. Nic nie wytłumaczy faktu, że nikt nie zareagował, mimo anonsów "Trybuny Ludu" z 12 grudnia i 19 grudnia 1978 roku, że w elektrociepłowniach warszawskich nie ma zapasów węgla, a zaległości w jego dostawach duże w listopadzie - wzrastają nadal. Dlaczego przed ostatnim grudnia sytuacja nie zmieniono radykalnie, czyje tu personalnie zaniedbania weszły w grę. Zrzucenie wszystkiego na nagły atak zimy nie jest przekonujące. W innych krajach ataki zimy są chlebem powszednim. Czy nie można było wcześniej dowiedzieć się jak to w Związku Radzieckim lub w krajach skandynawskich ludzie i władze nie lękają się zimy nawet srogiej? Nie wyciągnięto należytych wniosków również w końcu stycznia, kiedy po chwilowym ociepleniu znova było zimniej. "Kurier Lubelski" doniósł w numerze z 30 stycznia br. pod krzyżującym tytułem "Nie ma soli nawet na drogi główne". Sól w Polsce nie brakowało już za błogosławionej Kingi, a dziś nie ma. Trudne to do zrozumienia.

Tak jak tu narzekać na cenzurę, która taką sensację przepuściła, a narzekać trochę muszę. Przykład: w jednym z lubelskich zakładów kserograficznych pozwolono mi zrobić tylko jedną odbitkę pisma prezydenta miasta do mnie, mimo że do posta, bo treść katolicka - orzekła kierowniczka. Trzeba było ustąpić.

Wysoki Sejmie, nie będę mnożył tych przykładów 2 "dobrej" w cudzyskowie, nago nadgorliwej roboty. Myślę o czym innym. Jak my, posłowie, możemy żądać właściwej produkcji, kiedy wielu artykułów podaż na rynku jest tak mała, że kupuje się wszystko co w danej chwili jest w sprzedaży. Poprawa jakości nie może być bowiem uzyskana w systemie nakazów i sankcji karnych. Odwoływanie się do postaw obywatelskich w kwestii jakości pracy może być skuteczne tylko w ograniczonej skali. Tak długo jak rynek będzie rynkiem producenta a nie konsumenta trudno liczyć na rzeczywistą poprawę jakości.

Problem jakości wyrobów i usług ma ścisły związek z systemem ekonomicznym. Jest elementem sytuacji, którą tworzą obowiązujące zasady gospodarowania, inaczej - reguły gry gospodarczej. Obecny system, chcemy czy nie chcemy, preferuje ilość. Mamy świadomość, że wszystkiego jest za mało, stąd pośpiech, stąd gotowość przyjmowania produktów gorszych aby je tylko można było otrzymać. Jest to łańcuch zależności od producenta podstawowych surowców i materiałów aż do wytwórcy złożonych wyrobów finalnych o wysokim stopniu przetworzenia. Na przykład dzisiaj rano w jednym z kiosków ulicznych kupiłem rarytas - bezbarwną pastę do butów i pudełko z trudem otworzyłem, bo źle wykonane pudełko, aby sprawdzić czy chociaż kolor jest ten sam. Był brązowy. Grzecznie przeprosiłem (ja ekspedientkę - nie ekspedientka mnie) i wymieniono mi pudełko, ale widziałem, że mogła paść odpowiedź, że innej pasty nie ma. Oczywiście jest i podaż duża niektórych produktów, np. luksusowych kalendarzy ściennych, których pełno w sklepach, bo drogie. Nikt ich nie kupuje, ale są produkowane, bo dają duży tzw. przerób planu. A papieru na książki, dziś także na gazety, jest coraz mniej.

Wszyscy wszyscy, lub prawie wszyscy, jak bardzo są u nas poszukiwane wszelkie artykuły z odrzutu eksportowego. Jako prezenty imieninowe,

wyrazem jego istotnych funkcji i życia". W Polsce, w kraju o przewadze ludności katolickiej, nie może poprzestawać tylko na częściowym odczytywaniu opinii publicznej, jeżeli ona ma pozostać nie tą opinią formalną. Ważne również jest to, co czują szerokie rzesze wyrażające opinię społeczeństwa katolickiego. Należy realizować możliwości do spełnienia w naszych konkretnych warunkach jej autentyczne pragnienia.

Wysoki Sejmie!

Cóż powiedzieć o samym tekście przedłożonego nam projektu ustawy? Z pewnością intencje jego autorów były i są jak najlepsze. Sformułowań sporo wniesionych, bo sprawą ważną jest problem jakości wytwarzanych rzeczy. Od tego zależy jakość życia społeczeństwa, zamożność państwa i bogactwo narodu. Większości przepisów ustawy nie da się jednak egzekwować. Są one rzeczywiście oparte na zasadzie "wishful thinking".

Jakości nigdzie, a w naszych warunkach w szczególności - jak starałem się wyżej wykazać - nie zagwarantuje się żadnym aktem normatywnym, nawet najlepszą ustawą, tym bardziej będzie rzeczą krapującą, gdy mimo ustawy powstawać będą złe jakościowo wyroby, wznoszone będą nie najlepiej wykonane i wyposażone budynki. Wpływać to będzie na dewaluację ustawy, a po cóż dewaluować taki akt prawny, jakim jest ustawa? A poza tym prawnicy mówią - już od starożytności - *summum ius summa iniuria*. I to też trzeba chyba wzoąć pod uwagę.

Mechanizmy ekonomiczne powinny to zadziałać i wpłynąć na poprawę jakości wyrobów. A od ich szukania nie my jesteśmy - posłowie. Możemy ich istnienie lub brak w Izbie konstatować - i to czynimy. Jak sprawić, by wyroby stawały się coraz lepsze, to już chyba troska specjalistów, ekspertów, którymi dysponuje rząd. Za dużo nawet powiedziane - to kompetencja poszczególnych ministerstw, których posiadamy chyba niemało. Wiele będzie też zależało od właściwego współdziałania administracji i instytucji gospodarczych z szerokimi kręgami społeczeństwa. Te - należało wierzyć - doświadczenia apele zawarte w uchwalonej dzisiaj przez Sejm ustawie

Lublin, 10 grudnia 1978

The Norwegian Nobel Committee
Oslo
NORWAY

W ubiegłym roku w czerwcu wysłaliśmy pismo, którego odpis załączamy, z prośbą o przyznanie nagrody pokojowej Nobla Kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu, prymasowi Polski.

We wrześniu 1978 r. kard. Wyszyński wraz z kard. Karolem Wojtyłą, obecnym papieżem Janem Pawłem II, złożył wizytę w Republice Federalnej Niemiec, przyczyniając się do głębszego pojednania nie tylko polskich i niemieckich katolików, lecz również obu narodów. Wizyta ta była ogromnie pozytywnie oceniona w RFN, w Polsce i na całym świecie. Sądziemy, że jest to dodatkowy, bardzo ważny argument za słusznością naszego ubiegłorocznego wniosku.

Dlatego upoważnieni przez Senat Akademicki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ponownie przedstawiamy kandydaturę kard. Stefana Wyszyńskiego do pokojowej nagrody Nobla, licząc na uwzględnienie poszerzonej motywacji i przychylnie rozpatrzenie tak ważnej dla całego narodu polskiego sprawy.

Łączymy wyrazy głębokiego poważania.

Rektor
/-/Ks.prof. dr
Mieczysław A. Krapiec

Biskup Lubelski
Wielki Kanclerz KUL
/-/Ks.prof.dr
Bolesław Pylak

W.Szan.Pań Władysław Machejek
Redakcja "Życia Literackiego"
ul.Wiślna 2, 31-007 Kraków

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę wyrazić moje uznanie za odwagę, z jaką Pan Redaktor wykawia skrzętnie i publikuje na łamach "Życia Literackiego" wszelkie negatywne oceny wystąpień papieża Jana Pawła II, niejakiego Karola Wojtyły (aż wstyd powiedzieć: Polaka). Odwaga to zaiste niemała, bo można było z góry przewidzieć, że takie oceny nie wzbudzą entuzjazmu w naszym mało jeszcze oświeconym narodzie. Trzeba jednak odważnie przedstawiać masom rodaków te właśnie z trudem wytropione krytyczne uwagi, wypowiedzi zaś pełne bezkrytycznych pochwał pozostawmy redakcyjnej prasie burżuazyjnej klakę papieżowi niech sobie urządza np. w Meksyku tamtejszy "kapitał i konserwatywne koła kościelne", jak to formuluje postępowy korespondent TANJUGA, cytowany w Waszej rubryce "Prasówki zagraniczne" (Życie Lit. nr 6/1411).

Taka fascynacja osobowością papieża i wszystkim, co głosi (opium dla mas!), może dobre jest dla ciemnych Indian i nieświadomych robotników meksykańskich, ale nie dla nas na ekstrakcie marksizmu i krótkim kursie "Historii WKP(b)" kształconych. A poza tym musimy być czujni! Papież już dzisiaj w swoich wystąpieniach ingeruje w sprawy wewnętrzne Meksyku; kto nam zaręczy, że jutro nie zechce ingerować także w nasze najwewnętrzniejsze sprawy obozu socjalistycznego, że nie wyśle oddziału interwencyjnego swych szwajcarskich halabardników do Czechosłowacji czy Węgier?

Pogróżki i wymysły przysyłane przez "stałych czytelników" trzeba po bohaterku znosić, ale nie należy się nimi zbyt przejmować. To jacyś sami prostaczkowie ci Pańscy czytelnicy, skoro za całe argumenty (wg słów Pana) starczą im obietnice poliezienia się z Wami i większego "tłuczenia". Obietniczki czerunki. My wiemy przecież, że u nas tłucze się owsem rozmaitych Kisielewskich, Bardeckich, Michników, Switoniów i im podobnych mięczaków, ale nie odważnych dziennikarzy. A odwaga Pańska, znana nam nie od dziś, równa jest co najmniej odwadze poselskiej, jako że ostatnio "Sejm wziął odważny temat na swoją wokandę /... o poprawie jakości wyrobów", jak nas informujecie.

Obawiam się tylko, żeby Pan Redaktor w zbyt zapale nie zaczął krytykować innych wielkich osobistości świata tego, żeby nie zaczął cytować negatywnych opinii o Przywódcach naszego narodu, albo nawet o samym Wodzu międzynarodowego proletariatu.

Ze słowami uznania i zachęty do dalszej owocnej pracy

Niestęły czytelnik J.Z.

PS. Waszym "stałym czytelnikiem" radziłbym kiedyś hurtem odpowiedzieć znanym przysłowiem: "Pies szczeka, a karawana idzie dalej"!

Kraków, dnia 8 lutego 1979 r.

o. Ludwik M. Wiśniewski OP

Lublin, 7.03.1979

O ś w i a d c z e n i e

Dnia 1 marca b.r. Służba Bezpieczeństwa osadziła na 48 godzin w areszcie lubelskim Macieja Rayzachera, aktora przybyłego do Lublina z Warszawy, na zaproszenie naszego ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego. Maciej Rayzacher zaproszony został z recytacjami poezji Czesława Miłosza oraz z wieczorem dla uczczenia 60-tej rocznicy odzyskania Niepodległości. W areszcie skonfiskowano mu, odmawiając przekazania protokołu konfiskaty, taśmy magnetofonowe z recytacjami poezji Miłosza, taśmę z głosami twórców Niepodległej Polski, oraz taśmę przeznaczoną dla niewidomych w Lublinie - z nagraniem Ewangelii wg św. Marka.

Podając do publicznej wiadomości ten jeszcze jeden fakt niepraworządności w naszym kraju, pragnę równocześnie oświadczyć:

Od wielu miesięcy Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego, który prowadzę, jest przedmiotem szczególnych, często brutalnych ataków. Był moment, kiedy niegodziwie próbowano zniszczyć moje dobre imię. Czyniono wszystko, aby odstraszyć młodzież od uczestnictwa w spotkaniach organizowanych przez Duszpasterstwo. Całymi godzinami i dniami pracownicy SB ostentacyjnie wystawali przed kościołem na Złotej, aby pokazać wchodzącym, że miejsce do którego się udają jest na "cenzurowanym". Robiono także zdjęcia przybywającym na spotkania. Masowo wzywano uczestników spotkań na "rozmowy" i straszono konsekwencjami na Uczelniach. Zainstalowano podsłuch w lokalu Duszpasterstwa. Straszono rodziców uczestników spotkań. Rozsiewano kłamliwe wieści o pracy ośrodka. Fabrykowano oszczerstwa, które komunikowano - zaangażowany w to został nawet Szef Urzędu do Spraw Wyznań - Przełożonym Zakonu i Hierarchii Kościoła.

Zamknięcie w areszcie zaproszonego do nas prelegenta jest kolejnym epizodem niszczenia pracy Ośrodka i odstraszania od niego studentów. Czas byłoby zrozumieć, że takie akty szkodzą przede wszystkim tym, którzy je sankcjonują.

Wobec ponawianych oskarżeń, że ja sam prowadzę działalność polityczną i takąż działalność prowadzi Ośrodek, w którym jestem duszpasterzem, pragnę z całą stanowczością i z całą odpowiedzialnością temu zaprzeczyć. Dobrze znam granicę, na której kończą się zadania instytucji religijnej, a rozpoczynają zadania instytucji politycznej. Granicy tej nigdy nie przekroczyłem.

Ci, którzy takie i podobne oskarżenia podnoszą, nie wiedzą, albo udają że nie wiedzą, czym jest religia. Świadczenie i wychowywanie do odważnego świadczenia o najwyższych wartościach, spieszenie z pomocą pokrzywdzonym i pohańbionym, kultywowanie najlepszych Tradycji chrześcijańskich i ludzkich naszej wspólnej Rodziny-Ojczyzny, jest przedłużeniem sakramentalnego uobecniania życia i działalności Chrystusa i należy do istotnych zadań Kościoła.

Wszyscy, którzy swe siły oddali na walkę z Kościołem i z polską, katolicką i wolnościową Tradycją, winni pamiętać, że to właśnie dzięki Kościołowi - wciąż uczącemu za Chrystusem, że nikogo nie wolno nienawidzić - oni sami uważani są i traktowani przez społeczeństwo,

CYBERNETYCZNE 60-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI

Latem 1978 roku ukazała się książeczka Józefa Kosseckiego "Tajemnice mafii politycznych", Warszawa 1978 ISKRY. Dziwna to zaiste publikacja, zważywszy zwłaszcza okres (może raczej czas) w jakim została wydana. O cóż chodzi w tej popularnej, jak pisze we wstępie autor, książce? Głównym celem jest udowodnienie niesamodzielnosci poczynan polityków w Polsce przedwrzesniowej. Jednak, by nie sprowadzać zdecydowanego oporu wobec swoich tez i wątpliwych dowodów, Kossecki zrećcznie lub nie (zależnie od czytelnika) obudowuje sugestie dotyczące Polski uwagami na temat mafii politycznych w innych krajach. Usiłuje też umotywowac fakt omówienia tych problemów jedynie do roku 1939. Otóż powiada, że tajność materiałów źródłowych nie pozwala na objęcie badaniami czasów najnowszych. Dlaczego tak się dzieje możemy jedynie przypuszczać. W archiwach MSW znajdują się akta wielu spraw nie wyjaśnionych bądź zatuszowanych, o których lepiej by opinia publiczna nie wiedziała. Znany jest fakt przetrzymywania w tymże ministerstwie ZSRR, aż do dziś akt dekabrystów rosyjskich z nadrukiem "nigdy nie niszczyć". Sądzić wypada, że i późniejsze akta noszą taką adnotację. Skusnie pisze Kossecki, że nikt nie chce udostępnić ich w obawie przed odkryciem powiązań z dzisiejszymi praktykami tajnego sterowania politycznego. Dlaczego jednak ogranicza się w tym stwierdzeniu do państw kapitalistycznych pozostaje tajemnicą Poliszynela.

Powołując się często gesto na swoje poprzednie "cybernetyczne" publikacje, niestrawne dla przeciętnego odbiorcy, daje nam do rąk książeczkę popularną, przeznaczoną dla takiego czytelnika właśnie. W takim postępowaniu istnieje metoda. Metoda robienia wody z mózgu.

W rozdziale "Tajne sterowanie policyjne" pisze tylko Kossecki o krajach zachodnich i Rosji carskiej. Dlaczego? Czy rewolucja, której rzekomo Polska zawdzięcza niepodległość, nie przejęła agentów, tajnych służb, a nawet struktury organizacyjnej policji carskiej i jej metod? Kto widzi i słyszy odpowie na to pytanie bez trudu. Dlaczego po dojściu do władzy bolszewików tajne archiwum pozabawione zostało całego dossier Lenina i pozostałych? Nie miejsce tu jednak na dywagacje na temat roli Lenina. Interesować nas powinna sprawa polska ukazana w krzywym zwierciadle historii współczesnej popartym cybernetyką.

Dziwne skojarzenia mogą się narzucać po przeczytaniu takich passusów jak na stronie 80 i 82 wspomnianej pracy:

"/.../ problem, który stoi przed ośrodkami rządzącymi w społeczeństwach sterowanych w interesie mniejszości wbrew interesom większości, to wykruszanie się zdolniejszych i bardziej ideowych elementów z szeregów partii rządzących, spowodowane z jednej strony zrozumieniem biegu procesów dziejowych, które trudno powstrzymać, a z drugiej strony motywami etyczno-ideologicznymi, skłaniającymi do obrony interesów wyzyskiwanej i uciskanej większości społeczeństwa. Procesom tym przeciwdziała programowanie etyczno-ideologiczne zarówno w szkołach, jak i w partiach politycznych broniących danego ustroju, ale w stosunku do jednostek zdolniejszych i bardziej krytycznych (a takie stanowią najbardziej wartościowy materiał na kadre rządzącą państwem) jest ono często mało skuteczne, gdyż fakt, że te oficjalne instytucje bronią interesów klas panujących, nie może być tajemnicą dla ludzi myślących i bardziej krytycznych."

Na stronie 93 spotykamy interesujące stwierdzenia dotyczące uzasadnienia polityki ekspansji. Dziwną wydaje się również krytyka wolnomularstwa lansowana w początkach ZSRR. "Po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji Październikowej problem stosunku ruchu komunistycznego do wolnomular-

stwa podjęty został bardzo ostro. Na terenie Rosji Radzieckiej loże wolnomularskie jako organizacje burżuazyjne zostały zakazane już na początku 1918 r. Sprawą tą zajął się IV Kongres Międzynarodówki Komunistycznej w 1922 r." ZSRR likwidując loże, zapożyczył jednak hymn masonowski (dzisiejsza Międzynarodówka). Likwidacja loż wiąże się ściśle z powstaniem organizacji, która była tylko popłuczynami po wolnomularstwie. Chodzi nam oczywiście o Międzynarodówkę Komunistyczną.

Poglądy Kosseckiego do tej pory wątpliwe czy kontrowersyjne stają się nie do przyjęcia w rozdziale "Tajne stowarzyszenia burżuazyjne w Polsce". Upraszcza on sprawę naginając fakty do metody, jaką się posługuje oraz do celów, jakim służyć ma ta publikacja. Teoria przemożnego wpływu masonerii na wszystko, co się w Polsce działo odmawia automatycznie inicjatywy Piłsudskiemu, a nawet wręcz sugeruje jego marionetkowość. Jakieś rzekomo prowadzone przez masonów sondaże przesądziły wybór Marszałka na przywódcę przewrotu majowego. Obojętne jak będziemy oceniali sam fakt przewrotu, wydaje się jednak, że sugestia, iż poczyny Piłsudskiego były inspirowane z zewnątrz, jest co najmniej nie na miejscu, zwłaszcza że w dalszej części wywodu Kossecki stwierdza, że Piłsudski "nie pretendował do roli narzędzia w ręku liberalnych inteligentów z loż wolnomularskich". Chęć odbrazowania Piłsudskiego jest silniejsza jednak niż zdrowy rozsądek. Barwna historyjka o wyrzuceniu posłów komunistycznych z parlamentu (nb. krzyczących: "Precz z faszystowskim rządem Piłsudskiego") przytoczona za Sławojem-Składkowskim, rzuca światło na stanowisko Kosseckiego i jego dzisiejsze koneksje polityczne. Ważne w tej sytuacji wydają się zdania kończące sugestie na temat stosunków w Polsce przedwrzesniowej. Autor "cybernetycznego obrazu Europy do roku 1939" twierdzi, że wielu członków "tych tajnych stowarzyszeń próbowało po wojnie walczyć z władzą ludową. Można ich było znaleźć zarówno w szeregach podziemia, które działało w kraju, jak też w różnych emigracyjnych reakcyjnych ugrupowaniach. Byli tacy, którzy próbowali infiltrować ludowy aparat władzy. Ale ostatecznie w państwie socjalistycznym burżuazyjne stowarzyszenia nie miały już żadnych szans objęcia władzy. Koło historii toczy się naprzód, a działania tajnych związków nie mogą go zatrzymać."

Ponieważ nie udało się Kosseckiemu udowodnić wpływów masonerii na obóz Piłsudskiego (szczęście, że sam to zauważył), próbuje dowieść zależności polskiej polityki od Anglii. Sięga aż do wieku XVIII i przy okazji poddaje w wątpliwość polskość Konstytucji 3-go Maja. Miał to być rzekomo wynik machinacji angielskich. "Za pomocą analizy cybernetycznej społecznej można wykazać, że ze strony Anglii w stosunku do Polski miało w tym wypadku miejsce klasyczne podwójne tajne sterowanie. Ze względu na popularny charakter niniejszej publikacji nie będziemy przytaczać procedury dowodowej."

Właśnie popularny charakter "pracy" Kosseckiego stanowi tarczę przed zarzutami o mętność i tendencyjność. Błędy, które legły u podstaw tej książeczki popełniono celowo. Na rękę to "ludowej władzy", która pod przymusem obeszła niedawno 60-lecie odzyskania niepodległości, a takie publikacje sugerują, że wolna Polska ma dopiero 34 (!) lata. Kto chce niech wierzy, ale czy opublikowanie "Tajemnic mafii politycznych" nie dowodzi istnienia tajnego sterowania politycznego w PRL? Oczywiście nie Anglia jest teraz jego motorem. Zmieniły się teraz kierunki i w ogóle jest inaczej, lepiej. Prawda?

Stefan Szaciłowski

F A K T Y
W Y D A R Z E N I A
O P I N I E

W dniu 13.XII.1978 r. w sali Instituto Beato Angelico przy piazza della Minerva w Rzymie z inicjatywy Ośrodka Kulturalnego "Incontri della Rotunda" odbyło się spotkanie na temat: Polska chrześcijańska - Kościół, który mówi. Współorganizatorem spotkania była redakcja czasopisma "Prospettive nel Mondo".

Głównymi mówcami byli: O.Bartolomeo Sorge SJ, redaktor naczelny "La Civiltà Cattolica", bp Szczepan Wesoly, zastępca Delegata Prymasa Polski do spraw duszpasterstwa emigracji oraz dr Dominik Morawski, rzymski korespondent paryskiego miesięcznika "Kultura". Zebranie otworyż, a potem zamknął obszerną dyskusję, Antonio Marzotto Castorta, poseł Chrześcijańskiej Demokracji i przewodniczący Komitetu Kierowniczego Ośrodka "Incontri della Rotunda". Ośrodek ten, zwany również "Chrześcijaństwo i zaangażowanie polityczne" ("Cristiani e impegno politico"), zrzesza deputowanych i senatorów chadeckich oraz intelektualistów katolickich. Na zebraniu była obecna grupa posłów Demokracji Chrześcijańskiej (mimo odbywającego się o tej samej porze w parlamencie ważnego głosowania nad przystąpieniem Włoch do europejskiego systemu monetarnego). Było kilku członków Rady Naczelnej Chadeckiej, profesorowie, dziennikarze, intelektualiści, reprezentanci emigracji polskiej w Rzymie. Przej główni mówcy spotkania wypełnili znakomicie zadania postawione przez organizatorów, ukazując szczególną sytuację Kościoła w Polsce, która uformowała w znacznej mierze osobowość nowego Papieża i która budzi ogromne zainteresowanie w społeczeństwie włoskim.

Fil.

14 stycznia odbył się tradycyjny opłatek lubelskiego środowiska niewidomych. Po Mszy św. odprawionej przez ks. biskupa Bolesława Pylaka w kościele przy ul. Zielonej niewidomi spotkali się z ks. biskupem i swoim duszpasterzem, księdzem Starnawskim. Było około 60 osób. Ksiądz biskup B.Pylak w życzeniach przekazanych niewidomym nawiązał do ubiegłorocznych wydarzeń w Spółdzielni Inwalidów Niewidomych im. Modesta Sętkowskiego. Zapewnił ich o swojej modlitwie i czynnym poparciu żądań nadawania przez radiowęzeł zakładowy audycji o treściach religijnych.

W dniu 30.III.1979 r. w Londynie zmarł Zbigniew Stypułkowski, adwokat, były poseł na Sejm R.P., jeden z przywódców polskiego podziemia skazany w "procesie 16-tu". Działalność polityczną na emigracji rozpoczął w 1945 roku. W latach 1959-70 był rzecznikiem interesów Wolnej Polski w USA z ramienia Zjednoczenia Narodowego. Napisał "Zaproszenie do Moskwy" - książkę na temat metod śledczych NKWD mającą 13 wydań w różnych językach.

NOWE FORMY INWIGILACJI OBYWATELI

Wśród nowych "metod" do jakich ostatnio uciekają się organa resortu spraw wewnętrznych w "węszeniu nieprawomyślności" zaliczyć należy tzw. komisje profilaktyki społecznej, a zwłaszcza ich sekcje do zwalczania tzw. "pasożytnictwa społecznego". Wiadomo, że w systemie totalitarnym, każdy bardziej niezależny obywatel może być zakwalifikowany do takiej kategorii. Geneza tych "sekcji" jest dość krótka, ale znamienita. Już w okresie VII Zjazdu PZPR (grudzień 1975 r.) zwolennicy "twardej ręki" dawali znać o sobie - toteż pierwsze wytyczne KG MO w tej sprawie pochodzą właśnie z tego okresu. Sprawa "odżyża" po wypadkach czerwcowych w roku 1976. IV Plenum KC PZPR, obradujące w miesiącu wrześniu 1976 r. postanowiło, jak zadanie pierwszoplanowe wzmocnienie tzw. pracy ideowo-wychowawczej w osiedlach i dużych skupiskach mieszkaniowych. W ślad za tym poszły wytyczne "w teren". Jedne z dostępnych wytycznych powiadają wprost, że celem tych sekcji jest zwalczanie "plotek i demagogicznych wystąpień" wśród ludności. Chodzi o to, aby wszystkie objawy społecznego protestu były w zarodku tłumione i sygnalizowane.

Model organizacyjny takiej "sekcji" jest dość prosty, aczkolwiek zakłada kilka "wariantów". Chodzi o to, aby nie wzbudzając podejrzeń wśród kolegów, sąsiadów, czy znajomych prowadzić zakrojona na szeroką skalę akcję donosów. Sekcje te mają być tworzone przy komitetach osiedlowych (jedna sekcja na 2 do 3, czasem do 5 tys. mieszkańców). Komendantem takiej sekcji ma być zazwyczaj emerytowany pracownik organów bezpieczeństwa, czy były zawodowy wojskowy. "Rekomendacji" udziela mu jednostka MO w danej miejscowości przy akceptacji miejscowej instancji partyjnej. Dla zmylenia opinii publicznej sekcje te mają działać pod egidą PZP. Sekcja składa się z kilku zaufanych osób, ściśle ze sobą współpracujących oraz utrzymujących stały kontakt z resortem spraw wewnętrznych. Współpracuje ona z osiedlową organizacją partyjną i miejscową jednostką ORMO.

Komendant sekcji posiada "notes" - wypełniany według specjalnej ankiety. Pytania są tak ułożone, że teoretycznie każdy obywatel może być uznany za podejrzanego pasożyta. Oto niektóre z pytań: jakie zainteresowania osobiste wykazuje dany obywatel, z kim utrzymuje kontakty towarzyskie - i inne stanowiące bezprawną ingerencję w sferę życia osobistego jednostki. "Notesy" te i czynione w nich zapiski stanowią mają materiał ściśle poufny, do wykorzystania w każdej chwili w wiadomych celach. Łatwo można sobie wyobrazić działalność takich sekcji w sytuacjach kryzysowych. Autorytetnych pasożytów społecznych jest u nas tylko najwyżej jeden procent ogółu ludności.

Oficjalne środki masowego przekazu zachowują podejrzaną dyskrecję w tej sprawie. Z niepełnych relacji wynika jednak, że w notesach tych widnieją już nazwiska ok. 20 tys. obywateli. Ile z nich jest rzeczywiście pasożytami?

Cała akcja nabrała - na odgórne polecenie - rozmachu wiosną ubiegłego roku, w okresie kampanii wyborczej do ogniw samorządu mieszkańców. Należy jednak sądzić z doświadczeń kilku miesięcy, że nawet wśród byłych pracowników "aparatu" brak jest chętnych do tej funkcji, w obawie przed kompromitacją w oczach sąsiadów i znajomych.

Chodzi po prostu o to, aby wzorem metod średniowiecza, oskarżycielami byli "ludzie z sąsiedztwa" wzajemnie się znający. Jednak mit o rzekomej współpracy ludności z organami przymusu w warunkach rzekomego braku sprzeczności ma to do siebie, że bardzo często obraca się przeciw inicjatorom podobnych przedsięwzięć.

Najlepszą bronią obywateli - zapewne i w tym przypadku okaże się godna postawa, solidarność i odwaga poszczególnych środowisk.

W wielu miejscowościach na terenie całego kraju, w różnych województwach prowadzi się niespotykaną dotychczas akcją, polegającą na sprawdzaniu strychów i piwnic w prywatnych domach pod pozorem troski o stan sanitarny i przeciwpożarowy. Pomijając, że panujący system zawiera permanentne cechy "akcyjności" - owa "troska" budzić musi podejrzenie. Z prawnego punktu widzenia - tylko organ wyposażony w podstawowe kompetencje /w zasadzie tylko sąd albo prokurator/ mogą nakazywać takiego "przeszukania" pomieszczeń i to w sytuacji, gdzie istnieje realne podejrzenie dokonania przestępstwa. Inne tzw. społeczne komisje uprawnień takich nie posiadają, co stanowi niedopuszczalne naruszenie nietykalności mieszkania. Chodzi najwidoczniej o to, by przy "okazji" takiej akcji "ujawnić" obywateli, prowadzących różne, bardziej niekonwencjonalne formy działalności...

----- 0 -----

W ostatnim okresie czasu w sklepach papierniczych na terenie wielu miejscowości daje się zauważyć dotkliwy brak papieru. Nie chodzi tutaj wcale o towary reglamentowane, jak np. akcesoria do powielania. Trudności z nabyciem różnych gatunków papieru posiadają także liczne instytucje państwowe i społeczne. Twierdzenia prasy o chronicznym deficycie nie mogą w pełni tłumaczyć tych zastanawiających braków. Szczególne kłopoty występują z nabyciem papieru przebitkowego, na którym można napisać na maszynie większą ilość egzemplarzy. W tym świetle owe "sterowane braki" wydają się bardziej zrozumiałe...

----- 0 -----

W poprzednich numerach "SPOTKAN" informowaliśmy czytelników dosyć szczegółowo o represjach, jakie spadły na środowisko niewidomych w Lublinie, za to, że osmielili się nadać przez radiowęzeł zakładowy audycję o bł. Maksymilianie Kolbie. Wysłali oni szereg żądań pod adresem zarządu spółdzielni, dotyczących funkcjonowania radiowęzła. Na postulaty czytania przez tenże artykułów o treści religijnej władze odpowiedziały ostatnio serią publikacji o charakterze jawnie antyreligijnym.

W związku z tym, że na terenie spółdzielni uniemożliwiono niewidomym w praktyce prowadzenia jakiejkolwiek działalności od stycznia br. zaczęli oni organizować cykliczne spotkania w swoich mieszkaniach. Do chwili zamknięcia tego numeru odbyło się pięć takich spotkań. Dwa razy wystąpił Zdzisław Bradel, red. "SPOTKAN" - mówił o sytuacji Polaków w ZSRR, następnie zaś o "SPOTKANIACH"; Ks. Zbigniew Starnawski, duszpasterz niewidomych w Lublinie, przedstawił tysiącletnie związki Polski ze Stolicą Apostolską; Kazimierz Switon, tuż po wyjściu z więzienia podzielił się refleksjami na temat swojej działalności; Ojciec Ludwik Wiśniewski, dominikanin, rozwinął temat "Chrześcijaństwo wobec walki o sprawiedliwość". Każdorazowo po wypowiedziach prelegentów wywiązywała się dyskusja. W spotkaniach bierze udział około 20 osób, pracowników lubelskiej spółdzielni niewidomych.

----- 0 -----

W dniach od 10 do 14 lutego br. w jednostce wojskowej oznaczonej kryptonimem 44-46, a stacjonującej w Brzegu Opolskim, odbyła się protestacyjna głódówka. Owa jednostka wojskowa jest jedną z dwu jednostek do których wcieleni są alumni z seminariów duchownych /patrz "GŁOS" nr 10 z r. ubiegłego/. Bezpośrednią przyczyną tej głódówki, w której brali udział wszyscy żołnierze-klerycy, były nowe szykany wypływające ze strony dowództwa. Bowiem mimo "odwilży" w stosunku do Kościoła, spowodowanej wyborem Jana Pawła II, władze

wojskowe nie tylko nie złagodziły swoich metod, ale je jeszcze bardziej zaostrzyły m.in. uniemożliwiły kolportaż prasy katolickiej na terenie Koszar oraz zlikwidowały tzw. biblioteczkę literatury własnej, w której żołnierze alumnii przechowywali swoje książki religijne i skrypty. Szczególnie brutalną postawą w czasie tego incydentu odznaczyli się: dowódca jednostki, ppik B. Mosoń oraz jego następcy do spraw politycznych - mjr J. Gąsikowski i kpt E. Wojdyło. Głódówka zamknięta została dopiero wywiezieniem wszystkich kleryków na karny poligon w lasy żagańskie. W kilkunastoletniej historii tej jednostki jest to już szósta akcja protestacyjna tego typu.

B E Z C E N Z U R Y

POLSKI RUCH WYDAWNICZY NA ZACHODZIE

W latach powojennych powstało na emigracji szereg wydawnictw polskich, które zmagają się z poważnymi trudnościami materialnymi starały się utrzymać niezależny ruch wydawniczy i umożliwić ukazywanie się tych pozycji, które w kraju ukazać się nie mogły.

Kilka z nich przetrwało po dzień dzisiejszy, więc zasłużony d. kultury polskiej Instytut Literacki w Paryżu, także paryska "Libella", Katolicki Ośrodek Wydawniczy "Veritas" w Londynie, "Gryf", "Oficyna Poetów i Malarzy" i inne.

Stopniowo jednak zaczęły pojawiać się nowe wydawnictwa, które starają się jak mogą zaspokajać potrzeby czytelników zarówno na emigracji jak i po części w kraju, dokąd przecieka coraz więcej książek z Zachodu. Niektóre z nich nastawione są w głównej mierze na zaspokojenie potrzeb krajowych, choć przekazywanie książek do Polski stanowi olbrzymie obciążenie finansowe dla wydawnictwa. Firmy takie jak "Aneks", "Odnowa", "Polonia Book Foundation" czy "Veritas" kalkulują ceny swoich wydawnictw w ten sposób, by pokryć niedobory na skutek przekazywania części nakładu bezpłatnie czytelnikom krajowym. Niektóre księgarnie i wydawnictwa polskie na Zachodzie prowadzą również wymianę książek emigracyjnych na pozycje wydane w kraju, co niejednokrotnie ułatwia nabycie pożądanej książki turystyce krajowemu nie posiadającemu dostatecznych sum w dewizach.

/P.X./

20-LECIE WYDAWNICTWA POLONIA BOOK FOUNDATION

W tym roku 20 rocznicę istnienia obchodzi firma Polonia Book Foundation w Londynie. Jej założycielem i dyrektorem jest Andrzej Stypułkowski /syn Zbigniewa Stypułkowskiego, jednego ze skazanych w procesie szesnastu w Moskwie/. Firma ta wydała już ponad 50 pozycji książkowych, wśród których ukazało się kilka "bestsellerów" tak jak np. książka Zbigniewa Brzezińskiego, przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych pt. "Europa bez podziału", wspólna opowieść Nadzieży Mandelsztam /żony Osipa/ o terrorze stalinowskim pt. "Nadzieja beznadziejności", czy znakomity pamiętnik Aleksandra Wata /z przedmową Czesława Miłosza/ pt. "Mój wiek". W planach wydawniczych na najbliższy okres znajduje się nie wydana w kraju powieść Jerzego Andrzejewskiego pt. "Miazga", "Dziennik 1954" Leopolda Tyrmanda, "Powrót do Kraju" Wiktora Woroszyńskiego, "Detente" Leopolda Łabędzia i inne.

Z okazji tego jubileuszu należy życzyć dyrektorowi Polonii 100 lat, no i oczywiście znacznej ilości wydawanych książek, które oby w jeszcze większych ilościach docierały do "głodnych" i zawsze wdzięcznych czytelników krajowych. " "

/P.X./

Jan Nowak - "Kurier z Warszawy

W końcu 1978 roku ukazała się nakładem wydawnictwa "Odnova" w Londynie książka Jana Nowaka /Zdzisław Jeziorański/ p.t. Kurier z Warszawy ss 536. Bez wahania można powiedzieć, że jest to jedno z najciekawszych świadectw, dotyczących historii polskich zmagania wojennych w latach 1939 - 1945. Pamiętnik ten jest hołdem złożonym poległym i zapomnianym żołnierzom Armii Krajowej i zarazem pamięci tych, którzy torturowani i męczeni nie zdradzili kolegów, płacąc za to najwyższą cenę własnego życia.

Autor, wychowanek Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Warszawie, był w chwili wybuchu wojny asystentem przy katedrze ekonomii prof. Edwarda Taylora na Uniwersytecie w Poznaniu. Powołany do wojska, dostał się do niewoli niemieckiej, skąd uciekł po kilku dniach. Jako żołnierz AK brał udział w wojnie psychologicznej, przeciwko okupantowi. Organizował w ramach akcji "N" sieć kolportażu bibuły dywersyjnej w języku niemieckim. W latach 1943 - 45 jako kurier, później emisariusz, odbył w obu kierunkach pięć wypraw, kursując początkowo między Warszawą i Sztokholmem, a następnie między Warszawą a Londynem. Był on pierwszym uczestnikiem powstania i wysłannikiem dowódcy AK gen. Bora-Komorowskiego, który przedostał się po powstaniu do Londynu. Pozycja emisariusza ułatwiła autorowi kontakt z najwybitniejszymi postaciami politycznymi i wojskowymi, zarówno polskimi jak i angielskimi, m.in. Sosnkowskim, Raczkiewiczem, Churchillem i Edenem.

Pozwoliło mu to z bliska obserwować tragedię Polski, oddanej pod wpływ Z.S.R.R., obojętność aliantów, z jednej strony oraz nadzieję i wiarę walczącego narodu w Zachód.

Na zakończenie warto przytoczyć kilka zdań z przedmowy ambasadora E. Raczyńskiego. "Pamiętnik Jana Nowaka należy bezwzględnie do tych, których przeoczyć nie wolno... Dotyczy spraw dla każdego Polaka najistotniejszych... jest napisany z talentem, który pozwolił autorowi odtworzyć w sposób uderzający atmosferę opisywanych wydarzeń... Swoje przeżycia wojenne przytacza kolejne jako przyczynek do wspaniałej epopei Armii Krajowej..." " "

/P.X./

17 sierpnia 1979 r. używa się imienia Wojciecha Korfante-
tego, nieustraszonego bojownika o wolność Śląska. Ze zgonem zakoń-
czył się jego dramata życiowy, ale nie zakończył się historyczny
rozrachunek z krzywdą, jakiej nie doznał żaden z wielkich Polaków
dwudziestolecia.

Jego to była rola decydująca w odrodzeniu narodowym i poli-
tycznym ludu śląskiego; On to był pierwszy poseł polski ze
Śląska (1903 r.); torował ludowi śląskiemu drogę do Polski i walczył
o jego wyzwolenie społeczne, a w mowie wygłoszonej w parlamencie
niemieckim (25.X.1918 r.) zapowiedział powrót do Kaciorzy Górnego
Śląska, Wielkopolski, Pomorza, Prus; On był jednym z organizatorów
powstania wielkopolskiego i stał na czele III powstania śląskiego
jako jego dyktator.

W dwudziestolecie niepodległego Państwa Polskiego stanął na
czele chrześcijańskiego ruchu demokratycznego, zawsze wierny
Kościołowi i katolicyzmowi, czynny jako poseł i senator, obrońca
małżeństwa, walczący o demokratyczny rozwój państwa w oparciu
o zasady moralności chrześcijańskiej.

Mimo wielkich zasług dla Polski, po zamachu majowym zwalczany
wszelkimi możliwymi środkami, obdzierany ze czci i honoru, więziony
w Brześciu, który stanął się złowieszczym wspomnieniem, bez wyto-
czenia procesu, ale nie zwyciężony choć zmuszony do opuszczenia
kraju (1935 r.) i przebywania na emigracji.

Wobec narastającej groźby wojny, przed którą od wielu lat
przestrzegał władze rządzące państwem - wrócił do kraju, w prześ-
wiadczeniu, że tam jest jego miejsce, gdy Ojczyźnie grozi nie bez-
pieczeństwo. Opuszcza Paryż 27 IV.1939 r., przybywa do Polski,
w dniu następnym zostaje aresztowany, przewieziony do Warszawy i
osadzony w więzieniu.

Zwznieiony po 87 dniach jest już zwiną człowieka. Z miłością
zwracał się - umierając - do ludu śląskiego, przebaczał, jako
chrześcijanin, wroga i przeciwnika, polecając w testamentie:
"Wypowiadam garącą prośbę do ludu śląskiego, by został wierny za-
sadom chrześcijańskim i swemu przywiązaniu do Polski, by nie
ustawał w pracy i poświęceniu, aby z Polski zrobić taką Polskę,
jaka jest godna naszych marzeń, Polskę wielką, mocarstwową, Polskę
katolicką, praworządną, zawsze sprawiedliwą."

Apelujemy o uczczenie pamięci Wojciecha Korfante-
kiego, którzy chcą i mogą to uczynić. Przede wszystkim do Księżąt
Biskupów, do Episkopatu, aby cała Polska katolicka w uroczystych
nabożeństwach oddała Mu cześć, uznanie i złożyła hołd za wszystko
co dla Narodu i Kościoła uczynił.

Sądzimy, że uczci pamięć Wielkiego Polaka i wiernego Syna
Kościoła katolickiego prasa katolicka i wszystkie ośrodki katolic-
kie w kraju i poza jego granicami.

Stefan Kaczorowski, Władysław Siza-Nowicki,

Konstanty Turowski;

_ _ _ S P I S T R E Ś C I _ _ _

Ks. Stanisław Małkowski	- Homilia wygłoszona w czasie Mszy św. żałobnej za ś.p. tragicznie zmarłych wskutek wybuchu w rotundzie PKO, Warszawa sobota 17.II.1979	1
Ks. Józef Tischner	- Wam nie wolno nie rozumieć	2
Zdzisław Bradel	- Rozważania ewangeliczne	6

K O Ś C I O Ł W P O L S C E

Tadeusz Mazowiecki	- Zadania inteligencji katolickiej w Polsce wobec wyboru Jana Pawła II /referat wygłoszony na Walnym Zebraniu MK w Warszawie 1.IV.1979/	8
Ks. Stanisław Małkowski	- Sprawa przerywania ciąży w Sejmie	16
Jerzy Adam Marszałkiewicz	- Mój pogląd na tragiczny los ludzi bezdomnych w Polsce	19
X.X.	- Etyka ludzi nauki	24
Rusycysta	- Czy rusycystyka może służyć ewangelizacji?	34

W 60 ROCZNICE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ryszard Wojdaliński	- Jeszcze o powstaniu Tymczasowego Rządu Ludowego /7.XI.1918/	40
Karol Popiel	- Fragmenty wspomnień	50
Aleksander Sołżenicyn	- Różniór świata /National Review 7.VI.1978/ .	76

DOKUMENTACJA

Przemówienie posła Ryszarda Bendersa wygłoszone w debacie nad projektem ustaw o jakości wyrobów, usług, robót, obiektów budowlanych z 8.II.79 r ...	86
O pokojową Nagrodę Nobla dla Prymasa Polski	89
Do Pana Redaktora Władysława Machejka	90
Oświadczenie O.Ludwika M.Wiśniewskiego OP z 7.III.1979	91
Redakcja "Spotkań" do Jacka Kuronia	92
Stefan Szaciłowski - Cybernetyczne 60-lecie niepodległości	93

F A K T Y W Y D A R Z E N I A O P I N I E

¶11 - Spotkanie w Rzymie na temat: Polska chrześcijańska - Kościół, który mówi /95/. Opłatek niewidomych w Lublinie /95/. Komunikat o śmierci Zbigniewa Stypułkowskiego /95/. Nowe formy inwigilacji obywateli /96/. Akcja sprawdzania strychów i piwnic /97/. Brak papieru /97/. Spotkania u niewidomych w Lublinie /97/. Protestacyjna głódówka żołnierzy kleryków /97/.

B E Z C E N Z U R Y

P.X. - Polski ruch wydawniczy na Zachodzie /98/. P.X. - Jan Nowak & "Kurjer z Warszawy" 99/.

Stefan Kaczorowski, Władysław Siła-Nowicki, Konstanty Turowski,
40-lecie śmierci Wojciecha Korfańtego

100

